

POEZYE

ZYGMUNTA

K R A S I Ń S K I E G O.

~~Państwowe Pedagogium i Liceum Pedagogiczne~~

~~w Kałowicach~~
TOM DRUGI.



LIPSK:

F. A. BROCKHAUS.

1863.



8211621-1

SN 10501



258a

WERS:
K. A. BROCKHAUS
1860

POEZYJE

Z WYBRANYCH

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XXIV.

SPIS RZECZY.

	Stronica
IRYDION	1
TRZY MYŚLI.	
PRZEDMOWA WYDAWCY	195
SYN CIENIÓW	203
SEN CEZARY	209
LEGENDA	223

SPIS RZECZY

1	Wstęp
192	Przedmowa
203	Sto Czynów
270	Sto Czynów
282	Przebieg

I R Y D I O N.

Et cuncta terrarum subacta. —

LUCANUS.

. Aestant ingens
Uno in corde pudor mixtoque insania luctu,
Et Furiis agitatus amor et conscia virtus.

AENEIDOS. Lib. X.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
540 EAST 57TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637
ACQUISITION DEPARTMENT

Już się ma pod koniec starożytnemu światu — wszystko co w nim żyło, psuje się, rozprzęga i szaleje — Bogi i ludzie szaleją.

A jako Jowisz pan na niebie, tak Rzym pan na ziemi kona i szaleje. — Fatum jedno spokojne, niewzruszone, rozum nieublagany świata, patrzy z wysoka na wiry ziemi i nieba.

Wśród zamętu wznoszę pieśń, która mi gwałtem z piersi się dobywa. — Niechaj duch zniszczenia ku pomocy mi będzie. — Niech moje natchnienie kręci się i toczy się, rozlega na wsze strony jako piorun burzy, która grzmi teraz nad wiekami przeszłości i wszelkie życie strąca do otchłani — a potem niech umiera jak on po dokonaniu dzieła. — Tam nowy świat na wschodzie! Ale mnie już nie do niego.

Gdzie postacie, które tak dumnie i wzniośle kroczyły dawniej po twoich siedmiu wzgórzach, o Rzymie? — Gdzie patrycyusze twoi z nożem ofiarnym i włócznią w rękę, z sercem pełnem tajemnic, z chmurą zgrozy na czole, ojcowie rodzin, ciemęzcy plebejanów, okrócciele Włoch i Kartagi? Gdzie Westalka wstępująca w milczeniu z ogniem świętym na schody Kapitolu?

Gdzie mówce twoi, panowie duszy tysięcy, stojący po nad falami ludu, gwarem poszeptów obwiani i burzą poklasków? — Gdzie żołnierze legionów bezsenni, ogromni, z twarzą spiekłą od słońca, ochładzaną znojem, rozjaśnianą polyskami mieczów? — Wszyscy zniknęli jedni po drugich — przeszłość ich zagarnęła i jak matka tuli do łona — Nikt ich nie wydrze przeszłości.

Miasto nich podnoszą się nieznane dotąd kształty, ni piękne jak pół-bogi, ni silne jak olbrzymi tytańskich czasów; ale dziwaczne, migające złotem, z wiankami na czole, z puhami w dłoni, a wśród kwiecica sztylety, a wśród biesiady trucizny, a w ich tańcach konwulsyjne podrzuty — niby to życie bez gra-

nie wśród pieśni i jęków, ryku hyen i nawoływań gladyatorów. — Śmiech z takiej wiosny umajonej krwią i woniami spiekłych kadzidel! — Śmiech z takiego życia! — Ono przejdziem tylko, ono nie nie utworzy, nie nie zostawi po sobie, prócz krzyków kilku i sławy marnego skonania!

Motłoch i Cezar — oto jest Rzym cały! —

Izdo! matko wiadomości i milczenia, stopy twoje zbryzgane pianą morza, okryte pyłem długiej podróży, obca mowa brzmi na około ciebie — i stoisz na forum romanum i dotąd się rozpatrzeć nie możesz, kędy sama jesteś, kędy brzegi Nilu.

Z pagórków Armenji, z nizin Chaldei, Mitra też pan młodości i śmierci ciągnie ku Rzymowi i już stanął w lochach Kapitolu i nożem ofiarnym potrząsa wśród głuchej nocy nad trupami ofiar.

W portykach greckich, w słodkim cieniu korynckich filarów barbarzyńskim chodem stąpa syn północy — stanie czasami i na toporze wsparty szuka błękitnemi oczyma, czy gdzie nie spotka Odyna, Boga ludów swoich.

Odyn Cymbrycki dotąd się nie zjawił — żal mu borów sośnianych i śnieżnej pościeli i szarego nieba i chorów Walhalli. — Ale chwil kilka jeszcze — i on puści się na pielgrzymkę do Rzymu!

Naprzód Bogi i ludzie. — Drogi wasze się pokrzyżują od wschodu na zachód, od północy na południe. Miejsca dla was nie będzie. — Idźcie więc i kołujcie, błądźcie i wracajcie potem.

Tak zwykle przed śmiercią bywa.

Naprzód Bogi i ludzie — szalejcie do woli — ostatni to szal, ostatnia to gonitwa wasza — a Fatum z was się urąga, krzyż godłem swoim wzięło i wy wszyscy wcześniej czy później padniecie przed krzyżem.

Z tego świata co się żżyma i kona wycisnę myśl jedną jeszcze — w niej będzie miłość moja, choć ona jest córą szaleństwa i zwiastunką zguby!

Naprzód w szal, naprzód w tan Bogi i ludzie w około myśli mojej — błądźcie muzyką, co przyspiewuje jej marzeniom — burzą, pośród której ona się przedziera jak błyskawica — bo imię jej nadam, postać nadam, i choć poczęta w Rzymie, dzień

w którym Rzym zginie, nie będzie jej ostatnim. Ona trwa, dopóki ziemia i ziemskie narody — ale za to w niebie dla niej miejsca nie masz!

Gdzież jesteś synu zemsty — w jakiej ziemi leżą zwłoki twoje — Duch twój pomiędzy jakimi duchami? —

— Ze świata gruzów wywołałem cienie umarłych — w nocy na forum stanął senat przedemną — schylone widma, obarczone pamięcią podłości i między nimi nie było ciebie!

Gładjator powstał z lochów cyrku i szedł na czele swoich przy świetle księżyca — przebieci wszyscy — usta sine powtarzały w śnie śmierci: «*Morituri te salutant Caesar.*» — ale pomiędzy nimi nie odkryłem ciebie.

Na palatynie, na wzgórzu ruin i kwiatów, panów świata dla mnie wrzuciły się prochy — płynęli przedemną — djadema krwią zlutowane trzymało się ich czoła — każdy na czole niżej miał znak potępienia — purpura na ich barkach powiewała, a z za niej świeciły gwiazdy przez otwory wydarte sztyletami zabójców — ale i tam nie ujrzałem ciebie.

Męczenników Chrystusa słyszałem śpiewy i modły. — Dźwięki te wlatywały z katakomb i szły prosto ku niebu — był tam głos jeden niewieści, smutniejszy, piękniejszy nad inne — znany tobie kiedyś, ale teraz sam jeden nie związany z twoim.

Gdzież jesteś synu zemsty, synu pieśni mojej! Już czas zmartwychwstać, by deptać po zwłokach olbrzyma — pamiętasz — przysiągłeś. — Wyrzekłeś się nadziei, wiary, miłości, by raz tylko, raz jeden spojrzeć, a potem zanurzyć się tam, gdzie miliony. — —

Godzina dobija — bo kiedy miasto wieczne panowało, dziś grób szeroki, rozwart, napelniony kośćmi i gruzem, opleciony pelzającym i bluszczem i ludem. — Powstań — chodź — wzywam cię. — Ja i straszniejsza potęga jeszcze, od której cię wybawić nie zdołam, ale imię twoje oderwę od ciała twego i ono na zgubę pójdzie wraz z tobą!

Z dala odemnie! — nie dla was te dzikie manowce — w kampanij rzymskiej zostańcie u stóp Appeninów towarzysze moi. —

Ja pójdę, ja go raz jeszcze chcę ujrzeć przed zgonem, przed śmiercią na wieki.

W tej jaskini leżącej wśród mroków przepaści, on na marmurowem łożu rozciągnięty, bez oddechu, bez sennych poruszeń, bez żadnego marzenia, czeka na przebudzenie — obiecane — straszne i na dzień sądu bliższy dla niego, niż dla reszty świata!

Starożytne pruchna świecą na około jak oczy sfinksów — wąż z łuską promienistą śpi od wieków przy stopach jego — rysy zasępiione, spalone gorączką, sen tak długi chłodu po nich rozlać nie potrafił.

Kształty jego ciała podobne do kształtów greckiego posągu i takich już dzisiaj nie ma na tej ziemi — nogi białe jak marmur paryjski w czarnych koturach, złożone na czarnej pościeli. — Ztąd i zowąd, pod niemi, nad niemi, mchy i bluszcze się wiją.

Tunika biała na piersiach spoczywa — odłamek lampy w dłoni i miecz rdzą stoczony u boku spoczywa — a druga ręka opuszczona, martwa i palce jej skurezone, jak gdyby zasnął w rozpaczy.

On cały zawieszony leży między snem a śmiercią — między ostatnią myślą, którą pomyślał przed wiekami, a tą, która niedługo w nim się obudzi — między potępieniem całego życia, a potępieniem wieczności.

Nim powstaniesz opowiem tve dzieje.

W Chersonesie Cymbrów, w ziemi srebrnej potoków, ojciec twój niegdyś stąpał brat za brat z królami morza, choć przybył z odległych stron, choć cudzą miał grecką mowę i twarz greckiego pół-boga.

Ale polubiły go niewiasty i męże, bo powieściami długie słodził noce, a we dnie pierwszy do walk i biesiady. Manowce szarego oceanu bitą drogą mu były — w połysku gwiazd niebieskich wyczytywał pogody i burze — najcięższą włócznią przerzucał najwyższe maszty i za wichrami goniąc, spokojne miał czoło.

Na łądzie róg jego dzwonił po dolinach i skałach. — Niedźwiedź nigdy mu się nie potrafił odjąć — a kiedy wrócił z łowów lub rozbicia, kładł się na mech, na paprocie, i spełniając gęste puhary, opowiadał gonitwy, zapasy, rozboje. Na dale-

kich wodach dom jego nabijany kością słoniową i złotem — sługi niewolniki stojąc na progu pod lasem filarów, patrzą na morze, zasiane wyspami błyszczącymi jak gwiazdy i wyczierają jego powrotu — ale on się nie spieszy, bo polubił dźwięk trąb konchowych i śpiew kapłanek Odyna — bo młodość swoją puścił na błędy i zmienne losy, by później dokonać wielkiego zamiaru — i puhar podnosi do ust i pije zdrowie króla mężów, starego Sigurda. —

«Grimhildo, córko Sigurda, lud mój od wieków nosi kajdany i jęczy — wraz z ludem moim sto innych ludów po wszystkich brzegach mórz południowych usiadło na zwirze i płacze.

«Żeby ich wyzwolić, trzeba mi twojej piersi natchnionej! Ja sam rodem jestem niewolnik, ale duchem mściciel — wrogi moje silne jak tytany — żeby ich podkopać i obalić, trzeba mi twojej piersi natchnionej! Dziewico poświęcona Odynowi, ty wejdiesz w progi moje, ty będziesz towarzyszką moich trudów, i dzieci nasze kończyć będą dzieło moje — a ono się przeciągnie w późne wieki wieków!»

Tu ojciec twój — umilkł i stopniami ogarniał ją potęgą wzroku i milczenia swego. — Ona stojąc na skale, spoziera na szarą nieskończoność morza; z rozpuszczonym włosiem, z zamglonemi oczyma, bezsilna, szalona miłością. — Już Odyna pawęż jej nie zasłoni, porzucił stopy ołtarza i pójdzie z obcym na dalekie brzegi.

«Hermesie, dawniej wojownicy nasze nie śmieli spojrzeć na czoło moje. — Tyś się zjawił jak bohater zstępujący z Walhalli, tyś rzekł: Grimhildo — i patrz ja muszę być niewolnicą twoją.—

«Nie znam ojczyzny twojej, wrogów twoich nie znam; kraj, do którego mnie ciągniesz, nigdy we śnie nawet nie ukazał się przedemną, a pójdę, nieszczęśliwa — zhańbiona pośród dziewic — przekłeta gniewem Odyna — tylko pozwól raz jeszcze mi zasiąść na świętym głazie i odśpiewać pieśń ostatnią!»

Amfloch Hermes szedł za dziewczicą na pokładach mchu, na warstwach granitu, przez święte bory szronem obwisłe, wśród ryku wodospadów. Sosny tłumem cisnęły się wszędzie; z ich

tlumu czasem szkielet dębu się wydostanie uwieńczon jemiolą. — Wyżej niebo gorzkie, ołowiane — po bokach tysiąc manowców krąży i woła za sobą na puszcze — ale Dziewica zna ścieżki wiodące do Boga, z którym idzie żegnać się na wieki.

Wodzowie hord, panowie gruntów, królowie morza, majtki ich i towarzysze stoją w półkołu przed posągiem Odyna i czekają na kapłankę. — Jeden tylko Sygurd z pokolenia Bogów, król wszystkich, usiadł na pniu ściętej sosny i ogromną dłonią zakrył czoło — pierś jego nadyma się pod pancerzem z łusk rybich — ale milczy i wszyscy za nim milczą — słychać tylko szum morza bijącego o skały za borem.

Grimhilda przeszła pośród nich z oczyma wlepionemi w posąg Odyna, ku któremu stąpała w groźnej powadze. — A cudzoziemiec pozostał z tyłu, wśród orszaku swoich, z założonemi rękoma na korynckiej zbroi, oparty o drzewo.

Pod występującem sklepieniem jaskini, na głazie tajemnicami zapisanym, usiadła i zdała się marzyć. — Bóg północnych plemion stoi nad nią, broda jego i włosy skrzepłe lodem, przypruszone śniegiem, oczy szklanne, rażące, w olbrzymiej dłoni maczuga, krwią ofiar zboczona, a w piersi głęboka rana, którą zadał sobie, kiedy dopełniwszy ziemskiego wcielenia zażądał wrócić do biesiad Walhalli.

Sen jej trwał długo i teraz powoli z niego się budzi, zwolna podnosi ramiona, mówi jeszcze tłumionym głosem: «Znam cię panie wśród bohaterów twoich. — Duch twój czarnym strumieniem zbliża się do łona mego — huczy w koło mnie jak potok, co rozrywa głazy. — Ja tam, gdzie wiry twoje. — Ja tam, gdzie wszechmocność gniewu twego — siła twoja moją — słuchajcie mnie wszyscy.»

Odrzuciła nagle powieki z ponad pałających źrenic — ręce wyrwała ku tłumowi i ręce jej drżały jak w chwili konania — w głosie jej były dźwięki zarwane z mowy bohaterów, co wstąpili na chmury i teraz wśród burzy przelatując, wołają na dzieci swoje:

Po co biegniecie dniem i nocą bracia. — Syny ludu mego, kto was pędzi z tyłu. — Kto wam kazał porzucić ziemię srebrną potoków?

Olbrzymy przykute podnieśli się z śniegów, na których leżeć

mają aż do końca świata, podnieśli się na pół i bijąc łańcuchami o szczyty z lodu, u nozdrza chwytają zapach krwi z oddali. —

Czy słyszycie, jak młot Thora w pył druzgoce hełny i puklerze, czaszki i piersi ludzkie? — Śmiech karłów rozlega się w przestrzeni — włócznia Horgiebrudy zawieszona nad ziemią całą!

Kto wam podola, o potomki moje? — Coraz dalej pędzicie ku miastu wielkiemu. — Tam czeka na was biesiada — puławy pełne krwi nieprzyjaciół. — Każdemu z was przygotowane jest miejsce. — Zasiądźcie w chwale, syny moje! —

Głos jej upadł nagle i w szmer się zamienił — oczy szukają czegoś w świecie widzeń, który się przed nią roztacza — usta wysilają się na słowo jakieś. — To słowo powstaje, rośnie w głębinach jej duszy, jak wąż ucieka, kryje się znowu — ona darmo za niem goni, cała blada, nieszczęśliwa, mdlejąca. — Jeszcze chwila — może go wyrwie z łona, bo wzrok jej płonie, twarz nowym zajaśniała szalem:

Miasto, miasto na siedmiu wzgórzach pali się pożarem — kruszce drogic, przejrzyste kamienie, topią się i płyną. — Ciała topią się na krew i płyną. — Zamek wielki i Bóg wielki na nim runął! — na pomoc Odynie — umrę jeśli nie wypowiem tajemnicy twojej — imię jego — kto mi powie imię jego?

I opadła głowa matki twojej i zawarły się jej usta — król dotąd trzyma dłoń na twarzy, ani razu nie spojrzął na córkę i wszyscy stoją niewzruszeni, bo nikt nie śmie przystąpić do świętego glazu. —

A więc Bóg twój oniemiał i ty z nim umilkłaś na wieki — po nad twojemi ustami cisza grobowa — na czole twojem lodowatość śmierci. — Ale ten, który ci inną ojczyznę obiecał, nie opuści ciebie — ruszył się z pod cieniów dębu i sam natchniony stąpa ku tobie. — Krzyk oburzenia powstał w tłumie, królowie morza włóczniami uderzyli w puklerze. — Siwe Skaldy wyrzekli przekleństwo. — Ale on już przeszedł straszną zagrodę, już nachyla się nad Tobą, podaje ci rękę i rzecze:

Przez imię Roma, imię wrogów moich i twoich wołam cię do życia, powstań Grimhildo! — I odwrócił się i krzyknął trzy razy: Roma — obudzona podniosła się, powtórzyła raz jeszcze

słowo tajemnicze, powtórzyła głosem pożegnania cichym i niewieścim, i poszła za cudzoziemcem jak żona za mężem. —

Teraz ojciec twój senny młodzieńcze, stoi na pokładzie i z uśmiechem niedowiarstwa, w ocean pełne wylewa kielichy na cześć Possejdona, potem ku majtkom się odwraca i mówi: — Silniej żagle, dzielniej wiosła trzymajcie, a Bóg Trójzęba wnet uśmierzy te fale. —

Pod ich stopami drży każda belka, jak ciało niewiasty — u widnokręgu ciemności warstwami się pokłady — z ich łona płyną balwany, zbierając się w kłęby, to rozpuszczając się w nurty, jak niegdyś wąż Piton, nim legł pod strzałami słońca — naprzemian pękają tonie i spajają się białymi pianami — naprzemian w szumie wiatrów głuche oddechy i przeraźliwe jęki.

Pod dachem wspartym stęjącymi słupami usiadł Hermes na furach wywiezionych z Chersonesu Cymbrów, i spokojnym głosem tłumaczył dziewicy świat, do którego się zbliżała — opisywał jej wyspę o winnicach i gajach w pobliżu wielkiego ładu — on tam ma swoich oraczy i kupców, dom i okręty swoje. — Tam skarbee jego pełne kosztowności i broni — i ta broń zda się kiedyś! bo w tamtych stronach ród ludzki nie hasa pod wodzą bohaterów — ale ujarzmiony, hańbę swoją ubiera w złoto, marmury, jedwabie, i liże stopy miasta wznoszącego się na między-morzu.

To miasto niegdyś w obliczu świata stało się Bogiem kłamstwa i ucisku — pod jego technieniem śmiertelnem brat powstał, na braci, syn na ojca, zdrajca na ojczyznę, i jako czas nie zużyte, ono pożarło wszystkich królów ziemi! Tu pogoda zesła z czoła ojca twego i stał się podobnym do burzy, która statkiem miotła.

Hellada moja niegdyś była duszą narodów — pieśni jej były paniami świata. — Barbarzyńców zuchwałych, co przyszli od wschodu, odpędziła szczykiem szabel i dźwiękiem strun swoich.

Ogień niebieski wydarty Bogom, jej tylko jednej, jej tylko dostał się w udziale — nieszczęśliwa zaufała miastu przekłętemu. — Dzicz między-morza przyplynęła do jej wysp szczęśli-

wych, do jej mirtowych nadbrzeżów. — Nie zdobyli jej bronią, ale rozdzielili jadem pochlebstwa, upoili nektarem obietnic! —

W tej chwili rozejdą się chmury — wiatr je rozpruł na zachodzie i kilka gwiazd zamignęło. — Hermes raz tylko rzucił okiem i kiedy znów tonęły w wyziewach, krzyknął do sternika: na prawo, całą noc na prawo, a o tej samej porze jutro przepłyniem Gadesu cieśninę! — I dalej tuląc ją do łona rozpowiada o przodku Filopomenie, przedostatnim z ludzi, którzy walczyli przeciw miastu podługemu — po nim raz jeszcze król barbarzyńiec wyszedł w pole i przegrywał lat trzydzieści, aż legł własną ręką przebity — od dnia tego nikt już trzeci się nie zdarzył na obronę ziemi!

Chwilą milczenia, chwilą rozpamiętywania uczcił pamięć wielkiego Mitrydata, potem wrócił do smutnej powieści — ona słucha z niewzruszonymi, pałającymi oczyma. — Grimhildo, Bóg twój dał ci zgadnąć natchnieniem to, co sam wydobywałem nieraz pracą nienawiści, domysłem nadziei, z nocy przyszłych wieków — cieszymy się królewska córko — bo miasto nieprawości po zabiciu wszystkich żyjących i wolnych, rozpoczęło teraz samobójstwo swoje!

Skarby wyssane z całej ziemi już im wkrótce nie wystarczą — nie długo oręż z ich rąk się wysunie — wśród rzezi i festynów dobijają im ostatnie chwile. — O żono moja, śmieję się z tych fal i wichrów, bo my tu nie zginiem, my będziemy częścią wielkiego zniszczenia!

Po tych słowach głos bohatera przybrał jeszcze bardziej gorzkie i szyderskie dźwięki — wspomniał o Bogach Hellady potężnych kiedyś, którym dzisiaj już rzadko kto wierzy: — Wyrocznie ich oniemiały oddawna, ale posągi stoją dotąd, bo świat stary odzwyczaić się nie może od nałogów młodości — wszystkie Bogi ziemi objawiły się w mieście przekleństwa. — Jedne piękne, podobne nieśmiertelnym, bo greckiego dłuta — inne potworne, wyrosłe na piaskach pustyni, po szczytach gór dalekich — ale on wie, że jest tylko Bóg jeden, który przed wiekami położył dłonie na wirach chaosu i zwyciężył go na wieki.

Imię jego, zapyta kapłanka Odyna?

Przeznaczenie — i poszedł ku sterowi łodzi, bo podwajała się burza.



Czy pamiętasz wyspę Chiarę na której wzrosliście ty i siostra twoja boska Elsinoe? — Czy pamiętasz wyprawy ojca, kiedy na maszty zarzucał żagle nie trójkątne greckie, ale barbarzyńskie podłużne, sam w dackim kołpaku, z toporem Cymbrów w dłoni, z zatoki wymykał się nocą i puszczał na manowce archipelagu?

Wszystkie myśli Jugurthy i Mitrydata odżywały w jego duszy — ku dzikim plemionom latały nieustannie chęci jego i prace. — To gdzie błota meockie, gdzie pustynie i wiatronogie rumaki, to gdzie Syrty w głębiach Afryki i jadem zaprawione strzały, błakał się na przemian, szukając nieprzyjaciół nieprzyjacielowi swemu — dłonie królów dzikich ściskając, ucząc się ich mowy, broń ich zatykając na piersi swojej, sypiąc im dary i rozżarzając ich chucie obietnicą roskoszy i lupów.

Wtedy matce twojej bolesno schodziły dnie i nocy. Ale niewolnik żaden, obcy żaden, nie wyczytał cierpienia z jej rysów; usta jej nie drżały kiedy rozkazywała.

Czasem tylko wzięwszy was oboje za ręce, wiodła przez długie portyki w głąb pałacu. Tam w framudze nabijanej mchem i konchami stał wojownik z głazu.

Dzikość nieśmiertelna marszczy mu skronie — w ręce trzyma czaszkę zabitego wroga; a u stóp jego bryły lodu wykute z paryskiego marmuru.

Przed nim schyla głowę matka twoja i duma nad ubiegłą Ojczyzną: — Irydonie mój, Sigurdzie mój, ty ziemi srebrnej nie zobaczysz nigdy, ni dziada twego, króla mężów. — Patrz — Patrz — oto Bóg mój święty — natchnienie moje straszne, to Pan Walhalli, niezwalczony Odyn. — I córkę przyciskając do piersi: — Gdzie ojciec Elsinoe, mów gdzie Hermes w tej chwili; — słyszę wiatrów szumy i fal żalobne jęki. — Okręt jego pośród wód nieskończonych, nachylony, odarty z żagłów, lub może na bezbożne wyrzucony brzegi. Ale nie — on zwycięży burzę, on odejmie się dzikim, i wróci do nas z chwałą pół-Boga.

A kiedy róg przybywającego odezwał się od morza, kiedy bliżej zagrzemiał wśród gajów cytrynowych, kiedy nocną rosą obwisły, spiekły słońcem i dżdżami zczerniony, rzucał się Hermes w objęcia żony i oko jego czarne, namiętne, blaskiem nadziei pałało — wtedy znów bywały dni pogodne i szczęśliwe na Chiarze; zapominała kapłanka o gorzkich przeczuciach, a wy

biegaliście swobodnie, rokosznie, po trawnikach wśród kwiatów, po nadbrzeżach wśród muszli, po salach marmurowych wśród trójnogów i kadzideł, odpoczywając na łonie matki, na ojca kolanach; a on co wieczór błogosławiąc wasze głowy do snu pochylone: — Pamiętajcie, powtarzał, nie nawidzić Romy. Dorósłszy, niech każdy z was ściga Ją przekleństwem swoim — Ty żelazem i ogniem — Ty natchnieniem i niewiasty zdradą. —

Czasem też do Chiary prokonsul lub pretor, lub wyzwolenc jakiego Cezara przybywali w goście — wtedy Hermes kazał zastawić długie łoża i stoły. — Lesbijskie wino płynęło strugami, brzmiały głosy niewolnic, niewolników lutnie pieśniami starożytnego Homera. — Anakreonta, Anakreonta, wołali Rzymianie. — Wtedy z szyderskim uśmiechem ojciec twój skinąwszy na śpiewaków, Rzymianom pełniejsze nalewał kielichy, świeże rozdawał wieńce; a kiedy wpadli w szum i żarty, zmienacka mówił o dziejach przeszłości, o chwale państwa, wspominał z Kartagą przewalczone boje, wycięte Varusa Legiony i Hiszpańskie Sertoryusza bunt — i pił zdrowie Imperatora aż puhar pękał w palcach jego!

Już zbliża się trzynasta rocznica dnia, w którym kapłanka opuściła bogów. — Głos jej dziczeje, kiedy woła na dzieci swoje — wzrok jej dziczeje, kiedy je tuli do łona — wspomina ojca, siostry, wodzów ludu, i na pół przerywane słowo pożegnania z ust jej wypada. — Przed jednym Hermesem upokarza się jej obłąkanie. — Czego ci nie dostaje Grynholdo moja, królewska córko? — Czy słyszałeś o zemście duchów nieśmiertelnych — na czas tylko ja byłam twoją; u krańców ziemi leży wyspa okuta lodami — góra na niej buhająca płomieniem. — Tam przykuty olbrzym śmierci już ramię wyciągnął, już nachyla dłoń ku otchłani by rzucić kłębek śnieżny życia mego. —

Hermes dłoń rozciąga nad jej skroniami. — Ciężar jego rąk, gdyby strumień pokoju spada na jej czoło, wlewa się do duszy: — Patrz na to niebo gorejące, na to morze iskier — gdzie chinury twej północy i nieużyte bogi twoje — gwiazda Amfiocha cię broni — ona cię nie wyda złym duchom. — Ale i jemu ciężar jakiś serce przyciskać zaczyna.

Jakiż to krzyk uderzył o wewnętrzne sklepienia i rozbił się aż

na filarach portyku? — Spieszą niewolnicy w głębie pałacowe do komnaty Pana. — Tam na porfirowem łożu rozciągnięta kapłanka, a wódz grecki stoi u wezglowia z pochyloną głową i depce czarę na której brzegach ostatnie krople się sączą. — Oni spuścili oczy, słuchają, czekają, a kiedy się odwrócił zadrzeli wszyscy — bo pierwszy raz w życiu boleść wyższa nad siły rysy mu kaziła — odwrócił się — wskazał by mu syna przyprowadzić i córkę.

— Grimhildo! teraz ja twego Pana wyzywam. — Tam gdzie wśród bohaterów krew pije na najwyższym tronie pałacu swego, tam niechaj dojdzie przekleństwo Amfilocha Greka. — O żono! nie opuszczaj mnie — daremno — daremno — kilka kropel tylko zostało — cały puhar trucizny wrze w piersiach twoich, o Grimhildo moja! —

Podniosła się i bladą była jak posąg na sarkofagu: — Widziałam go po trzykroć w nocy — siedł z Walhalli podobny do czarnego oceanu i wołał na mnie: o kapłanko moja. —

— Nad śpiącym Irydionem, nad śpiącą Elsinoe zawiesił ramiona ciężkim odziane żelazem i groził im w potędze swojej — przeklinał ich życie ziemskie jeśli nie pójdę do niego. —

— Na czas tylko bylam twoją. — Tam pod jego stopami leży nóż ofiarniczy i zasłona czarna, wieniec pogrzebny kapłanek. — Ty go złożysz przy mnie, ty mi ją rzucisz na skronie po śmierci. —

I schodzi ku niemu po stopniach z marmuru — kibić wyniosła podana naprzód, śnieżne ręce wyciągnięte, drzące jak gdyby cienie śmierci rozgarnąć chciała, a fałdy szaty białej wloką się za jej stopami. — Zeszła, na nężu się oparła — on ją opasał ramieniem i ku przybytkowi stąpać zaczynają. — On idzie krok za krokiem, walczy z nieznaną potęgą, zatrzymał się i wzrok cisnął ku niebu jakim Prometeusz ze skały, Laokoon z nadbrzeżów morza, wyrzucał bogom nędze tej ziemi; ale do jęków się nie zniża, milczy i znów idzie dalej. — Przeznaczenie ich oboje porywa za sobą.

Wzrok Jej znalazł się wtedy ostatni raz na głowę twoją Irydionie — u stóp Odyna żegnała cię imieniem dziadowskiem: — Sigurdzie, bądź mi kiedyś postrachem dumnych — Elsinoe, duch mój będzie zawsze z tobą — pamiętajcie o ziemi potoków i o Bogu

moim — o dzieci moje, ja dla was umieram — usta jej zbie-
lały — sine cienie łamią się po twarzy i naprzemian to woła,
to odpiera was od zatrutego łona.

Nagle myśl Jej porzuci przytomnych i wraca w inne strony
i czasy. — Tam ojciec duma stary — tam ją królowie morza
przeklinają — wyciągnęła rękę — umierając, prorokować bę-
dzie: — Bracia moi do boju — na siedmiu wzgórzach namioty
wasze — na szczycie Kapitolu biesiada wasza — a tam nisko
w dole zgrzyta i płacze w łańcuchy spętana, zdeptana Roma,
Roma, Roma! —

I upadła przed Bogiem swoim. — Amfiloch podniósł ją
w objęcia — chciała ramieniem obwiązać mu szyję — opadło
ramię. — Sama na wznak się chyli, włosy jej zlewają się na dół
coraz niżej i niżej, aż z Jego rąk drętwiejących na marmur
stoczyło się ciało.

Przykląkł i czarną zasłonę, wieniec pogrzebny kapłanek
złożył na Jej czole — potem wstaje w dzikim obłąkaniu i woła:
— Gdzie topór z Chersonezu Cymbrów niewolniki? — Podali
mu go drżące niewolniki — on go wziął, ścisnął i zbierając
wszystkie siły śmiertelne przeciw nieśmiertelnym, stąpa ku po-
sągowi. — Żelazo podniósł, trzy razy błyskawicę ważył po nad
głową, a za czwartym razem obalił Boga, wroga swego, i zde-
ptał w milczeniu rozpaczy!

Taki ród twój, taka przeszłość twoja potomku Filopomena,
wnuku króla mężów, senny Irydionie! — A teraz Ojciec twój
porzucił dom przodków na Chiarze i z urną Grymhildy płynie
ku Rzymowi. — On stracił tę którą kochał — osiadzie więc
pośród wrogów i przynajmniej pełnem sercem nienawidzieć
będzie, a dzień przepowiedziany, dzień zniszczenia, nadciągnie
tymczasem!



CZĘŚĆ PIERWSZA.

Sala w pałacu Irydiona w Rzymie. — Z obu stron rzędy kolumn ginące w głębi — pośrodku fontanna i kadzidła palące się w trójnogach. — Irydion pod posągiem ojca swego. — Niewolniki zapalają światła w lampach z alabastru.

I. NIEWOLNIK.

Syn Ampfilocha oparł głowę o nogi umarłego —

II. NIEWOLNIK.

O zimne stopy z marmuru, i zasnął —

III. NIEWOLNIK.

A tymczasem w Gineceum siostra Jego, pani nasza, mdleje i płacze.

IV. NIEWOLNIK.

Przez Polluksa, słyszałem z ust pewnych, że porwą ją dziś wieczorem murzyny Heliogabala.

I. NIEWOLNIK.

Pokój Jemu — wychodźmy bracia, wychodźmy —

(przechodzą.)

IRYDION.

Przesunęli się jak cienie szanując spokój ducha mojego. — O Ojce, dla nich i dla wszystkich dotąd we śnie leżę — ty jeden wiesz, że ja czuвам (wstaje i idzie do tarczy brązowej, na której pugnał zawieszony). Zmierzch zapada, godzina już bliska — Oni przyjdą zaraz — w podobną godzinę stary Brutus musiał własnych synów zabijać — (uderza o tarczę) Elsinoe — Elsinoe! —

Ot! idzie ku mnie jak widmo nieszczęścia — wieniec cyprysowy włożyła na skronie — matka Jej niegdyś tak stąpała pod gniewem Odyna.

ELSINOE (wchodząc).

Czy już przybyli służalcy, czy już zaszedł rydwan przekłętego!

IRYDION.

Nie jeszcze — ale chciałem raz ostatni cię natchnąć duchem ojca mego.

ELSINOE.

O Bracie —

IRYDION.

Wiesz sama że Cezar nalega w szale — że senat przezwiał cię już boską i posągi twoje stawiać rozkazał po świątyniach miasta — wiesz sama żeś nie siostra moja, żeś ty nie jasnowłosa Elsinoe, nadzieja domu rodzinnego, pieczęta serca mego. — Tyś ofiarą naznaczoną za cierpienia wielu i za hańbę ojców twoich!

ELSINOE.

Tak — uczyliście mnie tego od dzieciństwa i gotowa jestem. — Ale jeszcze nie dzisiaj, nie jutro — trochę później, aż sił nabiorę, aż nasłucham się nauk Masinissy i rozkazów twoich — aż do dna puchar waszej trucizny wypiję! —

IRYDION.

Wybrana, gotuj się do losów twoich. — Spieszno nam po drodze na której stąpamy. —

ELSINOE.

Przypomnij sobie, kiedyśmy igrali na trawnikach Chiary, jam cię tak kochała o bracie, jam zawsze skronie twoje różami wieńczyła i mirtem. — Oh! zmiłuj się nademną! —

IRYDION.

Niewiasto, ty mnie kusisz do litości — daremno, daremno!

ELSINOE.

Na co prośb i żalów tyle. — Zdarzało się za dawnych czasów, że można było śmiercią odkupić się ludziom i Bogom — patrz — tam błyszczy twój sztylet Irydionie — przyspieszmy sobie nicosć Irydionie!

IRYDION.

Błuznisz myślom ojca mego. — Trza żyć i cierpieć by wielki Duch Amfilocha rozradował się pośród cieniów. — O siostrzo, dawniej dla zbawienia narodów dosyć było życia jednego

człowieka — dziś inne czasy — dziś cześć poświęcić trzeba!
 (Obejmuje ją ramieniem.) Dziś w róże się uwieńczysz, w uśmiechy
 się wystroisz — o biedna, złóż tu głowę skazaną — ostatni raz
 w domu ojcowskim brat cię przyciska do łona. — Żegnaj mi
 w całej urodzie świeżości dziewiczej — już ja ciebie nie ujrzę
 młodą — nigdy, nigdy już. — On cię przepsuje tchnieniem
 zatrutem, on — ale on zginie. — Czy ty rozumiesz siostrze, on,
 on zginie wraz z całym państwem swoim!

ELSINOE.

Teraz na twojej piersi o bracie, a za chwil kilka na czyjej?

IRYDION.

Te filary drżą na podstawach swoich, płamy jakieś czarne
 biegają między niemi. — Bogi, nie dajcie mi upaść u wejścia do
 areny. — Masinisso przybywaj. —

GŁOS Z ZA FILARÓW.

Kto się waha, ten urodził się do słów nie do czynów. —
 Śmiechem go witać i śmiechem go żegnać będę (wchodzi Masinissa).
 Posłanniki Cezara już idą ku twojemu pałacowi. —

IRYDION.

Ty, na którego czole napisane słowo — potęga! — Ty, co
 stoisz nad grobem tak wyniosły jak za dni twojej młodości,
 natchnij mnie siłą w tej wyrocznej chwili!

MASINISSA.

Gdzie dziewice wybrane — gdzie wieniec z kwiatów dla
 oblubienicy Cezara? (zrzuca cyprysy z głowy Elsinoi.) Dziś zaczyna
 się dzieło nasze!

(Z głębi sali wchodzi służebnice z drogiemi szaty.)

CHÓR SŁUŻEBNIC.

Jaką była Afrodyta wstając z błękitnego Oceanu, pośród
 tęczy piany morskiej, pośród woni Zefirów, taką ty będziesz.
 Niesiemy ci róże, kadzidla i perły!

IRYDION.

Weź jej ramię starcze (prowadzi siostrę pod posąg Amfiocha).
 Słuchaj mnie niewiasto jak gdybym umierał, jak gdybyś już
 głosu mego nigdy usłyszeć nie miała. —

Wejdiesz w progi nienawistne, będziesz żyła wśród prze-
 klętych, ciało twoje oddasz synowi sprosności — ale duch

niech czystym i wolnym zostanie; osłoń go tajemnicą, uczyn go niedostępnym jako niegdyś był przybytek, w którym matka nasza prorokowała!

ELSINOE.

Biada, biada sierocie!

IRYDION.

Nie daj nigdy Cezarowi zasnąć na piersi twojej — niechaj wszędzie słyży pretorianów wołających do broni, Patrycuszów knujących spiski, lud cały walący do bram pałacowych a to czynić będziesz powoli, dniem po dniu, kroplą po kropli, aż go szalem otoczysz i wysiesz całe życie z serca Jego. — Teraz powstań — zbliż głowę (kładzie ręce na jej włosach) — poczęta w pragnieniu zemsty, wzrosła w nadziei zemsty, przeznaczona niesławie i zagubie, poświęcam cię Bogom, Manom, Amfilocha Greka!

ELSINOE.

Głosy Erebu odzywają się zewsząd — o matko moja!

CHÓR NIEWIAST (otaczając ją).

Czemu drżą członki twoje pod śnieżną zasłoną, pod wstęgami z purpury, któremi obwiązujęm ci piersi? — czemu bledniesz pod wieńcem, który splotłyśmy dla ozdoby czoła twojego?

IRYDION.

Patrz — mdleje nieszczęśliwa!

MASINISSA.

Nie — ona żyć zaczyna jako żyć jej trzeba. — Czy widzisz jak te usta spienione pracują?

ELSINOE.

Rzucam próg ojcowski, Bogów domowych nie wynoszę z sobą, wieniec mój święty, nieskażony, cisnęłam między popioły rodzinnego ogniska. — Ojciec mnie skazał, brat mnie skazał. — O ja nie wrócę nigdy, ja idę na męki i długą żalobę!

— Matko! do Odyna w prośby za córą twoją. — Spiesz się matko — nie prosz o długie życie. — Natchnienia, tylko natchnienia! Dzieci śmiertelnych piersi moja nigdy nie wyda, ale przyszłość poczynać się będzie w mem łonie!

Roma zaufa miłości mojej. — Roma zaśnie w objęciach moich!

(Eutychian wchodzi na czele Etiopów niosących dary.)

EUTYCHIAN.

Trzy razy święty, po trzykroć fortunny, Imperator, Cezar i August i Kapłan najwyższy i Trybun i Konsul, przysłała synowi Amfilocha pozdrowienie, a boskiej siostrze Jego sto konch purpurowych, sto kubków ametystowych. —

ELSINOE.

Natchnienia, natchnienia wśród męczarni!

IRYDION.

Stało się — (chwytając ją za ramię i prowadzi do Eutychiana). Masz jasnowłosą.

EUTYCHIAN.

Rydwan z kości słoniowej czeka na córkę szczęścia! —

IRYDION.

Pięćdziesięciu Gladiatorów moich daruję Cezarowi — ona lubiła patrzeć na ich gonitwy. — Idźcie — oni pośpieszą za wami —

(uderza w tarczę — orszak niewlast i Etiopów wychodzi z Elsinoą)

CHÓR GLADIATORÓW (w głębi).

Czy natrzeć na zwierza, czy wroga obalić, czy twoją siostrę obronić?

(wchodzą.)

IRYDION.

Bracia Grecy i Barbarzyńcy, wykupieni przezemnie z paszczy ludu Rzymskiego! — bądźcie mi wiernymi aż do dnia łupów!

CHÓR GLADIATORÓW.

Dopóki nie ugrzęzną ciała nasze w mule z krwi i piasku, sprężyste, nagie, gibkie ciała nasze!

IRYDION.

Słyszycie jeszcze ich kroki i głosy — w ślady za nimi — krótkim mieczom waszym powierzam głowę Elsinoi; a kiedy staniecie w obliczu Imperatora głęboki pokłon oddajcie, nowemu panu!

CHÓR GLADIATORÓW.

Niech zginie — niech zginie przed czasem!

(przechodzą.)

IRYDION.

Stare gnębiciele świata — zdiercy Hellady — syny fałszu i wiarołomstwa, poświęciłem wam nietkniętą dziewicę. — Nieśmiertelne Bogi, gdziekolwiek jesteście wysłuchajcie prośbę moją — niech ona będzie przedostatnią ofiarą wydaną na pastwę Rzymowi; a ja z tylu nieszczęśliwych, wybranych po wszystkich stronach ziemi, wydartych groźbą i mękami, zapomnianych po mękach i zgonie, niechaj będę ostatnią!

MASINISSA.

Sigurdzie!

IRYDION.

Nie nazywaj mnie takim imieniem — lub daj mi Królów morza, otocz mnie ludem dziada mojego, a z purpury Cezarów nici jednej nie zostanie! — Ale droga moja wytknięta wśród ciemności — gdziekolwiek wyteżę ramiona, tam zapory twarde jak żelazo, ruchome jak węże, i wśród nich czołgam się bez bytu, bez życia!

MASINISSA.

W nędzach i miernościach ludzkich niechaj będzie twoja nadzieja i wiara, bo los postawił cię u bram walącego się miasta — otoczył cię wiekiem przesilenia i zgrzybiałości, którego sam częścią nie jesteś — na skargi będzie czas kiedyś, później kiedyś — kiedyś — —

IRYDION.

Ah! hańba tym Nazareńczykom, co wołają ginąć jak bydło niżli bić się jak męże — oni, oni to mnie wstrzymują!

MASINISSA.

Aleksjan syn Mammei codzień do nich zstępuje i naradza się z pierwszymi Kapłany. — Jeśli go nie uprzedzisz, on szalę przeważy, on zmiecie Heliogabala, on swoje państwo nazareńskim uczyni i Rzym trwać będzie w późne wieki wieków! XX

IRYDION.

Nie — przez Thora, Ja mu przyrzekam że nie będzie Cezarem!

MASINISSA.

W katakombach los Rzymu się roztrzygnie. — Idź — znamię ich na twoich piersiach, wada ich na twojem czole, niech tajemnice ich w twoich ustach będą. — Zaszczepiaj zemstę w imieniu Boga niezemszczonego dotąd. — Gdzie Jego ołtarze, gdzie Jego chwała na powierzchni ziemi? — A kiedy będziesz ich wiódł i uzbrajał, kiedy w ich ręce kłaść będziesz zakazane miecze, o wtedy synu mój, Duch mój będzie z tobą!

(Zbliża się i opiera się na Jego ramieniu.)

Czy pamiętasz noc, w której Ojciec twój umierając wołał — Masinisso — powierzam ci syna i myśl moją. — Ja wtedy nachyliwszy się nad nim jak teraz nachyłam się nad tobą: O Hermesie! tam wśród cieniów do których zstępujesz zapytaj się o Masinissę, a one ci odpowiedzą — on nigdy nie opuszcza komu przyrzekł towarzyszyć do końca!

O Hermesie, duchy nasze trójcą połączone i nie ich rozzerwać nie zdoła. —

IRYDION.

To się działo o podobnej godzinie — tylko że Elsinoe była przy mnie i płakała w moich objęciach!

MASINISSA.

Dziś to samo powtarzam. — Wierz i ufaj do końca — razem na ziemi — razem przed zgonem i po zgonie Rzymu — o dziecię moje wybrane, nie rozłączym się nigdy, nigdy. —

IRYDION.

Z twojej wyschłej piersi nurty siły płyną. — Daj rękę Starcze. — Tak, razem przed zgonem i po zgonie Rzymu!

(Pada na krzesło przed posągiem.)

To się działo o podobnej godzinie. — Wzrok umierającego płonął jak wschodząca gwiazda — wtedy przysiągłem. — Czy słyszysz te wściekłe okrzyki? — Cezar rozdał ludowi puginały i sesterce, a lud się raduje z rozkoszy Cezara. —

(Togę zarzuca na głowę.)

Zostaw mnie sam na sam z piekłem serca mego!

Świątynia w lochach pod Kapitołem. — Olbrzymi posąg Mitry w głębi — słyhać oddalającą się muzykę — wychodzą kapłani i wieszczbiarze. — Heliogabal w szatach Arcykapłana i Elsinoe się zostają.

HELIOGABAL.

Widziałas moją potęgę jasnowłosa Greczynko. — Rozmawiałem z Bogiem światła i Gieniuszami nocy, a pierwsi kapłani wschodu dziwili się moim słowom i ofierze.

ELSINOE.

W pogardzie u córy lodów miękkie rozwiążcie Bogi, w dymach kadzidłowych tonące, dźwiękami fletów obwiane, oblane krwią trwożliwych jeleni lub niemowląt — i słońce diamentowe co na twoich piersiach jedwabnych połyska, nie wyrówna słońcu po nad śniegami północy. —

HELIOGABAL.

Żmijo którą kocham, czegoż żądasz więcej?

ELSINOE.

Gdzie Odyn pan matki mojej, kuty ze stali i dębu na dżdże, szrony i wichry spokojny niewzruszony, z czarą w której krew bohaterów się pieni — od południa skały ścielą mu się w poręcze Tronu i on oparty o skały patrzy na morze Północy, które szybami lodu u stóp Jego pryska (podnosi wieniec hyacyntów i rzuca na Heliogabala). Zwiędłe kwiaty idźcie do mdłego kwiecica — ale córa kapłanki Cymbrów nie dotknij się puchu.

(odechodzi.)

HELIOGABAL.

Zostań się, przez tajemnice Baala zostań się nimfo. — Jam Arcykapłan, jam piękny, jam Apollo Delijski — niegdyś Legia cała okrzyknęła mnie Cesarem dla gładkości liców moich. — Nimfo, zostań, rozkazuję tobie. — Jam August, Antonin, Aurelius, pan Rzymu, Afryki, Indyi. — Czego milczysz? czemu spojrzenia twoje tak zimne i przebijające? Obsypałem cię zausznikami, naramiennikami, purpurą, drogimi szafry, zastałem ci biesiady o jakich nie marzyło się kochankom Sardana-pala, stu lwów zagryzło się wczoraj przed tobą — wyгнаłem wszystkie nałożnice, a ty zawsze jak marmur nieugięty połyskująco i mroźny!

ELSINOE.

Przeszkadzasz mi, przeszkadzasz dziecino karmiona musz-
czkami ptasząt. — Byłam wśród Walhalli, wśród naddziadów
moich siedzących na tronach, każdy z trumną wroga pod sto-
pami — gwar słów twoich przerwał myśli moje dalekie — nie-
pojęte. — Co ty chcesz — czego pragniesz odemnie? pora
już późna. — Bogów moich najlepiej mi wzywać o takiej porze.
Żegnam cię Auguście — Cezarze — Aureliusz. —

HELIOGABAL.

Jasnowłosa, najurodziwsza, najkształtniejsza, zaklinam cię,
błagam ciebie, patrz jak drzę cały, jak umieram przed tobą. —
Bogi i Boginie! — w całej Azyi takiej głowy, takiego łona,
takich oczów lazurowych żaden z was nie stworzył! —

ELSINOE.

Ciszej — tam głos matki mojej wśród wichrów się prze-
dziera!

HELIOGABAL.

Położę się na stopniach ołtarza i całować będę palce bia-
łych nóg twoich.

(zbliża się do niej.)

ELSINOE.

Na mnie trza żelaznych ramion i ust brzmiących pieśnią
straszną, pieśnią bitew. — Idź do Pretorianów, sługo Preto-
rianów!

HELIOGABAL (padając przed ołtarzem).

Przekłęta, ty zginiesz zawczasie — przed całym ludem
każe cię rozbić na krzyżu. — O urodziwa! — słuchaj. — Jeśli
ci nie dosyć Cezara dam ci Mitrę. — Każe cię ogłosić Mitry
kochanką. — Ja wszystko mogę. —

Chwilę jeszcze bądź przy mnie — lepiej mi kiedy stoisz
choć z daleka. — Ja biedny, ja tak młody, a już otoczony
spiskami i śmiercią. — Nudno mi, nudno i wszystkie strony
świata nie mi nie pomogą. — Krew ludzi i zwierząt, woń ka-
dzideł i kwiatów nie służy już Heliogabalowi. — Czy słyszysz?
Czy chcesz bym skonał z wściekłości? — Nimfo — Elsinoe! —
Tu razem obok siebie z dłonią w dłoni, skronie oparłszy o
skronie, zaśnijmy! —

ELSINOE.

— Tak — śpij dopóki nie przyjdzie Centurion i nie zamorduje Cezara. — Nieszczęśliwy, powiedz mi gdzie zbroja twoja? Nieszczęśliwy, temi palcami z wosku tej rękojeści miecza utrzymać nie potrafisz! — Czekaj — Ja pójdę i Bogów moich się zapytam, czy został jeszcze ratunek dla ciebie. —

(wychodzi.)

HELIOGABAL.

Na pomoc Imperatorowi, na pomoc!

(wchodzi wieszczbiarze, kapłany, Eutychan.)

CHÓR KAPŁANÓW.

Co się stało synowi słońca, panu tajemnic i ofiary? Usta jego pianą zroszone, gwiazda przepychu pękła na Jego piersiach — a wzrok w obłądach swoich, w kołowaniach swoich zda się żądać krwi, zda się żądać rokoszy, to znów słabiej i zda się żądać snu wiecznego.

HELIOGABAL.

Furie rozdierają członki moje. — Ja wiem, ja wiem.

EUTYCHIAN.

Evoc Bacche! Uczeń mój pijany na wzór ciebie, kiedyś Indye po pijanemu zdobywał. —

HELIOGABAL.

Aleksjan przytknie mi stal zimną do szyi: — daj gardło Cezarze. — Brońcie mnie — każdemu z was dziesięć Talentów. —

EUTYCHIAN.

Sam pierwszy za dziesięć Talentów przebiję Cezara. —

HELIOGABAL.

Litości nademną! — Słońce mścić się będzie nad wami. —

CHÓR.

Powstań boski — Cezarze. — Tys naszym panem i ziemia cała poddana woli twojej. — Bogi nieprzyjazne zazdroszcząc ci chwały, trapią cię zgubnem widzeniem — ale ta mara się rozplynie w ogniu wiekuistym, w świetle przenajczystszym Mitry, jak fala mętna w oceanu lazurach, jak ciało Semeli w potężne Jowisza!

HELIOGABAL (podnosząc się).

Podajcie mi ręce niewolniki — kto was tu sprowadził? —
Ja chcę by ona weszła do łóżka mego — czy słyszycie? by ciało
jej drżało w moich ramionach — inaczej wszyscy ile was tu
stoi przedemną zginiecie pod kłami Lampartów!

EUTYCHIAN.

Me hercule! Jam na Lwa zasłużył. —

HELIOGABAL.

Milcz — dziś żartów nie chcę — gdzie ona?

CHÓR.

Jej postać wschodzi z pośród ciemności. — Jej Bóg cudzy
walczy z naszym Bogiem!

HELIOGABAL.

Milczcie — słuchajcie. —

ELSINOE (w głębi na glazie Hieroglifami okrytym).

Pytałam się ich wszystkich. — Oni zrazu milczeli siedząc
na tronach swoich każdy jak zasnął po odbytej biesiadzie. —

Pytałem się ich wszystkich. — Jednego czarna zbroja
chrzęśla. Jeden tylko się przebudził i wzniósł nie dopitą czarę
ku ustom spokojnym. —

Pytałam się ich wszystkich — a tam gdzie czara ust się
dotknęła, kropla krwi się wyśliznie i lecąc przez niebiosą spada
mi na czoło. —

HELIOGABAL.

Mów boska moja! — wszak jeszcze nie potępiony —
wszak nie zginę przed czasem? —

ELSINOE.

Wszyscy na kolana. — Wyrok Bogów grzmi w duszy
mojej. —

HELIOGABAL (przyklękając).

Przebacz wielki Mitro.

EUTYCHIAN.

Dobra noc wielki Mitro.

(przyklękając).

CHÓR (przyklękając).

Niech przepadnie cudzoziemka! święty, potrójny, szybko-
lotny Mitro!

ELSINOE.

Wtedy ujrzałam na ziemskich równinach męża zbrojnego w żelazo i zgrozę. — Czoło jego było spokojne jak powierzchnia wód głębokich — w prawicy jaśniał miecz zwycięztwa. —

Poznałam — nie rozumiałam — nie ufałam sobie. — Ale imię Jego powtórzyły wichry nocne i głos zleciał od szczytów Walhalli: — On zbawi Cezara. —

HELIOGABAL.

Imię, imię?

ELSINOE.

Syгурd syn Kapłanki — (zchodzi z głazu i zbliża się do Helio-gabala). Nie tarzaj się więcej w prochu — powstań a wy oddalcie się wszysey! —

(wychodzą.)

Nędzny! gdyby ci przyszło wsiąść na kark bałwanom i jeździć po nich jak na koniu bez wędzidla — ażebyś musiał leżeć na śniegu otoczony stadami kruków i całą noc patrzeć w lodowate oko księżycy — biedny ty z purpurą twoją i Bogami twemi! Ale nie drzyj, nie rozpaczaj, bo cię wyrwie z toni syn Amfilocha Greka!

HELIOGABAL.

Kto? brat twój — Irydion — prawda! czarna jego zrzenica dziwne sieje połyski. — O gdyby ten lud cały nosił jedną głowę tylko, którąby zwalić można jednym cięciem! Wtedy jabym zasnął na twoich piersiach, zasnął spokojnie! Irydion Amfilochides!

On będzie moim dobrym Gieniuszem — powtórz raz jeszcze!

ELSINOE.

Daj rękę dziecię i nie lękaj się dopóki moje Bogi czuwają nad Tobą.

(wyprowadza go.)

Inna część palacu Cezarów. — Perystyl. — W środku jego przed ołtarzem oliary siedzi MAMMEA — ALEKSANDER SEWERUS przed nią. — W głębi przysionek oddzielony ciałem przejściem.

MAMMEA.

Kilka razy widzieli łzy w jego oczach, ale nikt nigdy nie dostrzegł uśmiechu na jego twarzy — rysami mówią, że przypominał Platona, tylko że coś surowszego panowało mu z czoła. — Podania najsroźszych nawet nieprzyjaciół jego w tem się zgadzają. —

ALEKSANDER.

Codzień bardziej serce moje łągnie do jego nauki. —

MAMMEA.

Wierz słowom moim — w niej jedyna mądrość na ziemi i jedyna nadzieja po zgonie. —

(Ulpianus ukazuje się w przysionku)

(wstając) Toś ty Domicjanie?

ALEKSANDER.

On sam, mój Domicjanus, najukochańszy z ludzi, mistrz mojego dzieciństwa.

(idzie i rzuca się w jego objęcia.)

ULPIANUS.

Bądź dobrej myśli — i ty Augusto, bo fortunne przynoszę wam wieści. —

MAMMEA.

Ah! jakże długo milczałeś! jakich smutnych przecuciów nabawiłeś mnie! — chwała nieśmiertelnym Bogom że się nie ziściły. —

ULPIANUS.

Nie odpisywałem z Antiochyi, bo lękałem się żeby kto moich listów nie przejął. — Im dzieło bliższe celu, tem ciszej pielęgnować je trzeba, a nasze już wkrótce pono dojdzie upragnionego końca!

MAMMEA.

Mów, mów. —

ULPIANUS (obzierając się).

Czy te ściany głuche i nieme?

ALEKSANDER.

Nuż śmiało patrz — ja głośno wolam, że pod tem jarzmem krótkie życie mi już obmierzło. — Wczoraj jeszcze karzeł Imperatora, ten garbaty Roboam, przyniósł mi kosz pełen zatrutych owoców, który odepchnąłem nogą! —

ULPIANUS.

Nie unos się Aleksjanie — jeszcze cierpliwość niech panuje w tobie — skromność niech ci z oczu wyziera łęklawie i wrogi twoje niech cię nazwą dzieckiem.

Pokojem myśli i powagą ciała dzieją się wielkie czyny. — Cóżby z tego wynikło gdybym był wpadł do Antiochyi, do Laodycei, do Efezu, do Smirny i zaczął wołać o pomstę świadcząc się Bogami, że Heliogabal tronu i życia nie godzien? — Byłem ja tam wszędzie ale milczącem okiem obejrzałem na przód tłumi ludu i kohorty Legionów. Każdego skargi wysłuchałem na pozór obojętnem uchem, a dopiero kiedy się przekonał, że dojrzewa ziarno nienawiści, że wszyscy równie pragną zmiany, rzekłem w sobie: — Czas nadszedł. — Iskra rzucona, pożar w całej Azji wzniesi — i z Trybunami, z Kwestorami, z Pretorami tu i owdzie zawierając ugody, tym ukazałem zyski, innym wyższe urzęda, każdemu z twojego wyniesienia poczyniłem cel i nadzieję zgodną z jego własnymi chęciami. — W tem nadeszła wiadomość, że cię brat mianował Konsulem Cezarem — przeczuwując że w tej łasce czarny podstęp ukryty, natychmiast przybiegłem do Rzymu i w imieniu Legionów przynoszę ci obietnicę świetniejszego losu. — Dozwól tylko czasowi jeszcze nieco upłynąć, a uderzy o brzeg naszego zbawienia! —

ALEKSANDER.

Czemuż odkładać do jutra. —

ULPIANUS.

Bo w Rzymie Imperator otoczony ludem, który go za Naumachije kocha, i pretorianami którzy czczą w nim rozrzutności Boga. — Wiem ja wprawdzie, że lud kocha Cezara dopóki go nie zamorduje — wiem także, że pretorianie obozujący za miastem, oddawna sprzyjają naszym zamiarom. —

ALEKSANDER.

Trybun Arystommachus kazał mi oznajmić dzisiaj jeszcze, że w każdej chwili gotów odważyć życie za mnie i Mammeę. —

ULPIANUS.

Arystommachus jedyny w godzinie wybuchu — ale przedtem niechaj milczy jeśli może, bo tę jedyną tylko przysługę nam wyświadczyć zdoła. — Są tam inni rozważniejsi i sprawniejsi od niego. — A straży pałacowej, a żołnierzy rozsypanych w mieście czyż za nic nie liczysz? czy nie wiesz, że codzień kąpią się w łaskach Cezara? — Aleksjanie, i wschód cały jeszcze nie do nas należy. — Syryjczycy nie zapomnieli, że znali Heliogabala dzieckiem w Emezie — później arcykapłanem w świątyni słońca. — Z resztą pamiętaj: że ten który włada, samem imieniem władcy stoi długo jeszcze, choć podpory jego mocy spruchniały — u ludzi marne słowo jest także potęgą!

MAMMEA.

Nie zaprzeczam prawdy słów twoich, ale spiesz się o ile możesz, bo stoimy nad grobem, otoczeni nasłannikami jego szaleństwa i złości — w każdej chwili na tych licach roztoczyć się mogą znaki trucizny — i biedne to dziecię moje, chwała moja, przyszłość moja, przyjdzie głowę pochylić i skonać na łonie matki!

ULPIANUS.

Dziś jeszcze będę w namiocie Arystommacha i u Lucyusza Tubero (zbliża się do Aleksandra). Następco Augusta, nie lękaj się, by parka dni twoje przecięła nim dostąpisz władzy nad ludźmi — nie. — Bogi zmiłują się nad tem miastem zgnękanem — ale kiedy ją osiągniesz strzeż się jadu ukrytego w tunice Dejaniry — w purpurze Cezarów!

MAMMEA.

Czyż nie wiesz, że w synu moim ostatnia nadzieja i ostatnia chluba Rzymu? ~~Z~~ myśli Platona, z słów Chrystusa uczyłam go miłości ludzi — on znieważonym i uciśnionym poda rękę brata! ~~X~~

ULPIANUS.

Ale niech wie zarazem, że niesfornych wygubić trzeba. — Po wszystkich targach Azji widziałem rzymskich rycerzy

pobratanych z wyzwolenicami. — Tam w krzesłach kurulnych rządzą światem, lokieć i szalę trzymając w dłoniach — ztamtąd rozsyłają gońców z udanemi wieści, by się ceny wzniosły lub zniżyły — tam konfiskują dobra, a odwołujących się do senatu wtrącają w czarne lochy lub przybijają do krzyża — widziałem — i w zgrozie odwróciłem oczy!

ALEKSANDER.

Potomki wielkich Konsulów, Dyktatorów!

ULPIANUS.

Ich okrucieństwa dziś nam wiernie posłużą. — Po nich jak po szczeblach ja cię do tronu powiodę — ale kiedy na nim zasiądziesz, niech te schody runą w otchłań nogą twoją zrzucone — a na to trza więcej niż nauk Chrystusa!

ALEKSANDER.

Znam trudy, które mi się dostały w udziale — nocy schodzą mi na rozpamiętywaniu czynów Dackiego Trajana — albo mu wyrównam, albo zginę młody!

ULPIANUS.

Aleksyanie! wspomnij także na Rzeczpospolitą i tam przypatrz się mężom, którzy w togach chadzali. — Ah! cóż nam zostało z ich świętych przykładów — gdzie lud rzymski, którego prawa brzmią mi dźwięczniej niż pieśni Homera, niż marzenia Platona? Wszystkie czoła przypruszone siwizną bez czynów — marną starością strachu lub znudzenia! Wróżbiarze, sofisty, śpiewacy, tancerki, zalegają forum — i wieki już przeszły od dnia w którym Julius pechnął konia w bród Rubikonu. Wstecz nie podobna się wrócić. — Za dni Kassjusza już za późno było — Bogów tylko prosimy o Pana, w którego prawicy odmłodnieje państwo choćby miasto różeczki oliwnej zabłysnąć w niej miało — żelazo Liktorów!

MAMMEA.

Znałam na wschodzie ludzi posepnych i świętych — oni mówili, że nadchodzi czasy i lepsze i nowe, że po tylu nędzach zjawi się Cezar, który uzna ich Boga!

ULPIANUS.

Nazareńczycy! — Augusto, strawiłem życie na myśleniu

o rzeczach boskich i ludzkich i nie dbam o te krety nurtujące starą ziemię naszą!

MAMMEA.

Z ślepego przesądu nie otrząśles się jeszcze. —

ULPIANUS.

Jowiszu kapitołiński, nie słuchaj jej słów bezbożnych. — Jam stary Rzymianin. — Jam wyrósł wśród pamiątek wolności i chwały, choć ich za dni życia mego już nie było na ziemi. — Państwo chylące się do upadku wydało tych mdłych gorszycieli, ale za naprawą jego musi nastąpić ich zguba! (chwytając Aleksandra za rękę) Tem tylko czem wzrosło, odbudujesz miasto — nieugiętym męstwem i tajemniczemi obrzędami naddziadów. — Wszystko inne niech przepada, cudze Bogi i ludzie cudzy!

ALEKSANDER.

Matka moja poważa chrześcian, bo w ich przepisach ukryte są skarby stałości i cnoty — patrz Dominicyanie na oczy jej zroszone łzami — ona lubi chrześcian, bo oni mi sprzyjają.

ULPIANUS.

Użyj ich więc za narzędzie, które skruszysz potem. — To moje ostatnie słowo o nich. (słychać muzykę) Flety syryjskie! — Może arcykapłan Mitry przychodzi odwiedzić kochanego brata. —

MAMMEA.

Nie. — On codzień o tej samej porze schodzi do ogrodów Palatynu z kochanką. —

ULPIANUS.

Słyszałem o tej Greczynce wiele zawitych powieści na wschodzie — przybyli z Rzymu twierdzili, że brat długo się przypochlebiał, a potem niecnie ją przedał Cezarowi. —

MAMMEA.

I wierzyłeś temu?

ULPIANUS.

Włosy moje siwe oddawna przestały dziwić się podłości choć jej może czarne dotąd nie pojmują. —

MAMMEA.

Ale pamiętasz Amfilocha od kiedy przyłynął za dni jeszcze wielkiego Septyma na Italskie brzegi — widziałeś zawsze go-

dność niezrównaną w postawie i słowach jego — czy na dworze, czy w własnym pałacu, on zawsze wyglądał gdyby drugi Cezar w Rzymie!

ULPIANUS.

Prawda — ale pamiątka jego wyniosłości mało tu znaczy, bo najczęściej syny wielkich ojców czołgają się poziomo w hańbie znikczemnienia. — Niech mi lud i senat rzymski odpowiedzą!

ALEKSANDER.

I moje też słowo nie stanie na świadectwo przeciwko Grekowi — choć nigdy nie znać młodzieńczej otwartości na jego bladych rysach, jednak coś szlachetnego żyje w całej jego postaci — nie wiem, co drzemie w głębi tego serca — wiem tylko, że tam ni strachu ni uniżenia nie masz!

ULPIANUS.

Jakże więc wytłómaczyć to co się stało?

ALEKSANDER.

Ślepem zrządzeniem nieubłaganej konieczności — kilka razy Imperator spotkał Irydiona idącego z Elsinoą. — Kilka razy do cyrku Flaviana razem przybyły ich rydwany. — Sam wtedy widziałem jak zaraz bratu mojemu nabrzmiały żyły po skroniach i jak złote lejce, któremi lwów swoich kierował z dłoni wypuścił. — I przez niebieską Venus! wszyscy, którzy tam stali póżerali ją także wzrokiem, bo piękniejszej nie widzieli nigdy!

ULPIANUS.

Dawniej kiedy u ojca bywałem, ona jeszcze greckim obyczajem zainknięta w Gineceum niezycjemu oku widzialną nie była.

ALEKSANDER.

Powiadam ci, że w całym Rzymie takiej drugiej nie znaleźć! — Byłem w sali Narcyssa kiedy Heliogabal czekał na nią pierwszej nocy porwania — oparty o mnie, zgrzytał i szczypał mi ramię, bo wtedy jeszcze dość łaskaw był na mnie. — Ja drżałem z oburzenia i litości, zdawało mi się czasem, że słyszę odgłosy walki — wtem wbiega prefekt pretorium, wiesz, nadworny błazen Eutylian i do ucha szepnie panu swemu: — Idzie Jasnowłosa. — Weszły karły i karlice, czarni rzezańce i lidyjscy fletniarze. — Idzie Jasnowłosa — powtórzył Imperator i skoczył,

ale natomiast wstąpił do sali orszak Gladiatorów w ciemnych tunikach — wszyscy 'nieznajomi na dworze. Brat mój opuściwszy głowę ugryzł mnie ze strachu, lecz Eutychień z grubym śmiechem oświadczył, że syn Amfilocha tych ludzi darował siostrze i Cezarowi. — Za ich rozstępującemi się rzędami ukazała się dopiero Elsione!

ULPIANUS.

Na pół zemdlona, niesiona na ręku służebnic?

ALEKRANDER.

Nie — owszem stanęła pośrodku sali i żadnego znaku bojaźni, hołdu, poszanowania nam nie złożyła. — Zrazu miała schyloną głowę, ale wnet podniosła kibić i czoło, wnet spojrziała ognistemi oczyma gdyby pani na wszystkich. — Cezar zawołał ją bliżej — ani postąpić, ani odpowiedzieć raczyła — wtedy skinął na nas i wyszliśmy wszyscy:

ULPIANUS.

Stara krew Helleńska w której coś boskiego zostało — a brat czy bywa u dworu, czy widuje siostrę?

MAMMEA.

Słysząc, że raz odwiedził Cezara i że długo z nim bawił — zwykle zaś stroni od ludzi, siedzi w pałacu swoim otoczony niewolnikami i barbarzyńcami, którym dobrodziejstwa sypie.

ULPIANUS.

I ojciec niegdyś to samo zwykł czynić. —

MAMMEA.

Rozkosz go nie wabi, zbytek nie ludzi — a choć widno, że myśl zacięta go dręczy, umie panować nad sobą i milczeć. —

ULPIANUS.

A gdyby ta myśl była żądzą zemsty za krzywdy siostry? — trzeba ufność jego pozyskać — zrazu błędne wskazywać mu cele — wreszcie prawdę z zasłon obnażyć. — Niechaj duma i skarby jego staną się naszymi sługi! — Lecz teraz mówcie z kąd poszło, że potwór tak zokrutniał, osiągnąwszy czego pragnął? — Ta niewiasta wpływ na nim wywarła niepojęty dla mnie!

ALEKSANDER.

Eutylian głosi, że ona dotąd nie uległa jemu — a od chwili porwania zamknął się w perestylu Agrypiny i odtąd ustały biesiady pałacowe.

ULPIANUS.

Tajemnica nie długo trwać będzie — on ją zamorduje by spalić na stosie arabskich kadzideł, a na wystawienie jego wydrze pierwszemu lepszemu życie i dobra, oskarżywszy go wprzód o zbrodnię zelzonego majestatu. — Lecz przed tem sam może — —

MAMMEA.

Nie Domicyanie, nie chcę by zginął śmiercią poprzedników. Panowanie mądrości i dobrego nie zacznie się mordem syna siostry mojej — powtarzam ci, że nadchodzą czasy miłosierdzia. — Ty go usuniesz od tronu i każesz zanieść jak śpiące dziecię na ziemię wygnania!

ULPIANUS.

Na to by trzeba Nazareńczyka. — Nie daleko od tych miejsc Brutus zamordował ojca swego — a ta lekka dusza nie miałaby pójść kędy poszły stroskane, wielkie cienie pierwszego z Cezarów!

MAMMEA.

Biada mi!

NIEWOLNIK (wchodząc.)

Irydion syn Amfilocha przyszedł powitać Severa Cezara konsula i szlachetną matkę jego!

ULPIANUS.

Zdarzyło się w porę. —

(Irydion wchodzi.)

MAMMEA.

Czyż zawsze z posępnem czołem — czyż boska Sofija nie zdoła pogodniejszym oświecić je promieniem?

IRYDION.

Niech ci Rzymianin co zginął pod Filipami odpowie, Augusto, ile mu owa boska przyniosła otuchy. — Zresztą nie poczu-

wam się do wyrazów liców moich. — Duch mój wewnątrz spokojny i zimny, niczego nie żałuje, niczego nie pragnie i niczego się nie spodziewa. — Jakże zdrowie twoje Cezarze? czy Bogi modłom twoim sprzyjają w tych czasach?

ALEKSANDER.

Dziś właśnie spełniły się życzenia moje. — Najmilszy mój Domicjanus przybył z Antiochji!

IRYDION.

Witam cię mężu konsularny. — Jeśli dobrze zapamiętam, uczęszczałeś niegdyś w progi ojca mego.

ULPIANUS.

Mowy Amfilocha brznią dotąd w uszach moich. — Żyjeż starzec, który często siadywał przy jęgu ognisku?

IRYDION.

Masinissa?

ULPIANUS.

Podobne imię. — Ojciec twój zapoznał się z nim na syrtach Getulów, jak sam opowiadał, wśród dnia skwarne go zbłąkany pogonią za tygrysami.

IRYDION.

On dotąd jak za dni ojca mego siadywa przy ognisku naszym.

ULPIANUS.

Pytam się o niego, bo nie raz mnie zastanowił myślą dziwną i gorzkim słowem; raz utrzymywał, że Tyberius był największym z Cezarów!

ALEKSANDER.

Jakto przez Bogi Many Antonina?

ULPIANUS.

Dowody Jego wyszły mi już z pamięci, to jedno przypominam sobie, iż tak sztucznie władał niemi, iż tak dzikie pomysły rozwijał o przeznaczeniu ludzi, żem milczał w przerażeniu.

MAMMEA.

Nie życzę sobie widzieć tak okropnego mówcy!

ULPIANUS.

Lecz kiedy czarowne wpływy jego rozumu odeszły odemnie, uspokoilem się jak człowiek co wytrzeźwia się z pijaństwa i własne odzyskuje myśli — bo jakżeż nie przeklinać tych, co miasto sprawiedliwości ucisk ludzioro rozdając, obywateli za to że nie zwierzęta posyłają pod różgi i topory Liktorów? Nie prawdaż synu Amfilocha?

IRYDION.

Tak lub nie — ile dusz tyle serc i sądów!

MAMMEA (do Aleksandra.)

Na twarzy niewzruszonej uważaj tę wargę spaloną, to oko w płomieniach!

ALEKSANDER.

Matko, ja chcę mu dobre, szczere słowo powiedzieć!

MAMMEA.

Czekaj jeszcze!

ULPIANUS.

Jednak sam nie więzisz ni katujesz niewolników, choć masz słuszne prawo śmierci nad nimi; nie odpychasz ubogich Swewów, Daków, Markomanów żebrzących w mieście. — Tak wieść głosi o Tobie!

IRYDION.

Matka moja barbarzynką była!

ULPIANUS.

A syn jej chce wmówić we mnie, że jest Epikurejczykiem!

IRYDION.

Przez Zeusa Olimpijskiego, stoikom nie udaje się teraz.

MAMMEA.

Ja może lepszych kolej nie obaczę nigdy — ale on, ale ty Irydionie, wstępując w złotą bramę życia — młodość jeszcze jak sen nad wami ulatuje i radzi wam: byście ufali słodszymprezczuciom — ani tobie, ani jemu jeszcze rozpaczać nie wolno.

ALEKSANDER.

Daj rękę synu Amfilocha. — Nieszczęście jak miłość wiąże ludzi z sobą — bądźmy przyjaciółmi, a może kiedyś razem będziemy się cieszyć!

IRYDION.

Dzięki wam szlachetni Rzymianie! znać was nadewszystkich ukochały Bogi, kiedy wam zostawiły nadzieję. — Lecz wcześniej czy później na was i na mnie przyjdzie koniec jeden — śmierć i zapomnienie!

ULPIANUS (do Mammei.)

Albo sztuką Danaów nas zwodzi, albo go Jowisz odlał z kruchego medalu (głośno.) A gdyby złudzenie prawdą się stało — gdyby cień który miasto zalega, ustąpił jak chmura przed pomyslnym wiatrem, a światło cnoty samo jedne zostało, cóżbyś uczynił?

IRYDION.

Uczciłbym nieśmiertelnych ofiarą i dziękczynieniem.

ULPIANUS.

A dla przyspieszenia dnia takiego nic byś nie przedsięwziął? — Czy rozumiesz mnie? gramy w przypuszczenia jak inni w koście — rozmawiany o niepodobieństwach, by prędzej uleciał czas który nam ciąży!

IRYDION.

Rozumiem cię lepiej niż Ty mnie pojmujesz.

ULPIANUS.

A więc?

IRYDION.

Przez Odyna, powiedz takiemu dniowi by zawołał na mnie, a ja mu odpowiem!

ULPIANUS.

Pamiętaj!

ALEKSANDER.

Pamiętaj!

IRYDION.

Nie zapomnę tej chwili Rzymianie! Zobaczymy się mężu konsularny!

ULPIANUS.

Gdzie idziesz?

IRYDION.

Czeka na mnie grono przyjaciół u stóp Awentynu i zastawiona biesiada i nowe jakieś pieśni sykulskiego Poety. — Idę ich słuchać, by prędzej uleciał czas który nam ciąży.

ULPIANUS.

Młodzieńcze, idziesz ducha własnego zapomnieć na łonie roz-pusty.

IRYDION.

Lucius Mummius nie nam nie zostawił prócz roskoszy i śmierci. — Długiego życia Aleksandrowi i Auguście Mammei.

(wychodzi.)

ULPIANUS, (patrząc za odchodzącym.)

Z tego wosku kto wie czy będzie wam można stronnika ulepić.

Inna część palacu Cezarów — podłużne Atrium z sadzawką pośrodku — mozaiki, freski wystawujące Faunów, Satyrów, nimfy — na słupach jaspisowych kamienne żółwie, skorpiony, krokodyle — wzdłuż ścian posągi Veneri i Bachusa. — Tu i owdzie grona dworzan — pretorjanów — tancerznic — muzykantów — karłów. — EUTYCHIAN prefekt pretorium — RUPILIUS — EUBULLUS — jego parasyty.

EUTYCHIAN.

Evoc Bachche! dla tego nic mi nie ubędzie, bo cóż zdola Cezara oderwać odemnie — jednak takich gości wcale mi nie potrzeba na dworze — i dzisiaj Imperator chce go widzieć — i dzisiaj kazał mi tu czekać na niego.

RUPILIUS.

Pół-Bogom podobny Eutychie. —

EUTYCHIAN.

Mów pół-boski. — Imperator jest całym Bogiem — ja zaś po Imperatorze pierwszy. —

RUPILIUS.

A więc pół-boski Eutychie, pozbawmy go wierzchniego światła. — Niechaj dulces moriens reminiscitur Argos!

EUTYCHIAN.

Evoc! — tylko mi nie przywódź wierszy Marrona. — Nasi starzy za Augusta nie pojowali sztuki.

(zamysła się.)

RUPILIUS.

Nie mieli wyobrażenia o sztuce. —

EUBULLUS.

Nic zgoła się nie domyślali, co to poczyła!

RUPILIUS.

Bez żadnej wyobraźni. —

EUBULLUS.

Mniej jak bez żadnej.

EUTYCHIAN.

Zgoda, trza usłać mu drogę do cieniów. — Tym czasem posłuchajcie tej pieśni. — Boski ją Neron dla swoich karłów napisał!

RUPILIUS.

Oto był zaszczyt muzyki i rytmu.

EUBULLUS.

Prawdziwy brat siostr dziewięciu.

CHÓR KARLÓW.

Stoim z ubocza, a na szczycie wieży pan nasz stroi lirę swoją — u stóp jego wśród nocy czarnej i mglistej pali się miasto Bogów!

— On wzniecił te ognie — on chciał widzieć jak Troja gorzała laty — on żyć nie mógł jak żyją śmiertelni! płomieńmi więc się otoczył i stał się panem dramatu z ognia!

Dźwiękami jego nęczone ze wzgórze, coraz bliżej wśród jęków i szumów podskakują ognie. Nad miastem co przepada, inny Rzym rośnie w powietrzu. — On dziko świetnieje w piramidach z iskiei i słupach syczących płomieni!

A my klaszczem w dłonie, krzyczymy z radości. — Dzieci zniszczenia nadszedł wysokim i pięknym. — Na falach Flegetonu pałace i świątynie nikną — a nam nie nie będzie — nas ocalił mistrz sztuki i dźwięku!

FILOZOF, (zbliżając się do Eutychiana.)

Ty co niejako wszystko możesz i jesteś drugim Bogiem w Rzymie, racz dozwolić Anaksagorowi Neoplatonczykowi dwa razy na tydzień głośno czytać i mówić w Termach Karakalli.

EUTYCHIAN.

Jakie twoje zasady? — jakich Bogów wyznajesz? Czyś trzeźwy czyś pijany kiedy uczysz ludzi?

FILOZOF.

Bogiem moim Jedność w Jedności Jednością poczęta, wszystkim niejednościom z konieczności przeciwna i zawarta sama w sobie, wzierająca w siebie samą.

EUTYCHIAN.

Satis est — tą nauką nie przewrócisz państwa. (do Rupiliusa) Chyba go Tyresias w piekle zrozumie.

RUPILIUS.

Chyba Cerber z trojaką paszczką.

EUBULLUS, (do Rupiliusa.)

Znamienity Rupiliuszu, kazaleś mi wczoraj coś zapisać na tabliczkach.

RUPILIUS.

Czytaj mój miły.

EUBULLUS (czyta.)

— Pojutrze Gladiator Sporus i Tygrys Ernan. —

RUPILIUS.

O trzy razy szczęśliwe przypomnienie — wielki Eutychianie!

EUTYCHIAN.

Co?

RUPILIUS.

Z siebie uczynię ofiarę dla ciebie.

EUTYCHIAN.

Przez Isysa, Anubisa lub jakiegolwiek egipskiego bałwana, wdzięczny ci jestem — ale cóż takiego?

RUPILIUS.

Z Maurytanji sprowadziłem tygrysa centkowanym złotem i hebanem — w nozdrzach gdyby krew świeża ludzka, w ogniu

siła dwóch koni. — Mam gladiatora dzielniejszego od wszystkich nadwornych, człowieka co mi się zaprzedał z głodu, prawdziwego Krotoniatę. — Sprosiłem zatem wszystkich miłych moich na biesiadę i już założyłem się z Carbonem o cztery przeciwko jednemu, że Sporus zamęczy Ernana — ale kiedy losy nas zmuszają, trza do innej walki użyć Gladiatora!

EUTYCHIAN.

Stój! (do pretorianów) Zaśpiewajcie waszemu wodzowi *Evo c flety* i strony w brzęk! (do Rupiliusa) teraz mów dalej.

CHÓR PRETORIANÓW.

Niech żyją kości i wino — sesterce i róże. — Dopóki czara się pieni, dopóki Plutus się uśmiecha, stopy nasze do tańca, ręce gotowe do boju. — Daj nam choćby czarne po syrtach murzynki, choćby śniade po lasach Germanki! Partów i Getów starym obyczajem nie chodzimy ścigać. — Ojce nasze leżą w grobie, z niemi nużące pochody. — Tu na łożach, tu czoło ustroiwszy bluszczem, tu w Rzymie czekamy na wrogów — niech nadejdą — wtedy z objęć czarnowłosych, wśród dźwięku szklanic, porwiemy się do tarczy i odporu — do miecza i rzezi! Teraz *Evo c!* niech żyją kości i wino, sesterce i róże!

EUTYCHIAN.

Choćby się nie udało to krzywoprzysięższ?

RUPILIUS.

Świadcząc się wszystkimi Bogi Chaldei i Syryi.

EUTYCHIAN.

Jacta est alea — dziś jeszcze.

RUPILIUS.

Otóż i nasz Grek bladawy.

(Trydion wchodzi i idzie ku Eutychianowi.)

EUTYCHIAN.

Aż dreszcz po mnie przeszedł — w oczach jego coś piekielnego — mówią, że jego ojciec był czarnoksiężnikiem. —

(Opiera się na Rupiliuszu.)

RUPILIUS (usuwając się.)

Pół-Bogom nie wolno się lękać.

IRYDION.

Stawiam się na godzinę naznaczoną. — Eutychie nie prowadź mnie, gdzie przykazano tobie!

EUTYCHIAN.

Tak — zaraz, znamienity Greku. (do Rupiliusa) Jaki człowiek, jaka duma. — *Vae capiti ejus!*

RUPILIUS (do Eutychiana.)

Zdrój Lethe wyleczy go z pychy. —

IRYDION.

Na dworze Cezara wy wszyscy czas tracić lubicie. — Idźmy!

EUTYCHIAN.

Tędy, szlachetny Irydionie.

(wychodzą.)

Inna część pałacu Cezarów — szczyt wieży otoczony kolumnadą.

HELIOGABAL, ELSINOE.

EL SINOE (odechodząc).

Powierzam cię Bogom i sile jego!

HELIOGABAL.

Ty okrutna!

(Irydion wchodzi, Elsinoe zatrzymuje się.)

EL SINOE.

Księżyc wschodzi — wrą ogień i kipi trucizna!

(Znika.)

HELIOGABAL.

O ratuj mnie — lub jeśli nie możesz ocalić, nie zwodź, nie udawaj, wyznaj od razu, a ja ciało moje białe przebiję tą złotą klingą (zdejmuje puginał z filaru) czy widziałeś kiedy takie szmaragdy?

IRYDION.

Zkąd boskiemu Cezarowi przyszło dzisiaj myśleć o zawczesnym zgonie?

HELIOGABAL.

Cyt przyjacielu! — mylisz się, jeśli sądzisz, że Cezar nie zdoła się zabić — a z tego puharu jeśli wypiję Elizejskie pola

(bierze czarę z Trójnoga.) Sto nurków przepadło w morzu nim jeden tę perłę wy dostał — nie zrównana!

IRYDION.

Z tej czary pić będziem zdrowie Słońca ale pod innym niebem, wśród innych ludzi. —

HELIOGABAL.

Spojrzyj mi w oczy. — Czy ty nie kłamiesz? ah! odwróć oczy. — Bogi w nich szczerem ogniem zapisały, że matka twoja czarownicą była. — Przystąp bliżej filarów — trzymaj się kraty — mów co widzisz w dole. —

IRYDION.

W głębi dziedziniec iskrzy się od drogich kamieni, gdyby jasnolite dno czarnej przepaści!

HELIOGABAL.

Sam, sam wybierałem topazy, beryle i ostre kanty Chrysolitów i krwawe Onyxy. — Dzień jeden i noc całą brukowali ten podwórzec, a ja nie zasnąłem, nie odszedłem aż skończyli — wtedy ich wszystkich stracić kazałem!

IRYDION.

Kogo?

HELIOGABAL.

Podle niewolniki! — co się pytasz o nich? — Oni poprzędzili pana swego. — Czyż w Rzymie kto powinien wiedzieć, że się Cezar do śmierci gotuje! — było ich stu tylko i chłopiąt dwoje. — Ah! ja nie oddam w ręce ludu śnieżnych członków moich — ja tu głowę moją świętą rozbiję — niech po djamentach krew moja spływa do Erebu!

IRYDION.

Cóż grozi tak nicodzownie?

HELIOGABAL.

Aleksjan — przebrzydłe imię. — Aleksjan! aby zginął przed czasem. — Aleksjan! potrójnej Hekacie głowę jego poświęcam — on, on, Aleksjan czarne waży myśli i gotuje zdradę. —

IRYDION.

Opatrzne oko moje wyciężone nad nim i nad matką jego. —

HELIOGABAL.

Nie przerywaj mi — nie broń go jeśli mile ci powietrze którym oddychasz — słuchaj — na to byś słuchał, przyjsć ci kazałem. — Szpiegi mi donieśli, że z Ulpianem się naradza, że od kilku dni bledszym się wydaje, że w zadumaniu to odwija, to przygłaszcza puklę — a ten Ulpianus, co przyleciał z Antiochji, ha! czy wiesz co on zamyśla?

IRYDION.

Słyszałem często o nim jako o zawołanym prawniku —

HELIOGABAL.

Ty go chwalisz — o Bogi nieśmiertelne! — a ja ci mówię że bez tego człowieka od lat trzydziestu żaden spisek się nie obzedł. — Domicianus Ulpianus. — Słodki na pozór w mowie, ale stoik nicubłagany, zawsze gotów zabić panującego, lub jeśli się nie uda, samego siebie — istny spisek chodzący, jedzący, pijący — żywe przekleństwo dla jakiegokolwiek rządu — miecz Damoklesa nad głową moją — i ty mi go chwalić będziesz! — prawnik zawołany! — Proch! Jupiter! nie tylko jego, jabym same prawo zamordował — mówże co robić?

IRYDION.

Nie rozpaczać kiedy jeszcze cicho i spokojnie, a jeśli przyjdzie do niebezpieczeństwa, na mnie polegać!

HELIOGABAL.

A jeśli już odzywają się wróżby mojego pogrzebu? — jeśli przeciw Bogom siostry twojej inne silniejsze się podnoszą? (tutaj rozwijaj) patrz. — Symmach Niger opisuje mi straszne znaki, co objawiły nad Dunajem — o wschodzącem słońcu, otoczone świętym orszakim Bachusa, wśród głów bluszczem umajonych, wśród rąk potrząsających Tyrsami, widmo Aleksandra Macedońskiego stanęło na szerokim błoni. — Zbroja lśniła się na piersiach jego, ta sama, którą nosił, kiedy zmiotłszy Dariusza szedł podbijać Indje. — Hełm gorzał na pochylonej głowie. — Za nim stąpali wodzowie polegli oddawna. — Ludy Moesji i Tracji bili przechodzącym głębokie poklony i cisnąc się za nimi doszli aż do brzegów morza. — Tam w powietrzu rozwiały się umarłych cienie! (opiera się o kolumnę) Podaj mi Falernu —

(bierze puhar.) Tak, Aleksander Severus z rąk Macedończyka weźmie państwo i życie moje! *Dii avertite omen!*

IRYDION.

Alboż wyszło ci z pamięci, że syn wielkiego Septymiusa niegdyś ukochał matkę twoją? Alboż zapomniałeś, że dusza Macedończyka żyła w boskich piersiach jego? a teraz kiedy bohater, co był opiekuńczym duchem ojca twego z grobu powstaje, by chwałę ci zwiastować, ty bledniejsz i potrzeba ci wina — pociech — ręki przyjaciela, byś nie zemdlął i na ziemię nie runął. — Hańba ci synu Karakalli!

HELOGABAL.

Nie — nie — on Aleksandrowi, on wschodzącemu słońcu się uśmiechał blademi ustami — mnie twarz każda, głos każdy, lud, senat, pretorianie, Rzym cały śmiercią grozi. — Ja czuję, że mnie razem, zgodnie, krok za krokiem odrywacie od słodkiej matki ziemi, i wszyscy ilu was jest, wleciecie do piekła!

IRYDION.

Bądź lepszych myśli. — Czyż w odwiecznej walce między człowiekiem a miastem, człowiek nigdy wygrać nie zdoła?

HELOGABAL.

Co mówisz!

IRYDION.

O losach waszych! Zginęliście jedni od miecza, inni z rąk własnych, wszyscy wśród hańby i przerażenia, zdradzeni przez powierników — przekłęci od nieprzyjaciół. — Dla czegoż jednym trybem zawsze dziać się mają sprawy ludzkie? Rzym do tych czas knuł spiski, mordował Cezarów — niech Cezar stanie się spiskowym, niech Cezar uderzy na wroga!

HELOGABAL.

Kto? jak? widzę potęgę na czole twojem ale jej nie pojmuję!

IRYDION.

Czyż te palace, świątynie, cyrki, czyż ten zamek trzy razy spalony z strym Bogiem swoim nigdy upaść nie mają? Czy nie słyszałeś o miastach wschodu piękniejszych i ogromniejszych, co niegdyś były cudem dla ludzi, pieszczotą dla Bogów? a dziś tłumy piasku przechadzają się po nich i na zwalonych arkadach

samotne skowyczą hyeny! Czyż Hierozolyma z rojami wściekłych obrońców oparła się wszystko niszczącym losom? a jednak miała Boga samotnego i silnego jak Fatum! — Idź i zapytaj się pustyni z czego powstały! — A te wzgórza osadzone marmurami i granitem, czyż to nieśmiertelne Bogi? Patrz na nie i zrozumiej słowa moje. — Oto prawdziwy Aleksjan, oto wróg twój mściwy, rozciągnięty u nóg twoich, ale nadymający się dniem i nocą by obalić ciebie. — Jeśli go nie ubieżyysz, biada ci nieszczęśliwe dziecię w ramionach Olbrzyma (chwytą go za rękę). Wznieć silną wolę w sobie — ten świat, który ci wskazuję, wyzwij do boju! Stań się! czem kilku było na ziemi: Niszczycielem — a te gmachy pijane życiem tysięcy, te wille rozigrane w promieniach słońca, te trofea, te wszystkie pamiątki i rozkosze ludzi oddamy w puściznie po ludziach skorpionom i węzom!

HELIOGABAL.

Teraz przejrzałem! Nie raz to samo czułem, pragnąłem. — Ha! jaka chwała dla Mitry, kiedy Jowisz kapitoliniński piasek gryźć będzie — ale czyje ramię podejmie się czynu! kto powstanie na święty zamek i na wieczne miasto?

IRYDION.

Syn kapłanki i Amfilocha greka.

HELIOGABAL.

Czy myślisz, że jaki żołnierz pójdzie za tobą lub za mną w tak ostatecznej chwili? a senatory, a rycerze, a lud wreszcie cały! — Bój się nieśmiertelnych — co tobie się stało, co ty zamysłasz Irydionie!

IRYDION.

Z natchnienia Bogów Cezara ocalić!

HELIOGABAL.

Strach mnie ogarnia. — Geniusz miasta zwyciężył wszystkich, jażbym się miał targnąć na niego!

IRYDION.

Żyj więc w trwodze dopóki nie skonasz w mękach.

HELIOGABAL.

Dopełnij zlecenia Bogów potężny śmiertelniku — purpurą cię obłóczę — zdejmę sandały z nóg własnych i do twoich je przywiążę, jedno bądź mi ku pomocy, nie opuszczaj mnie, wybaw mnie od śmierci!

IRYDION.

Zbawić cię tylko mogę rozpadnięciem Senatu, wycięciem Pretoryanów i przeniesieniem stolicy!

HELIOGABAL.

Senat rozegnać, to jeszcze, to jeszcze potrafię — ale reszty dokonać?

IRYDION.

Dawniej Katylinie, późniejszymi laty Neronowi nie brakło na pożarnikach. — Łatwiej rozrzucić w perzynę to co żyje dzisiaj, niż zbudować w głązy to, co ma żyć jutro. — Zresztą ci co się zostaną na zgłiszczach, zwać się jeszcze będą Rzymianami. — Długo jeszcze kilka pałaców rozpadłych na chaty, zwać się będą Rzymem. — Zostawić zgrzybiałym dzieciom to imię drogie — ale siły żywotnej, ale siły pochłaniającej już nie będzie w tych miejscach. — Cezarze! w dniu wielkiego morderstwa ja sam ludzi ci dostawię i stanę przy boku twoim!

HELIOGABAL.

Zkąd — jakich — gdzie oni?

IRYDION.

Nie tobie jednemu Rzym wszystkie dni życia powlekl śmiertelnymi ciemnościami. — A niewolnicy, a Gładjatorowie, a barbarzyńcy, a wyznawcy proroka nazareńskiego? Ty na czele, oni w ostatnich ciągną szeregach, ale ich i ciebie zarówno geniusz Romy przeznaczył boleśnemu życiu i haniebną śmierci! Zbijmy więc ich nędze w jeden podrzut zemsty, na jedną chwilę tylko — a panowie amfiteatru, a żołnierze pretorium, nie dotrzymają kroku tyłu zgłodniałym, namiętym i wściekłym!

HELIOGABAL.

Dobrze — dobrze — a potem czyż oni nas samych nie pożą — gdzie się podzić wśród takiego zgielku! Kto skróci ich zuchwałość, czem pragnienie krwi zgasimy w ich piersiach?

IRYDION.

W pierwszych dniach zemsta i chciwość upiją się krwią i złotem wśród pożaru miasta. — Następnie ich ramiona i chęci związane tylko wspólną nienawiścią Rzymu, rozpręgna się i każdy wróci do przesądów wiary swojej, lub do zwyczajów swojego narodu. — Wtedy już rozdzielonych i osłabłych na wschód pociągniem za sobą, obietnicami lepszej jeszcze rozkoszy. — Tam wymrą od skwarów nieznośnego słońca, wymrą od zbytków, na które się rozpaszą obyczajem zwycięzców i dzikich — a reszta rozplynie się i wyschnie wśród ludów, które cię kochają i Boga twego wyznają. — Naprzód więc bez trwogi, ale w milczeniu śmierci — inaczej nigdy nie dorwiemy się życia!

HELIOGABAL.

Io triumphel! Tyś z Prometeuszem razem chodził po ogień do niebieskich progów — (klaszcze w dłoń). O gdybym nową świątynię zbudował w Efezie — o gdybym żyć mógł wśród wieszczbiarzy moich!

IRYDION.

Młode państwo założysz na miejscach, w których wzięłeś życie — wolny od bezsennych nocy, razem Arcykapłan i Cezar, podobny starożytnym Pół-bogom Nilu, słodkie dni pędzić będziesz wśród dymów aloesu i mirry, wśród tonów cytary i fletu. — Gdzie spojrzysz tam czołgać się będą niewolniki ciche i stopę wegniesz w ich karki czarne. — Co zażadasz stanie się twojem — co każesz ludziom zapomnieć, zapomną — co każesz pamiętać, zapamiętają — wielkie imiona przeszłości zgasną w obliczu twojego — a nie będzie już wtedy senatora lub prawnika, coby marząc o Rzeczypospolitej śmiał przedrzyżniać twoją Mitrę chaldejską, natrzasać się z obwisłych rękawów wschodniej szaty twojej!

HELIOGABAL.

Przemierzcie Kwiryty! niby ich stara toga, ich fibule, ich tuniki, piękniejsze! Mitro słuchaj mojej przysięgi — obym nigdy do twoich promieni się nie dostał, oby geniusze nocy członki moje rozerwali, jeśli wszystkich Bogów Rzymu spętanych w łańcuchy, nie rzucę przed twoje ołtarze. — Synu Amfilocha,

co radzisz, uważam za dobre i pożyteczne — przez Baala i Astarata zburzyły to miasto — radź dalej tylko!

IRYDION.

Każ potajemnie skarby twoje wywieść do Efezy. — Zabawiaj lud igrzyskami, pretorjanów hojnemi datkami — a tymczasem ściągaj do miasta z legji Vindelickich zaciężne Goty, z nadreńskich zaciężne Cheruski — w miarę jak będą przybywać ja zapoznam się z nimi — matka nauczyła mnie dzikiej mowy północnych!

HELIOGABAL.

Zapominasz o włoskich legjach stojących w Efezie, w Tarsus, w Pergamie, w Milecie. —

IRYDION.

Wyslij gońca do pretora Variusa by je zgromadził i najśpieszniejszym pochodem udał się na Partów. — Zajętych nad Kaspią przykremlu utarczki dojdzie wieść o tem co się stało w Rzymie — wtedy jednych złowi nieprzyjaciel, drudzy się rozsypią, inni przybiegną połączyć się z nami i żyć z łask dworu twojego.

HELIOGABAL.

Bitne to kohorty — pomyśl jeszcze — może niebezpiecznie?

IRYDION.

Nie lękaj się nikogo po zniszczeniu Romy. — Bezkarne deptać można po ciele z którego wyleciała dusza — a my samą duszę państwa, duszę świata wydrzem i zabijem!

HELIOGABAL.

A gdyby nas Aleksjan uprzędził tymczasem? Zamiejskie pretorjany szemrzą coraz bardziej i piosnki nucą o jego odwadze. — Ulpian senat przyciągnie. — Obudzą mnie w nocy, przerzną mi gardło — —

IRYDION.

Ty wprzódy wyrzeczysz nad nimi — Salve Eternum. — Tylko Eutylianowi nie zwierzaj się z niczem — przybierz zimną i spokojną postać — odwiedź Aleksjana i Mammeę — a kiedy z nimi będziesz rozmawiał, niech słowa słodkimi, niech spojrzenia twoje spokojnemi będą. — Uwierzali czy nie, zawždy to ich wstrzyma na czas jakiś od stanowczego działania. —

HELIOGABAL.

Uśmiechnijcie się Bogi! Nitro, rozjaśnij zasepione czoło! — Venero, matko lubieżności, połóż się na modrych falach, lejącemi otoczona syny! Bachusie, pij zdrowie Heliogabala! Dajcie róż i Falernu. — Chodź najmilszy z ludzi — rozciągnij się na purpurze — pić będziem i chwalić Bogów za to że wróg nasz zginie! (skacze mu na piersi). Ten pocałunek weź od Cezara — nieprawdaż — wonne usta moje i gładkie czoło wzorem najśliczniejszej dziewicy? — Chodź. — Ja i Elsinoe panować będziem na Syryjskich wybrzeżach, tam gdzie święte gwiazdy rozmawiają z ludźmi o losach przyszłości.

(wychodzą).

Ogród Cezarów na pałatyńskim wzgórzu. — Pod posągiem Diany.

ELSINOE I IRYDION.

ELSINOE.

Dalej iść nie sposób, za długo by mi wracać było. — Lecz ty nie opuszczaj mnie jeszcze. —

IRYDION.

Śpieszno mi także — ostatnia czerwień słonecznych promieni już umiera na szczytach Amfiteatru; a nim wrócę do siebie, muszę zamiejskich pretorjanów odwiedzić. —

ELSINOE.

Nie proszę o długie godziny — błagam o jedną chwilę tylko (kładzie głowę na podstawie posągu). Spójrz na twarz niepokalanej — patrz, obwiała ją tunika zmierzchu. — O jabym mogła była kochać jak ona, kiedy wśród cichej nocy oparta na łuku złotym, spuszczała się przez fale błękitu by marzyć nad sennym Endymionem! — A teraz pójdź, zapytaj się ludzi na co wyszła siostra twoja? — Między Pappęą i Messaliną, odpowiedzą ci, postawiono jej ołtarze. —

IRYDION.

Kto się poświęcił dla dobra ludzi powinien o ich sądzie zapomnieć. ~~X~~ Czy wiesz kto jest Bogiem Nazarenów? Ten co

dla zbawienia braci sam przystał na hańbę Krzyża! — O Elsinoe i nam podobne dostały się losy!

ELSINOE.

Ty już cudze wiary przejmujesz! szukasz pociechy u tych którymi pogardzili ludzie! Ale ty znasz Aleksandra, wiesz jak go wychowała Mammea, słyszałeś o nim przepowiednie starców że zrówna kiedyś boskiemu Aureliuszowi! — Wczoraj w przysionku Dejaniry napotkałam Jego. — Zatrzymał się i spojrzął — pierwszy wzrok był niepewny, drżący — drugi już mocniejszy, wyrazistszy — wreszcie odwrócił się w milczeniu pogardy.

IRYDION.

On i wszyscy żyjący w tem mieście przeznaczeni zgubie. —

ELSINOE.

Precz, precz, ja nie żądałam zemsty — odwołaj, odwołaj!

IRYDION.

Biedna uspokój się. — Nieszczęśliwa, jakże ci teraz — w nagłej bladeści zdałaś się omdlewać przed chwilą?

ELSINOE.

Lepiej mi, lepiej — daruj — nie do takich żalów powołały mnie Bogi — idź — ja wrócę kędy mnie furyc czekają — ja pójdę stopy wikłać z gadem co nieustannie płąsa na około. Tam zawczesna starość w nagrodę upodlenia i męki — tam konwulsya wstrętu — ale cicho, cicho — ty nie znasz tajemnic dziewiczego łona!

IRYDION.

Ach! ty coś niedawno płonąła życiem tak promiennem, nimfo ruchu i piękności, gdzieżeś się podziała? Tę łzę co spływa po twarzy mojej wylałam dla ciebie. — Lecz teraz oddal się — pamiętaj na wyroki Odyna i dotrwaj do końca.

ELSINOE.

O bracie!

IRYDION.

Pogardzonemu szalów przysparzaj, doniszczaj rozum Jego i życie — Vale!

ELSINOE.

Niechaj cienie Amfilocha i Grimbaldy będą na około ciebie — — Vale!

Sala Amfiocha w nocy — IRYDION wchodzi z MASYNISSĄ — za nimi przelozony niewolników.

IRYDION.

Czegoś chciał Piladzie?

PILADES.

Ani słowa nie przemówił — jedno zasiadł i postanowił czekać na ciebie. — Myśmy zwykłym obyczajem domu twojego, dali mu chleba, mięsa i wina. —

IRYDION.

Niech wejdzie. —

(Wychodzi Pilades.)

MASYNISSA.

Strzeż się tego człowieka. —

IRYDION.

Czemu?

MASYNISSA.

Ten człowiek przychodzi cię zabić — masz!

(miecz mu podaje).

IRYDION.

Jeśli prawdziwe twoje przecucie, szkoda tej kartagaskiej stali. — Tym pucharem z którego pijał Amfioch roztrzaskam mu głowę (wchodzi Gladiator). Czego chcesz niewolniku?

GLADIATOR.

Przez chwilę być sam na sam z tobą. —

IRYDION.

To mój powiernik — mów śmiało przed nim. —

GLADIATOR.

Pan rzekł do mnie! — Miasto darcia się z tygrysem, zamorduj Greka a będziesz wolnym. — Lecz ten który mnie przysłał, sto razy gorszym jest od ciebie (rzuca sztylet na posadzkę). Niechaj przepadnie niewola! —

IRYDION.

Kto cię przysłał?

GLADIATOR.

Człowiek nowy, podlec i tchórz, okrutnik i lichwiarz. —

IRYDION.

Ha! to pewno Rzymianin!

GLADIATOR.

Zgadłeś — Actius Rupilius. —

IBYDION.

Nadworny błazen nadwornego błazna — (kładąc puchar). Wiedziałem o tem — patrz — czaszka twoja rozpaść się miała na odciski tej rzeźby korynckiej!

GLADIATOR.

O synu Amfilocha nie przełękłem się ciebie. — Roślejszym i dzikszym parłem stopą piersi na piasku Areny — ale głodny byłem — jeść mi dali w pałacu twoim — spragniony byłem — dali mi wina w pałacu twoim — czekając na ciebie słyszałem braci Gladjatorów, którzy imię twoje błogosławili. — Teraz bądź zdrów, ja zginę jutro pod kłami tygrysa. —

IRYDION.

Nie — ty żyć będziesz i zemścisz się niewoli twojej na panach twoich. — Ho! Pilades!

(Pilades wchodzi.)

Sto sesterców wydać temu człowiekowi i tunikę i pierścień żelazny jaki noszą domownicy moi. — Imię twoje?

GLADIATOR.

Za dni dzisiejszych zowią mnie Sporusem.

IRYDION.

W mowie twojej prostej coś dumnego się odzywa. — Ostatek jakiejś przeszłości żyje w tobie, jak promień lampy wymykający się ze szpary sarkofagu. — Jeszcze raz pytam się o imię twoje?

GLADIATOR.

Niegdyś przodków moich na wzór Jowiszów czcił lud i senat rzymski — ale to przeszło. — Imię moje: Lucius Tiberius Scipio!

IRYDION.

Marzysz niewolniku — ród ten wygasł już oddawna. —

GLADIATOR.

Ale tylko w pamięci ziomeków — ostatniemu z naszych, o którym świat wiedział, Nero zabrał żonę, pałac w Rzymie,

imięna w Italii, Sycylii i Afryce — i posłał go na wygnanie do Chersonezu — syn jego po latach wielu wrócił do miasta o zebranych chlebie — odtąd jesteście nędzarze, a ojciec mój już był Gladiatorem!

IRYDION.

I nikt was nie poratował w Rzymie?

GLADIATOR.

Kto miał wspomóc starego Patrycyusza? Czy prawniki naszych Liktorów, dziś bogate Pany? Czy Imperator, wróg przeszłości, morderca pamiętek? Ojciec mój hakami wywleczony z Amfiteatru, skonał w spoliarium przeklinając Bogów. — O! niech przepadnie miasto które opuściło wnuki swoich konsulów (podnosi sztylet). Jedno słowo tylko, a pójdę Rupiliusa, tego dzisiejszego Rzymianina zabić!

IRYDION.

Śmierć jednego jest szaleństwem dziecka, tam gdzie trza śmierci tysięcy. — Zachowaj się na szersze pole, do lepszego dzieła.

GLADIATOR.

Jeśli dzień taki lub owaki bliski, w którym można będzie mścić się i łupić, to ci przywiode Verresa, Kassiusza, Sullę — wszyscy z dawnych jako ja, i wszyscy w nędzy!

IRYDION.

Każdy z nich znajdzie schronienie pod temi filary — na teraz dom mój niechaj będzie naszym. Vale.

MASYNISSA.

Idź, żądaj zemsty sercem całym, a losy ci jej nie odmówią. —
(Gladiator wychodzi.)

IRYDION.

Wygrywam starcze, wygrywam! Ah! Triumfatory dawne, coście braci moich spętanych w łańcuchy wiedli obok królów w kajdanach, zburzyciele Kartagi, Koryntu, Syrakusy, patrzcie! — Ostatnia Scipio stał się sługą i Greka narzędziem — przyszedł żebrać u niego i jadła i mordów! — Ah! doczekałem się upadku przeklętych i dumnych. — Masynisso! tym kieli-chem pij zdrowie Scypionów!

(nalewa mu i daje.)

MASYNISSA.

Długiego powodzenia rodowi Scypionów!

(oddaje w ręce Irydiona.)

IRYDION (pije i rzuca puhar.)

A jako ten kamień drogi, niechaj pryśnie pycha Romy!

MASYNISSA.

Pochłaniamy stopniami cudze wole i siły — rośniemy Sygurdzie, ale dopóki Nazaret niewrócony na naszą wiarę, dopóty nie zdołamy walczyć wstępny i zwyciężkim bojem!

IRYDION.

Starzec — Bóg przed którym oni zginają kolana i myśli, ku czarnym sklepieniom długo trzymał wzniesione ramiona, wzywał ducha i wpoił tego ducha w skronie moje rękoma drżącemi, z których sączyła się woda tajemnicy — grono białych wynędzniałych braci śpiewało, powtarzając imię moje nowe: — Hieronim, Hieronim — a ich głos ciągnął się jak pogrzeb nadpowietrzny, niewidomy — w tej pieśni jednak były słowa nadziei!

MASYNISSA.

I znamię ich zawiesiłeś na piersiach?

IRYDION.

Zawiesilem. —

MASYNISSA.

Przycisnąłeś do ust w pokorze?

IRYDION.

Przycisnąłem. —

MASYNISSA.

Dobrze — teraz ich serca się rozdzieli! —

IRYDION.

Już zaczęły się mięszać — w starych, w tych którzy odbyli męczeństwo, i niebo jak twierdzą roztwarte nad sobą widzieli, napróżno chciałem rozniecić iskrę zapału — odpowiadali mi zawsze te same słowa — jak strumień co zawsze o jedne rozbija się zwiry. — Przebaczenie — Zapomnienie — Miłość zabójcom. — Ale młodszy, świeżo namaszczone żołnierze, niewolniki, barbarzyńcy, pielgrzymi, co odwiedzili pustynię Egiptu, coś dzielniejszego czują. — Ich wzrok się płomieni na

wzmiankę obelg i męczarni. — Ich serca przynajmniej czegoś pragną na świecie. — Zrazu błogosławią złemu co ich gniecie, ale wreszcie, kiedy krew zagra im po żyłach, chcącym niechęcym wyrzucam przekleństwo. —

MASYNISSA.

Na to, byś wcielił królestwo nie tej ziemi w namiętności ziemi, trza ci niewiasty. — Oni ubóstwili córkę dzieciństwa i wczesnej starości; z łupów cielesnych roskoszy wydumali parę tajemniczą; oni przed niewolnicą męża schylili czoła. — Z tyłu dziewic które tam wędnieją w modlitwach i postach, jedną wybierz i rzuć im po nad dusze. — Uczyń ją zwierciadłem myśli twoich — niech je odbija i ciska na okół bez pojęcia, bez czucia — ale siłą co w piersiach męża góruje porwana i zniszczona!

IRYDION.

Znam jedną — wszyscy darzą ją imieniem błogosławionej i świętej przed czasem, a ona lubi mi rozpowiadać niebiosa. —

MASYNISSA.

Tknąłem i odbrzękła mi struna — nieprawdaż, oko jej czarne jak węgiel, błyszczące jak żary — ród Metellów kończy się na niej? —

IRYDION.

Wiesz — po co się pytasz?

MASYNISSA.

Pamiętaj chwalić jej Boga, każdą rangę Jego chwalić, z każdym gwoździem, co przebił Jego, żałośnie się pieścić. — Ona się kocha w tem ciele rozkrzyżowanem, w tych rysach, które sobie wymarzyła piqknemi, gasnącemi w zwycięstwie miłości. — Ona ich nie widziała, kiedy konały ze wstrętem bólu, w milczeniu osłabienia, zmazane krwią, z wichrem gwizdzącym wśród włosów! — Słuchaj, przeprowadź Jej myśl od niego do siebie — on daleki, on był kiedy na ziemi, on nie wróci nigdy. — Ty żyjesz i jesteś przy niej. — Ty będziesz Jej Bogiem! Alma Venus i Eros sprzyjajcie!

IRYDION.

Ah! kto zbada tajnie Jej bytu, kto schwyci źródła Jej życia? — Ona żyje ciemnościami w tych puszczech podziemnych,

widoma i niepojęta, nacechowana boleścią i z niej wyludzająca urodę. — Sam Fidiasz by jej kształtów wszechmocnem nie zatrzymał dłutem — ona całą piękność swoją uniesie z sobą razem w ostatniem westchnieniu! Przeciwno niej ja słaby jestem!

MASYNISSA.

Czego się walasz i wątpisz? ona twoją być musi — nie dla marnej roskoszy, ale że rozum mój, że dzieło nasze żąda jej zguby, jak zapytanie odpowiedzi i dźwięk dźwięku następnego. Kiedy Jej głowa opadnie na łono twoje, kiedy pierś jej zadrży, jak pierś każdej niewolnicy i dusza niebieska zapomni siebie samej w ciała pożarach — wtedy w katakombach znajdziesz wiernych służalców, o synu! — wtedy duch mój będzie z tobą i zemsta stanie się ciałem.

(odchodzi.)

IRYDION.

Masynisso!

MASYNISSA.

Czego żądasz?

IRYDION.

Błagam cię — powiedz mi, jak przyjaciel — nie — daj wyrok, jak sędzia — od czasu, w którym śmiałem się dziecinnie, w którym niewiedomie, wesoło trącałem o krzywdy i hańbę pokolenia mego, aż po dziś dzień, każde słowo, sprawę, wszystkie chęci moje odwołaj, przelicz — rozumiesz?

MASYNISSA.

Czemu wzrok twój tak zmętniał i głos twój taki rozdarty, zbląkany?

IRYDION.

Wszak co świętem i lubem było dla drugich, było zawsze świętokradztwem dla mnie? Wszak dzięki cnoty ślubowanej Furyom dochowałem wiernie? Dotąd nie ma na mnie ani skazy litości, ani plamy żalu?

MASYNISSA.

Ale też nie ma czynu, syna ręki twojej. — Dopóki to dzieło w powiciu nicości, dopótyś sam jeszcze nieznan i słaby — w tym samym dniu, o tej samej chwili staniesz się ty przez dzieło twoje i dzieło twe przez Ciebie samego!

IRYDION.

Ah! w tych piersiach coś niepotrzebnego zostawiły Bogi — czuję jad, co podchodzi mi skronie i do ocz się tłoczy. — Nie-wiasty ten jad nazywają łzami! — Powiedz! wszak ja kiedyś miałem być człowiekiem?

MASYNISSA.

I jesteś nim właśnie w tej chwili niekzemności. Ty nie wiesz, że każdy z was zdołałby zostać Wszchemocnym myślą własną, nieublaganą, zażartą — ale wróg przewidział i zawiesił w łonie waszem serce — bojaźń, uludę, podłość, którą tulicie jak niewolniki, którzy przystali na hańbę. — Tem on was rozdzielił i rozrzucił nisko i daleko. — Tem on panuje na długo i żaden go nie strąci, choć każdy mógł go strącić!

IRYDION.

O kim mówisz, kto mnie nędznym i nieszczęśliwym uczynił? Jednego tylko znam zabójcę wszystkich chwil moich. — Rzym się nazywa.

MASYNISSA.

Jest inny Rzym, który zaginać nie może! On nie na siedmiu wzgórzach, on na gwiazd milionach oparł stopy swoje! On nie ród ludzki, marny jeden, ale plemion Anielskich wielkich i urodziwych! krocie znękał. — Z was wszystkich on ma tylko błaznów z nich męczenników i w każdej chwili jako wy w omamieniu chwalicie, oni w mądrości i piękności swojej o pomstę wołają!

IRYDION.

Co ty mi zwiastujesz, ty straszny, niezgłębiony?

MASYNISSA.

Walkę!

IRYDION.

Gdzie? Kiedy?

MASYNISSA.

Po zgonie Rzymu! — Wszędzie, kędy twój Duch zdoła czuć i myśleć!

IRYDION. —

Bez końca, bez końca więc? —

MASYNISSA.

Ja sam cię do niej powiodę — na padole obłąkanych wygrywaj tymczasem dzieje swoje zatrute przez wroga!

Przeciw niemu i Jego słuźalcom obróciśz kiedyś czoło w pełności rozumu!

IRYDION.

A zwycięstwo, czy będzie zwycięstwo? Czy kiedy zdejmę tu, czy na jakiej gwiazdźie ciężką zbroję moją? Czy kiedy opuszczę głowę bez oczekiwania, bez niebezpieczeństwa, wolny, ukochany, kochający, szczęśliwy?

MASYNISSA.

Nie pytaj się przed czasem! — Idź naprzód, panuj zwierzęciu w sobie, naucz się być samotnym na ziemi, jako on jest na szczytach świata; naucz się cierpieć jak cierpią Duchy potężniejsze od ciebie. — Bo nim dojdzieśz tego, na co wyrość możesz, ogień cię przetrawi razy tysiãc, konanie cię przetrworzy razy tysiãc, gniew Jego cię odepchnie razy tysiãc. — Będzieśz jak fala rzucana pod obłoki i strãcona w przepaście — tylko że ona martwa, ślepa, głucha, a w tobie nieśmiertelne czucie!

IRYDION.

Jaki bądź nieprzyjaciel mój, przed nim nie uniżę Ducha — noc późna — wróciśz jutro rano — jutro pomówimy jeszcze. — Idź teraz — prawda, prawda! nie miałem litości nad siostrã, miałebym Jej niezuanej żalować?

MASYNISSA.

Pamiętaj na słowa moje: bo minã kiedyś narody tej ziemi, ale mój rozum nie przeminie.

(odchodzi.)

IRYDION (zrzucając chlamydę).

Idź — ty mi ciężysz — (rzuca pierścień) precz — ty mnie palisz — chciałbym włosy zmieść ze skroni — one minã nie są — one dolegają mi. — Gdzie Ja? Irydionie pokaź mi się! Męczarńio, co żyjesz w głębi łona tego, wyniđź — kto ty jesteś, niech ujrzę, raz niech się dowiem! (zdejmuje sztylet z nad tarczy.) Powiedz mi ogniku nocny, modra klingo, czy ty zdołasz wyssać mnie z piersi moich? — ale słyszysz, na zawsze! — Nie, nie, tyś także złudzeniem! — Katon gdzieś się obudził i tam już inny Cezar stał nad nim, trzãsając mieczem i kajdany! (rzuca sztylet i depce.) Kłameco, coś zwiódl tyle dusz cierpiących marnã obietnicã nicości — ja urãgam się tobie — ja czy tu, czy tam, niewolnik! Ja nie spoczne nigdzie — leź w kurzawie żmijo

falszu. (obciera czoło) Nieznośnie temu, który zagać nie zdoła — który kona wiecznie a nie skona nigdy! (stąpa po sali.) Jaka pustynia mileżenia i spoczynku. — Jeden ją zalegam nieuspioną myślą. — Noc mi wieniec z gorączek i trosków na czole złożyła. — Dzięki wam za taką purpurę Bogi piekielne! (staje przy posągu.) Ojcze! kiedy spojrzę na rysy twoje, zda mi się, że słyszę obietnicę świętą. — Nieszczęśliwa Hellado! ty mnie przycisniesz do łona. — Triumfator pędzi — u kół rydwanu Jego skrępowane Rzymiany — ich czoła pękają za osi gorejących obrotom! Ha! nie dbam o męki nieskończone, byleby dzień ten, jeden dzień taki, czoło mi w laury okwiecił! (klęka.) Ale czyż i ją mam zgładzić także? Ojcze daruj Jej — ona nie cierpi, jak my wszyscy, bo ma swoją wiarę i przyszłość nieskończoną. — Dumnych mordować — nędznych tysiące zepchnąć do Erebu, skazaną dobić. — Ah! to w losach moich wyrytem było — ale szczęśliwą znieważyc, ale ufającą oderwać od nadziei, ale promienną zniszczyć! (porywa się.) Syn Amfilocha gnany jędzami jak niegdyś Orestes. — (Lampę bierze.) Idźmy zasnąć — błogosławieństwo Larów nad tym domem spoczywa. — — To miasto, to ojczyzna — błogo w niem i lubo — gwiazda pomyślności, znać, świeciła nad kolebką naszą!

(wychodzi.)

CZEŚĆ DRUGA.

Katakomby — w środku ciemnicy zawieszona lampa. — Dwa sarkofagi w głębi — od każdego rozchodzą się ulice ginące w oddali. — Ściany zasute nadgrobkami ułożonemi w piętra. Biskup WIKTOR — ALEKSANDER SKVERUS w żołnierskim płaszczu z zasuniętym kapturem.

WIKTOR.

Wieki, co przeszły były dziecinnemi czasami ludzkości. — Im bardziej stworzenie zbliżać się będzie do Stwórcy, tem żarliwszą miłością gorąć będzie ku niemu i braciom swoim. — Miecza nikt nie znajdzie na ziemi, ani ręki kata, a ten błogosławiony już dzisiaj, kto uwierzył w przyszłość takową i stał się jej przyspieszycielem!

ALEKSANDER.

O gdybym mógł w dniu jednym dzieło sprawiedliwości, obietnicę ust twoich ziemi objawić!

WIKTOR.

Synu, nie spodziewaj się tego snu domarzyć, bo każdemu dostała się jedna fala w nieskończoności — pęd jej słabszy lub silniejszy, ale ona płynie dni kilka tylko. — Żyj więc i przemień jak reszta braci twoich, ale działaj według światła zlanego na ciebie. — Stań się pocieszycielem, byś mógł kiedyś stać się wybranym na lewicy Chrystusa, i patrzeć jak inni natchnieni kończyć będą przez ciąg wieków co zacząłeś w pokorze i miłości Ducha.

ALEKSANDER.

O! niech błogosławieństwo twoje zleje się na głowę Aleksandra. — Cezar wkrótce nie zaprze się jego (schyla się), przygotuj ich do zmiany — przyzwyczaj ich do imienia mojego ojciec! — O to cię prosi Mammea. —

VIKTOR.

Jak ja ciebie w tej chwili niech cię kiedyś cały lud twój pobłogosławi i pamięć twoją syny synów ludu twego. — Wstań pomazańcze Chrystusa!

ALEKSANDER.

Słyszę kroki czyjeś — ojczy, w godzinie walki bądź moim dobrym geniuszem! (wychodzi).

(Przeciwne drzwi wchodzi IRYDION w płaszczu Pretoryanina).

VIKTOR.

Chwała Panu w niebiesiech! (składa miecz, włócznię i zbroję u wejścia). Bron ziemskich gwałtów niech drzemie u progów mieszkań Jego!

(Do Irydiona.)

Czekaleni na ciebie Hieronimie — sługi twoje dziś z rana przynieśli ciało brata świętego pod mausoleum Cecylji Metelji. — Tam zgromadzeni wierni z ich rąk je odebrali — pogrzeb Jego przejdzie tędy za chwilę — dzięki ci Synu!

IRYDION.

Uczyliem powinność moją. — Teraz przybywam od przysionka Cezarów — na pobladyłch rysach dworzan myśl strachu się zataczała — pretoryanie zamiejscy burzyć się zaczynają przeciwko Imperatorowi. —

VIKTOR.

Powierzchnia ziemi odmienia się w swoich pychach jak barwy morza za lada powiewem — ale to nie powinno męsząć spokojności grobów! — Módlmy się w cieniu palmy męczeńskiej zerwanej przez Atanadora!

IRYDION.

Ojczy dozwól słów kilka jeszcze. — Wszak w twojem ręku przyszłość nasza, wszak jednym skinieniem możesz tysiące nas rzucić na szalę, a gdzie one zaważą, tam będzie zwycięstwo!

VIKTOR.

W niewidzialnem królestwie walczyć mogę przeciw książęciu świata modłami i ofiarą, a jeśli wszyscy połączycie się ze mną w obliczu Pana, obiecuję wam zwycięstwo!

IRYDION.

Ja mówię teraz o bliższych zapasach, o prędszym tryumfie! Ojczy, cierpimy jak ludzie, spodziewamy się jak ludzie i posady nam ziemskiej potrzeba. — Dotąd potęga nienawistnych ścisła nas zewsząd, tak żeśmy woleli umierać niż kłaniać się rozpuście lub czcić kłamstwo na ziemi. Lecz dzisiaj to co gubi narody, stanęło u bram tego miasta — zgrzybiała starość i duma bez granic. — Heliogabal sił nie ma do utrzymania swoich, Aleksander do ustalenia nowych rządów, a resztę sił doniszczą w zbliżającym się starciu — pomiędzy nimi obudwoma czyż każdy co uwierzył w Chrystusa nie radby krzyż wyrwać z wnętrzości ziemi i zatknąć na forum romanum? — Ojczy widzę chmurę zgrozy na czole twojem. — Daruj że palam miłością ku braciom uciśnionym — daruj żeś śmiało ci ogłosił, że nadeszła pora ugodzić w samo serce pogaństwa i Romy!

VIKTOR.

Z litością słuchałem słów twoich! Napróżno wodę chrztu wylałem na głowę twoją! Napróżno tłumaczyłem ci świat ducha. — Tyś go nie pojął, nie zrzuciłeś starego człowieka. Tyś w żelazie i ogniu położył nadzieję doczesnego zbawienia. — Ciężkie winy twoje! (słychać pieśni pogrzebowe). Czy słyszysz te hymny płynące wśród grobów, jak ostatnie szumy burzy w której Jedyny skronie opuścił i skonał? — Czyż On wzywał na pomoc Aniołów, czyż On wołał o pomstę do Ojca?

IRYDION.

A więc nędza i poniżenie naszym działem na zawsze?

VIKTOR.

Mylisz się w hardości twojej, kiedy chwilę czasu nazywasz wiecznością? — Zaprawdę ci mówię, że w tych smętarzach śpią goście tylko — że nie tylko na progach niebieskich ale i na płaszczyznach bólu, Miłość przemoże nareszcie. — Zaprawdę, ludy pokłon jej oddadzą, i nie będzie Cezara któryby przed nią nie uderzył czołem. — Czy znasz tę postać? (wskazuje rzeźbę na sarkofagu).

IRYDION.

Lutnia Helleńska, Ojców moich czworodźwięczne struny. — To Lykooński Orfeusz!

VIKTOR.

Jako on podług waszych pamiątek, dzikie rozpieścił zwierzęta, tak Jezus dusze milionów spoi brzmieniem żyjącego słowa — patrząc na tę lutnię ziemską, pojmij roje duchów pracujące nad światem i dźwięk u stóp krzyża poczęty, rozlegający się już pomiędzy narodami. — On żyje sobą samym i sił nie czerpie na ziemi! — (znak krzyża kreśli nad czołem). Uwierz i nie grzesz więcej! — Ostrzegłem cię teraz jak ojciec rozżalony błędami syna — później jeśli winę powtórzysz, napomnę cię jak pasterz trzody, ukaram jako sędzia ludu!

CHÓR W POBLIŻU.

Z głębi przepaści wołamy do ciebie Panie!
 Duszę zamordowanego weź na łono twoje! —
 Daj jej odpoczynek w chwale twojej! —
 Ona odlatując przebaczyła katom! —

Wchodzi orszak; męczennik na marach, głowa święta na piersiach spoczywa — męże w czarnych sukniach z pochodniami — za nimi niewiasty w białych szatach.

VIKTOR.

Podajcie mi znak świadectwa i męki, święty na ziemi i niebie!

(Przynoszą mu Prochristum — bierze je i składa na piersiach umarłego.)

Własną krew twoją wylaną za Syna człowieka daję ci do trumny, byś z nią kiedyś zmartwychwstał w dzień sądu — (przyklęka i razem wszyscy).

Ty coś kształt nieszczęśliwych przybrał, by nieszczęśliwych ocalić, złóż z nas złości nasze i wrzuć w głębokość morską wszystkie grzechy nasze — a temu który zaczął drugą pielgrzymkę — ostatnią, uiść się w prawdzie Twojej!

GŁOS DZIEWICY.

Daj mu ujrzeć święte oblicze Twoje!

INNY GŁOS.

Daj mu wiosnę, wiosnę, której nie miał na ziemi.

IRYDION.

A nas wybaw od pokusy zemsty. —

CHÓR.

Zemsty!

VIKTOR.

Szczęśliwi którzy umierają dla Pana. — Oni zwyciężyli przed czasem (wznosi ręce nad tłumem). Powstańcie i zanieście zwłoki do smętarza I'austyna (staje na czele — przechodzą zwolna. — Irydion jeden tylko zostaje z tyłu — od orszaku niewiast odziela się na wyjściu KORNELIA METELLA).

KORNELIA.

Czemu nie łączysz się z nami?

IRYDION.

Tej nocy w innym miejscu być muszę. —

KORNELIA.

Gdzie Hjeronimie?

IRYDION.

Tam gdziebyś drżała o zbawienie duszy, choć z tamtąd wszynajdzie chwała ludu twego. —

KORNELIA.

Wiem że się coś straszego na smętarzach gotuje. — Widziałam dzisiaj towarzysza twojego Symeona z Koryntu — przechodząc trącił mnie i nie obejrzał się i szedł dalej z lwią skórą na barkach, z okiem wbitem w próżnię przestrzeni — w tem oku bunt się palił i srogie natchnienie. — Oh! ja nieszczęśliwa!

IRYDION.

Czemu Kornelio? przecież sam Pasterz, Ojciec, Sędzia ludu, sam Victor codziennie powtarza, żeś pierwsza wśród siostr twoich i że znak wybrania już spoczął na twojem czole. — Czegóż żądać więcej na ziemi?

KORNELIA.

Niezwykły to głos twój bracie?

IRYDION.

Zdaje się tobie. •

KORNELIA.

Ah! czy ty ten sam z którym klęczałam na smętarzu Eufemji, którego uczyłam modlitwy mojej. — Hjeronimie czy to ty?

IRYDION.

Ja siostrze. —

KORNELIA.

Modliłam się tyle, pokutowałam tak ciężko dni i nocy tyle!

IRYDION.

I zasiądziesz w niebiesiech. — Któżby wątpił Kornelio?

KORNELIA.

O nie za siebie — nie!

IRYDION.

Za kogóż?

KORNELIA.

Za jednego z braci moich. —

IRYDION.

Za jednego z braci (zbliża się do niej).

KORNELIA.

Jaki ty straszny?

IRYDION.

Mów prawdę, mów imię Jego, ktokolwiek jest, twoim będzie.
 — Spiesz się tylko niewiasto. — Niedługie chwile nam zostały
 — czasu nie będzie potem na ślub przed krzyżem, a ja was
 obojgu połączyć chcę, odesłać gdzie daleko, byście żyli razem
 — szczęśliwie — na Tebaidzie — mówże. — Ha! ziemską miłość
 wstąpiła do duszy wybranej!

KORNELIA.

Szalejesz!

IRYDION.

Imię Jego — tego jednego — tego brata?

KORNELIA.

Hieronim! ale ten co był kiedyś, nie ten co tak dziko spogląda,
 co bez zmysłów stoi przedemną. — A page — A page! —

IRYDION.

Cicha, piękna, szczęśliwa, patrz! terazem spokojny jak
 wprzód. —

KORNELIA.

Słodki jak niegdyś?

IRYDION.

Pokorny przed tobą. —

KORNELIA.

Przed Panem!

IRYDION.

U stóp twoich klękne i będę powtarzał imię Chrystusa. —

KORNELIA.

Obiecay że nie wmięszasz się do nich, że nie wdziejesz zbroi na gwałty świeckie i potępione!

IRYDION.

Biedna! ty nie wiesz co mówisz.

KORNELIA.

Nie chcesz?

IRYDION.

Ja sam ich powiodę. —

KORNELIA.

Biada mi!

IRYDION.

Czyś nie słyszała od wielu świętych że już blizkie czasy? Czy nie pamiętasz słów Jedynego, kiedy odchodząc przyrzekł swoim, że powróci i królować będzie? Czyż ulubieniec Jego na dzikiej Patmos nie powtarzał, że Babilon runie a sprawiedliwi na gruzach zasiądą?

KORNELIA.

Kiedyś, kiedyś, ale nie dzisiaj. —

IRYDION.

Dziś siostro lub nigdy!

KORNELIA.

Wiktor wyklął Eugenesa który tak myślał i mówił.

IRYDION.

Rzymianie ukrzyżowali Eudora który tak myślał i mówił. —

KORNELIA.

Pójdź do Biskupa, wypowiadaj się Jemu, zapytaj się go jak posłuszne dziecię. —

IRYDION.

Ja dzieckiem tylko być zdołam przy tobie na chwilę znikomą, jak fala co nie wróci nigdy. — Za okręgiem twoich spoj-

rzeń we krwi ja broczyć będę — trawa nie porośnie, gdzie mój
koń przeleci!

KORNELIA.

Bluźnisz!

IRYDION.

Nie — ja przeczuwam tryumf Boga twego!

KORNELIA.

Czyż on takiego zwycięstwa nauczał? Czyż nie odpuścił
wszystkim? Czyż słabych nie ubłogosławił dla ich słabości? —
Czyż niewiniątkom nie obiecał królestwa niebios? dla tego że
drobne i ciche? —

IRYDION.

Taki był początek — ale dziś siostrzy słabi w siłę wyrosli,
niewiniątka stali się mężami!

KORNELIA.

Miłosierdzia, miłosierdzia wołam nad nim o Panie! Ty mu
nie dasz przepaść w oczach moich. — Ah! co ja mówię? gdzie
jestem? Wszak ślubowałam ci Panie całe serce moje. — Jakże
tu ponuro — pierwszy raz strach umarłych mnie napada — kto
tu jest z nami?

(Obziera się.)

IRYDION.

Oprzyj się na mnie!

KORNELIA.

Tak, tak, ty się nie odejmiesz mojej potędze. — Łaska
uwiśni twą duszę. — Ja wiem żem się urodziła, żeby ciebie
zbawić!

IRYDION.

Ani ty, ani nikt na ziemi, nie wydrze z piersi moich pra-
gnienia które je rozdziera. — Gdyby sam Bóg nie wołał na
nas, gdyby pomoc świętych nam obiecaną nie była sam jeden
jeszczebym dzieło rozpoczął. — Ostatni raz może mówię do
ciebie. — Znasz dzieje Matki mojej, ale ukryte przed tobą wielkie
myśli Ojca mego. — Pij kroplami ze mnie gorycz która mnie
pożera. — Słuchaj!

KORNELIA.

Ty ostatni raz — ty do mnie mówisz!

IRYDION.

Słuchaj!

(Siada u stóp Sarkofagu — ona wyżej opiera się na tym samym grobie).

W trzynastą rocznicę śmierci Grimhildy on nagle zawołał mnie do siebie zrana. — Już od dni kilku bladeść złowieszczą kaziła mu lica. «Synu, rzekł, niech zastawię biesiadę w sali Delfickiego Apolina. — Ostatni raz dzisiaj położymy się u jednego stołu. — Bóg Matki twojej mnie ściga; nim wejdzie jutrzejsze słońce opuszczę tę ziemię.» — Strach mnie ogarnął. — Szedłem jego wypełnić rozkazy. — On dzień cały strawił ze Starcem Maurytańskich pustyni. — Głosy ich rozchodziły się jak ostatni szczęk dogorywający bitwy — stało się cicho — wyszli oba i stąpali ku sali Festynów!

KORNELIA.

Dreszcz jak luska gadu przesuwą się po mnie!

IRYDION.

Siostrę moją przycisnął do łona i odpychał potem zwolna i rzekł: «Co brat ci rozkaże czynić będziesz dla miłości mojej.» — Do płaczącej słowa już więcej nie przemówił, ale kilka kropel wina rozlał w ofierze i legł, i mirtami uwieczonym puharem pił zdrowie wielkich mężów. — Wyzwoleniec czytał mu Fedona — stu niewolnikom wejść kazał i darował im wolność, a kiedy mu dziękowali: «Jako wasze pęta skruszyłem pamiętajcie drugim, o ile wam sił stanie, zrywać łańcuchy. — Czyście kiedyś co wam mój syn powie? — I wstał pogodny jak wieczór co zwolna nocą się obwija, a jeszcze purpury słońca nie zatracił!

(Chwila milczenia.)

Wtedy w najdalszej komnacie pałacu zaczęła się ta noc ostatnia, w której zawiązały się losy moje — w około nas jaśniały płomienie trójnogów. — Masynissa rzucał w nie kadzidlą. — głowa Amfilocha leżała na łonie przyjaciela i stopniami schodziło z niej życie — ale powaga zawsze była jedna, niezachwiana. — Żal przerwanych zamysłów w głębi ducha leżał spętany. — Boleść nadaremno się wysilała. — Jedynym jej znakiem była wzgarda na ustach — on umierał tak jak żyją Bogi!

KORNELIA.

Widzę, widzę go — ale gdzie anioł stróż Jego w tej chwili?

IRYDION.

W tej chwili on tworzył przyszłość, której niegdyś pragnął dla siebie, którą teraz mniej zapisywał. — «Nie uchylisz czoła, nie stracisz wiary w złej godzinie — dobrej nie przebaczysz, nie zaprzestasz, ale przejdiesz po zwłokach zrzuconego, by stojących obalać. — Nie miej smutku ani słabości, bo jako księżyc na niebie tak dzieje narodów na ziemi wzrastają by maleć. — Dziś Roma u stóp widnokregu, blisko nizin śmierci.» — Tak nauczał, a z milczenia nocy stopniami budziło się życie — a co chwila Bóg mściciel bardziej cięzał nad nim!

Wreszcie przysiągłem przed Jego świętem obliczem. — On dłoń trzymał na czole mojem — przysiągłem roskoszy nie mieć — przywiązania nie znać — litości nie słuchać — ale żyć by niszczyć, dopóki Duch mój się z Ojca Duchem nie połączy!

KORNELIA.

Przebacz mu Panie, on nie wie co mówi!

IRYDION.

Masynissa krew dymiącą wylał z czary na głowę moją i na rękę Jego i pierwszy promień zorzy błysnął na łożu umierającego. — «Helado moja!» zawołał głosem miłości i spojrzał jak Trymfator ubóstwiony zwycięstwem! W tem natchnieniu ustало Jego ziemskie życie. — Kornelio! zemsta dobrem mojem — w zemście żyć muszę i skonać!

KORNELIA.

Na kim ty ją chcesz wyrzucić. — Hjerominie kto Jemu, kto tobie przewinił?

IRYDION.

Ci, którzy was przymusili błaznić zkład uciekają żyjący po złożeniu umarłych! Ci, którzy Boga twojego zelżyli razy tysiąc i co było w sercach ludzi boskiem, zdeptali na ziemi! — Czy ty wiesz przeszłość? — Tłumaczyć ci ją będę, jak Chrystus wracając z Emaus pismo nieświadomym. — Stało się pod wieczór światu — zwiędły kwiaty poranka, zgasły ognie młodości na Egejskich wybrzeżach. — Raz jeszcze na północy ozwał się głos wolnych — potem wszystko ucichło — wtedy powstał człowiek który rzekł: «Dawne chwały przywrócę a zniszczę tych co wszystko zniszczyli.» — Czy ty go potępiasz córo

chrześcian? — On chciał by cierpiący odrzucił więzy — by ślepy w niewoli przejrzał i poznał progi ojczyście — by głuchy i niemy przemówił rodzinną mową. — Czyż on nie zwiastował powtórnego przyjścia Boga twego? Jan niegdyś samotny, bezbronny, wołał na pustyni że nadchodzi syn człowieka, ale ten który umęczon będzie. — Ojciec mój poprzedził tego, który zwycięży. — Tego co królować będzie, tego o którym zwątpiłaś!

KORNELIA.

Ja?

IRYDION (chwytając ją za ramię).

Boś sądziła, że on tę ziemię zostawi na łup Rzymianom — ty myślałaś że on krwi waszej miesyty będzie!

KORNELIA.

Zgubiony — oh! Panie! a jednak ogień wiekuisty, ogień Cherubów w oczach mu jaśnieje!

IRYDION.

Uwierz. — Ty się nie domyślasz co mnie czeka jutro. — Uwierz — ja wodzem ludu twego. — Uwierz, a Jowisz z Kapitolu runie by nie powstać więcej (słychać kroki). To Viktor, to niewierny! — Zostań. — Ja wrócę ca chwilę (wchodzi w ciemne przejście).

KORNELIA (przyklęka).

Serce biedne, nie moje, nieznane serce, ty co bijesz tak rozdzierająco, módl się do Chrystusa. — Panie — Panie odpowiedz słudze twojej!

Od krzyża nigdy oczu nie spuściła ku śmiertelnym twarzom — a teraz o Panie dwoje ocz utkwilo mi w pamięci. — Jego oczy, Jego Panie!

I jako prorok, i jako święty, i jako Archanioł on staje przedemną i mówi, a ja go słucham Panie! — i chciałabym skonać (głowę zniża między ręce). Zmiłu się nademną!

VIKTOR (wchodzi z orszakiem).

«Ile razy zbierzecie się w imieniu mojem, będę z wami.» — Czemu nie usłuchałaś słów tych dzisiaj? — Ciebie i Symeona z Koryntu i innych wielu nie dojrzało oko moje. — Córkę, zostaw ścieżki samotne nieprawym i odwróć się od nich, kiedy za grobami schyleni naradzają się chytrze.

KORNELIA.

Ojcze!

VIKTOR.

Czy przynajmniej modliłaś się tutaj w uczestnictwie nas wszystkich?

KORNELIA.

Modłę się Ojcze. —

VIKTOR.

Czy sama tu byłaś?

KORNELIA.

Ojcze! sama jestem. —

VIKTOR.

Drżysz jak światło gasnące — co tobie się stało, Metello?

KORNELIA.

Szukam Boga, Pana mego, i znaleźć go nie mogę. —

VIKTOR.

Największym świętym przydarzały się chwile niepewności. — Znać wtedy, że nieprzyjaciel w pobliżu. — Módl się więc i czuwaj, bo duch skory ale ciało słabe (wychodzi).

KORNELIA.

Ojcze!

VIKTOR (odwracając się).

Co dziecię moje?

KORNELIA.

Czy już bliski poranek?

VIKTOR.

Dopiero noc się zaczęła.

KORNELIA.

A dzień Sądu czy bliski ojcze?

VIKTOR.

W każdej chwili Syn człowieka może nas powołać przed swoje oblicza. — Czy ty co przeczuwasz?

KORNELIA.

Nie — tylko słabo mi bardzo — tylko wiedzieć chciałam. —

VIKTOR.

Dziś jeszcze w Eloimie ofiarę świętą odprawię za ciebie. —

Schorzała dusza twoja i ciało zmęczone pokutami — wstań, nie trwóż się, idź zasnąć córko. — (Wychodzi.)

KORNELIA.

Czemu nie zatrzymałam Biskupa (Irydion wchodzi.) słysząc stopy lekkie, stopy kusiciela (odwraca się). Ah! piękny, piękny jak Anioł! — Viktorze, Viktorze!

IRYDION.

Nie usłyszysz ciebie. —

KORNELIA (obejmując Sarkofag ramionami.)

Popioły świętych strzeżcie mnie tej nocy. —

IRYDION.

Czego się lękasz?

KORNELIA.

Czy nie widzisz jak ciemno, czy nie czujesz zimna — tak jak gdyby wszyscy umarli, a nas dwoje tylko zostało — potępionych dwoje. — Oni, reszta wszyscy w niebiesiech!

IRYDION.

Godzina, którą ci opowiedziałem za twarda na serce twoje!

KORNELIA.

Mylisz się. — Wzdychałam do palmy męczeńskiej, a miałabym drzeć przed zwycięstwem Pana mojego! nie, — nie. — Tylko coś rozprzęgło się w duszy mojej, coś mi w głowie się usuwa, coś w sercu pęka Hjeronimie. —

IRYDION.

Niewiasta czynów nie potrzebuje, jedną cichą modlitwą zbawiona być może. — Jeżeli się nie poczuwa do mocy, niechaj idzie precz odemnie. — Tu rozdziela się drogi nasze — będziesz spokojna jak wprzód — obaczmy się kiedyś, ale nie na ziemi. —

KORNELIA.

Prawdę wyrzekłeś — stopy unieście duszę daleko, daleko, (usiłuje powstać. — Irydion rękę Jej podaje). Ah! przybiłeś mnie na nowo — nie mogę. —

IRYDION.

Biedna!

KORNELIA.

Coś nieśmiertelnego opasało mnie, niewidzialnych ramion dwoje!

IRYDION.

Ostatni raz mówię ci: Uciekaj. —

KORNELIA.

Nie. — Dopókiś w błędzie śmiertelnym nie wyzionął ducha, dopótyś bratem moim w obliczu Ojca niebieskiego.

IRYDION.

Świadcę się wami kości umarłych i tobą matko ziemio. — Chciałem ją, ją jedną ocalić! (przechadza się po ciemnicy). Tak ojciec mój niegdyś zabił duszę niewinną kapłanki. — Siła dzikiego Fatum zewsząd mnie opasuje. — (Zbliża się do niej.) Kornelio, Kornelio!

KORNELIA.

Modłę się za ciebie, klękniij tu przy mnie, zbądź pychy, powtarzaj słowa moje —

IRYDION.

Jutro, pojutrze zacnie się moja modlitwa — głośna. — Siostró — wśród jęków nieprzyjaciół!

GŁOS W POBLIŻU.

Hieronimie do broni!

IRYDION.

Przybywam. —

KORNELIA.

To on — to Symeon! —

IRYDION.

A tam dalej tysiąc podobnych Jemu drży z niecierpliwości i czekają na mnie (zrywa jej welon) pryśnij obsłono duszy mojej! (porywa ją w objęcia) Usta, zostawcie na tem bladym czole obietnicę lepszego losu!

KORNELIA.

Ah! wraz z tobą na wieki potępiona jestem! (mdleje).

GŁOS.

Śpieszaj, spieszaj!

IRYDION (biorąc helm i oręż, potem wraca i nachyla się nad nią).

Nie, ty nie umarłaś! (przyciska ją do piersi). Obudź się na twardym pancerzu męża, obudź się Kornelio. Masynisso! bądź mi przeklętym, jeżeli jej zguby nie odkupisz mi zwycięstwem!

KORNELIA.

Kto woła?

IRYDION.

Ten o którym powiedziano, że przyjdzie i pokona dumnych!

KORNELIA.

Widzę nareszcie, widzę ciebie. — Ty raczyłeś dotknąć się oblubienicy twojej. — Długo czekałam. —

IRYDION.

Podnieś głowę — rozedrżj wzrokiem te sklepienia. Tam wybrani śpiewają Hymn tryumfu. — Zmartwychwstań!

KORNELIA.

O Panie! chwała bitew na około twarzy twojej — płoniesz cały blaskami żelaza. — Panie gdzie rany twoje, niech je obleję łzami!

IRYDION (podnosi ją).

Jutro niewiasto spełnią się przepowiednie o Królestwie Krzyża.

KORNELIA.

O nie rozpraszaaj się wśród ciemności — oni mówili że przyjdiesz, a teraz ty mnie nie weźmiesz z sobą. — Ty zapomnisz o służebnicy twojej!

IRYDION.

Biedna! powstań — nie płacz — nie rozpaczaj!

KORNELIA.

Daj mi zagaąć w chwale twojej! ja już umarłam o Panie!

IRYDION (porywa ją z ziemi.)

Dni kilka jeszcze niewiasto. — Tymczasem wołaj na braci swoich: «do broni, do broni» (odchodzi).

KORNELIA.

Słyszycie ostatnie słowa jego. — On zstąpił drugi raz na ziemię i tą razą miecz w jego prawicy połyska. — Do broni! kości umarłych, żyjący kapłanie ludu boży, odpowiedźcie! On tak kazał. — Za mną: do broni, do broni! (ucieka).

Inna strona katakomb. — SYMEON z Koryntu — obok krucifix, księga i trupia głowa.

SYMEON.

W dniu jednym świat posiąść, nie ten nędzny kędy błyszczy złoto i stęka żelazo, ale ten ogromny, ten świat dusz wszystkich i panować im w imieniu twojem o Boże! Ah! głyby morze jasności, ta myśl przedemną rozciągnięta — ku niej płynę w potokach cierpienia i poniżenia coraz olbrzymiej rozpychając zasępiione fale. — O Chrystusie! podbiję ci wszystko, co zowie się ciałem. — Tam w dole będą pustynie, skały, miasta, z tamąd szumią wołania królów i kupców, a duch mój, odbicie twego na ziemi, zawieszony w górze, jednością potęgi ich ściska. — Każę im milczeć lub modlić się, drzeć lub radować się — myśleć lub zasnąć!

IRYDION (wchodząc).

Witam cię synu Hellady, po dwakroć bracie mój!

SYMEON.

Wreszcie nadeszłeś.

IRYDION.

Czas jeszcze. —

SYMEON.

Czy widziałeś Viktora?

IRYDION.

To dziecię stare, które panuje nad nami. W nim słodycz jest słabością a słabość staje się uporem.

SYMEON.

Zaprawdę ci mówię że trzoda nie puści się na nieznane pole bez błogosławieństwa pasterza.

IRYDION.

Zwlekajmy do ostatniej chwili — wtedy nagle otoczmy go rozpaczniemi prośby. — Nieprzygotowanego strach ogarnie lub duch boży oświeci!

SYMEON.

Do stóp mu się rzucę — iskra co pryśnie od mojego serca, duszę mu rozerwie.

IRYDION.

Śpi u niego głęboko dusza — twarz wyszła mu od cnoty — zresztą idźmy zawsze naprzód, nie oglądajmy się nigdy — w tem nasze zbawienie.

SYMEON.

Stanie się jako mówisz. — Czy słyszysz te pomieszane głosy, gromadzą się jak im przykazalem na pograniczu świętych grobów, na szerokich smętarzach starych pogan.

IRYDION.

Ukrzyżowanego, niezemszczonego weź w ręce i nieś przed ich oblicza!

SYMEON (porywając za krucyfiks).

O jakżem był niegdyś małoduszny i ślepy! Wierzyłem że niesprawiedliwość znosić trzeba, by docierpieć się nieba — (podnosi czaszkę) patrz na te zapadłe skronie — w tych załomach jaśniało niegdyś życie życia mego. — Biskup miał złączyć ręce nasze. — Dnia jednego nie dostawało, lecz nocą wpadł Centurion i porwał niewinną do cyrku Flaviana. — Z pod paszczy tygrysa to mi tylko zostało! — I jeszcze długo potem walczyłem z żądzą odporu jakby z szatanem, a to był duch żywy, święty, co owładał mną stopniami! (kładzie czaszkę). Spoczywaj nieboga! wkrótce z martwych ty powstaniesz dla mnie!

IRYDION.

Zemsta więc i naprzód tam gdzie brzęczą pszczoły! (wychodzą).

Przestronne lochy. — Cenotafy po ścianach. — Mogiły rozsypane tu i owdzie.
— Zgromadzenie Chrześcian przy pochodniach.

CHÓR MŁODZIEŃCÓW.

Nieszczęśliwy ten co urodzon z niewiasty. — Dni jego blache i znikome — od krzyża ramion odwiązać, od cierniów skroni odchylić nie zdoła. — Ciemności siostrami jego i grobem!

CHÓR STARCÓW.

Święty, Święty, Święty, słuszne sądy twoje! Ty przez męki

ojców wynosisz przyszłe pokolenia. — Na stosach kości naszych zieloność wiosny i szkarłat potęgi rozwiedziesz synom naszym. —

CHÓR MŁODZIEŃCÓW.

Zeslij nam pocieszyciela — niech on stanie na wysokościach, niech karki wyniosłych stopom swoim podściele w równiny. — (Wchodzą Symeon i Irydion.) Witajcie!

SYMEON.

W imieniu Ojca, Syna i Ducha, nadzieja niechaj będzie z wami.

CHÓR STARCÓW.

Symeonie, Symeonie! dla czego ten co idzie za tobą, co nie dawno jeszcze nosił szatę Katychumena dziś przywdział zbroję. — Naucz go i oświeć, by puklerzem była mu skrucha, a szczera modlitwa jedynym orężem. —

(SYMEON do Irydiona).

Wstąp na mogiłę — odpowiadaj za siebie. — Ja tymczasem wezwę jeszcze ducha — chwil kilka jeszcze a stanę się w duchu.

IRYDION.

Kto się pyta niechaj własnej mądrości nie ufa, ale niech spojrzy w około i przypomni sobie przepowiedziane dni kłęski mające zawisnąć nad ziemią!

Czasy milczenia kończą się dzisiaj, bo przebrały się męki sprawiedliwych — w grobach już miejsca nie znaleźć. — Koście umarłych gwałtem nas wypychają ku słodkim błękitom. —

Kto leżał w prochu niechaj powstaje, kto się weselił nad naszemi głowy niechaj zadrży — bo przepaście wejdą w górę, a wzgórza zapadną w otchłanie!

CHÓR MŁODZIEŃCÓW.

Synu obietnicy, pokój Pana niechaj będzie z tobą.

IRYDION.

Pioruny gorejące Pana niechaj będą ze mną i z wami. — Z krzywd waszych stało się moje natchnienie — w łasce Jedynego, potrójnego, wszczęła się otucha moja — a waszą wołą, moja posetniona siła niechaj wre i woła o pomstę do Boga!

Słuchajcie mnie. — Miasto rozdzieliło się tej nocy. — Syn

wszeteczeństwa zachwiał się na tronie. — Pretoryanie odwrócili serca od niego. — Lud, jak morze niepewne któremu wiatru się podda, dotąd kołysze się i milczy — ale wnet nań spadną ciężkie wichrów skrzydła, runą weń grady pomieszanych chęci. — Patrzcie! widome ciemności gromadzą się nad stolicą która morduje proroków i świętych. — W całej Azji powstają legiony. — Nad Renem burzą się Allemany. — Cezar i Aleksander zabierają się do ostatniej rozprawy. — Ten wzywa Mitrę, tamten Statora — a któren zwycięży, zwycięży z przekleństwem Chrystusowi na ustach!

Oto znak wam dany, hasło obiecane — patrzcie a ujrzycie. — Chciejcie, a bądźcie wolnymi!

CHÓR STARCÓW.

Kto ci dał władzę i na czole twojem wyrzył słowo Boże? Gdzie Viktor ojciec wiernych, pasterz namaszczony? Czy on powie o tobie: — On jest ten, którego Pan wzbudził? —

SYMEON (wstępując na drugą mogiłę.)

Ja mu świadczę! (wznosi krzyż) Płynicie lzy moje, roztwórzcie się rany piersi moich. — Oto Pan nad wszystkie pychy, Bóg i zwycięzca przybity do progów śmiertelnych. — Wy, którzy nie macie serca, stójcie na miejscu jak głązy porzucone na ścieżce. — Ja dla was mówię. — Wy, co nie pragniecie by Hjerzolima wyszła z toni czasów, starzejcie się i milczcie. — Ja nie do was mówię!

Tych tylko wzywam, dla których on hańbę znosił, pośmiewisko wytrzymał aż słońce od mąk jego przesłoniło się nocą! Od nocy tej straszliwej kto się upomniał o obelgi syna człowieka? Nikt go nie odział, nikt nie napoił. — Wszystkie narody ziemi jedne po drugich ukrzyżowały go na nowo!

CHÓR MŁODZIENCÓW.

Przekleństwo czcicielom Molocha!

IRYDION.

Nie wypuszczajcie chwili, która nadlatuje. — Nie patrzcie na nią jak na skrzydła co mijają i giną w oddali, jak na błyskawicę, co błysnie i zamrze w błysnięciu! Ale wszyscy razem, zgodnie, wyciągnijcie ramiona — objąć ją — przycisnąć do

sere waszych o bracia, — z niej drobnej dzisiaj, z niej co nie powróci nigdy wydobyć iskrę życia — bo zaprawdę wam ogłaszam, że w niej długie wieki drzemią. — Jeśli je obudzicie, staną się waszemi!

CHÓR STARCÓW.

Ogień modlitwy gaśnie w łonie naszym — mgła tajemnicza zsuwa się nad nami. — Panie, od pokus zwodziciela wybaw nas Panie!

IRYDION.

To słabość — przez kajdany Ojców waszych odrzućcie ją — przez stopy Nerona odrzućcie ją — przez ofiary Cyrku zaklinam was, bądźcie silnymi!

CHÓR MŁODZIENCÓW.

Głos twój jak dźwięk trąby grzmiącej pędzi nas ku płaszczyznom ziemi — ale drżą nam piersi, włosy powstają na głowie! O Symeonie z Koryntu odezwij się — mów czy nie widzisz czego?

SYMEON.

Widzę wzrokiem Jana który przed laty patrzył na Hjerolimę wybranych. — On w grobie śpi wśród nachylonych Aniołów i powstanie dzisiaj lub jutro — wtedy się usunę — a teraz ja prorokuję, ja wołam!

CHÓR.

Ścisnęły się marszczki czola jego. — Krzyż czarny drży mu w dłoniach jak gałąź wśród wichrów!

SYMEON.

Duch mnie ogarnął, unosi. — Stąpam na zwaliskach miasta. — Bożyszczą przewrócone jak kawaly darni — orły złote bez dziobów, bez skrzydeł na garściach potrzaskanej broni — purpury jak płótna na łące, obwite niciami pajęczyn — łuny igrają po trupach. — Rozpuszczone warkocze dziewic, długie szaty Konsulów, Cezarów, porwane wozy znikają w oddali (pada na kolana). O Boże umęczony, natchnij ich duszę jakęś moją natchnął i ogień pożerający bitew roznieć w ich dłoniach! (Wstaje.)

Modlitw waszych spienione fale odpłynęły Niebios. — Dusze zabitych złością synów ludzkich stanęły u ołtarza, co wiekuiście

pali się na podnożach tronu. — I ujrzałem tego który panuje na tronie — przeliczył je wszystkie, a liczba ich popełniona i zawarta księga świadectwa i śmierci. — Głos zagrział: — Odtąd mi świadczycy będziecie życiem i zwycięstwem! —

CHÓR. (przyklękają wszyscy.)

Chrystusie, Chrystusie, wrą nam serca bo zmartwychwstać chcemy! Nie opuszczaj nas w chwili niepewności. — Daj nam objawienie sądów Twoich!

IRYDION.

Czy się jeszcze pytacie ludzie małej wiary? Wznieście oczy. — Oto pan wasz kona — oto jeszcze roztwarte usta i ostatnie wołanie: — Czemu opuściłeś mnie Ojcze! — Bracia, czy my go jeszcze i dzisiaj opuścimy?

CHÓR.

Nie. — Nie. —

IRYDION.

Ha!

(Odwraca się.)

SYMEON.

Bledniejszy?

IRYDION.

Tam — gdzie zakręcają się sklepienia — tam na samej granicy światła i ciemności. —

JEDEN Z CHÓRU.

Kto nas podchodzi lekkimi stopy. —

(Wbiega Metella)

SYMEON.

Witaj dziewico poślubiona wiekuistej miłości. —

CHÓR.

Zkąd do nas idziesz tak późno, sama, z rozpuszczonym włosom?

(Metella zatrzymuje się przy mogile Irydiona.)

SYMEON (do Irydiona.)

Przemawiaj dalej!

IRYDION obracając się do Kornelji.

Czy mnie poznajesz, czy moje słowa pamiętasz?

JEDEN Z TLUMU.

Słyszeliście ten krzyk świętej?

DRUDZY.

Straszno, straszno stało się o tej godzinie sercom naszym.—

IRYDION.

Milęzcie, teraz ona mówić zaczyna!

KORNELIA.

Objawiłeś się i wyrzekłeś straszne słowo. — Odtąd biegnę i wołam — dni i nocy mijają, ja biegnę i wołam — (odwracając się do ludu.) Do broni, do broni!

IRYDION.

Przez ciebie Masynisso zwyciężam! (do ludu.) Dusza niewiasty prędeż od was wszystkich zrozumiała tajemnicę niebios. — Zmyjcie hańbę waszą w krwi bałwochwalców! (kładzie dłonie na włosach Kornelji). Stań się żywym głosem chwały prryobiecanej. — Rozedrzyj zasłonę czasu przed oczyma ludu!

KORNELIA.

W gromy zbrojonego widziałem — szedł zdobywając by zdobywać dalej — i nieśmiertelną stałam się w obliczu jego!

CHÓR STARCÓW.

Czyś miała widzenie i dotąd spoglądasz na jego mdlejące ostatki? Odpowiedz nam, odpowiedz!

KORNELIA.

W gromy zbrojnego widzę — idzie i zdobywa. — Nic mu się nie oprze. — Strzała jego cięciwy ziemię odmierzy w przelocie. — Strachem otoczył się jak zwojami królewskiego płaszcza i śmierć blado posuwa się za nim!

(Ucieka.)

JEDEN Z CHÓRU.

Wśród głów i pochodni, jej włosy podskakują i toną jak fala. —

CHÓR.

Gdzie lecisz?

KORNELIA.

Gdzie światło nie dojdzie niech mój głos doleci; do broni!

WSZYSCY.

Do broni, do broni!

GŁOS KORNELJI.

Rozstąpcie się ciemności — martwe skały zdrząjcie na świadectwo Panu!

SYMEON.

Zniknęła porwana natchnieniem. — Teraz słuchajcie brata mego, zważajcie na słowa młodzieńca!

IRYDION.

Kto przyjdzie do pałacu Amfilocha, kto wymówi stanąwszy na progu: — Sygurd syn Grimhildy — ten dostanie miecz i pociśk i szyszak miedziany. — Pamiętajcie: — Sygurd syn Grimhildy. —

PIERWSZY BARBARZYNIĘC.

Niegdyś w Chersonezie słyngła kapłanka. —

DRUGI.

Imię to Ojcowie nasi powtarzali z drżeniem. —

TRZECI.

W borach saksońskich przybyli bracia od morza północnego, śpiewali o niej żalobne wspomniebia. —

IRYDION.

To matka moja, a wy bracia moi! (schodzi i staje wśród nich). Dajcie ręce wasze — z błędów wyszliśmy, ale błędy ojców ogniwami synom. — Dziś w imieniu Chrystusa bądźcie mi wiernymi—

CHÓR BARBARZYŃCÓW.

Synu Grimhildy, synu ziemi srebrnej, od wolnych ludzi wolne przyrzeczenie i wiara niezłomna! Błękitnooki, długowłosa nie zdradzi ciebie. — Ślubujem tobie ciało nasze jakośmy duszę poślubili nowemu Bogu!

IRYDION.

Wnuk króla mężów dziękuje braciom swoim.

CHÓR BARBARZYŃCÓW.

Przed laty Herman zaczął walkę z południowym słoniem. — Święte jego kości spoczywają w czarnych Irminsulu gajach — naprzód, naprzód! Tameśmy, nim duch bezdrożów ujął nas za

ramię i wygnał na obszary świata, słyszeli pieśni zwiastujące zgon straszego Rzymu — naprzód, naprzód! Ty będziesz Hermanem — pod wodzą twoją zdradzieckich Italów zburzymy pałace!

(Słychać podziemne stuki.)

SYMEON.

Czemu odzywasz się ziemio, matko ciał umarłych a nie żyjącego ducha?

IRYDION.

Wyrok zapada nad miastem. —

CHÓR STARCÓW.

Symeonie, Symeonie! czy poznajesz gniewu pańskiego straszliwe odgłosy?

SYMEON.

Zaprawdę gniew pański wam ogłaszam i błogosławię jemu. — Patrzcie! Podniósł się Wszechmocny i otchłań woła o miłosierdzie do niego! Patrzcie! Dreszcz bieży po skalach, zrywają się wichry jak syczące węże — Hosanna — Hosanna! Mogiły bałwochwalców pękają na dwoje. — Dzień zemsty zstępuje wśród burzy!

CHÓR MŁODZIENCÓW.

Hieronimie dotrzymaj obietnicy. — Wola Jedynego objawia się nam. —

IRYDION.

Skarby moje waszemi. — Krew moja waszą do ostatniej kropli — przysięgnijcie tylko krzyż ten zatknąć na szczytach kapitolu!

CHÓR STARCÓW.

Biada wam — biada. —

CHÓR MŁODZIENCÓW.

W imieniu Chrystusa, przysięgamy. —

IRYDION.

I wprzódy nie odpoczniecie, nie pomodlicie się Jemu, ani ciało Jego pożywać będziecie!

CHÓR.

Nie — nie — nie!

CHÓR STARCÓW.

Uciekajcie bezbożni — łamią się filary — ziemia się rozstępuje. —

IRYDION.

Pod nami tak Rzym padać będzie. —

INNI,

Strzeżcie waszych pochodni. —

SYMEON.

Idźcie za mną. — Ten którego niosę, na rozhukanych falach stąpał bezpiecznie. —

INNI.

Ognia, ognia!

CHÓR BARBARZYŃCÓW.

Rwijmy się za pasy z tłumem. — Syny ludów nie zginą tu marnie wśród podrzutów siarczystej, niecierpianej ziemi!

INNI.

W tył, nazad — tu ognie buchnęły!

IRYDION.

W tę stronę, ku naszym smętarzom, ku Eloimowi. — Ah trwoga pomięszała rozumy wasze!

SYMEON.

Odparła mnie opoka i jednym rzutem runąłem do stóp twoich. —

IRYDION.

Oprzyj się na mnie — ten glaz dotąd nie zadrzał ni razu. —

SYMEON.

Gdzie ci którzy szli za mną?

IRYDION.

Zniknęli. — Nocy takiej nie widziałem nigdy — z tysiąca pochodni ledwo gdzie jeszcze tli się gwiazda jaka. —

SYMEON.

Zgasła ta na którąś patrzył. — Ah! i tamta i tamta!

POMIESZANE GŁOSY.

Odpuść nam winy nasze — w godzinę śmierci błagamy cię Panie!

SYMEON.

Wyciągnij ramię — zawieś pochodnię nad tem morzem ciem-
niów. —

IRYDION.

Daremno. —

SYMEON.

Slyszales łoskot co przydusił głosy starców?

IRYDION.

Tam odzywają się żyjący — do mnie!

SYMEON.

Ale ci którzy Pana tu błagali przed chwilą!

IRYDION.

Pan już o nich pamięta teraz — do mnie, do mnie!

CHÓR BARBARZYŃCÓW.

Błądziliśmy na przemian w ciemnościach i w ogniu — ze-
wsząd odegnały nas pioruny, ale serca nasze biją tak zimno jak
biły przed burzą!

IRYDION.

Przytknijcie wasze pochodnie. — Ja was wyprowadzę. —
Ja pamiętam drogę. —

SYMEON.

Ot głuche gwary się ozwały. — To bracia nasi, co się prze-
darli ku Eloimowi — za nimi!

GŁOS W ODDALENIU.

Pal się ziemi na dzień ostatni świata. —

IRYDION.

Slyszeliście?

CHÓR.

Nie traćmy czasu — naprzód!

IRYDION.

Uciekajcie!

GŁOS BLIŻEJ.

Do broni, do broni!

CHÓR.

To ojciec złudzeń, który cię woła na zgubę twoją!

To ona! IRYDION.

Nie puszczę ciebie. — SYMEON.

IRYDION (odpychając go).

A kto ich wywiedzie jeśli ja nie wrócę! (idzie naprzód) Ojcie! wzywam ciebie, niech się płomienie Erebu ukorzą przedemną!

GŁOS W POBLIŻU.

I wieniec mój będzie z gwiazd nieśmiertelnych przy boku twoim. —

IRYDION.

Chrystusie, Boże jej niebios, ocal nieszczęśliwą. —

(Rozwidnia się — ognie z pod ziemi buchają — wśród nich Kornelia).

CHÓR BARBARZYŃCÓW.

Zajaśniał hełm nieustraszonego i utonął w ciemnościach!

SYMEON.

Hieronimie. —

CHÓR.

Sygurdzie — Sygurdzie!

GŁOS IRYDIONA.

Spieszę do was. —

(Wraca trzymając Kornelię w objęciach.)

Odwróćcie twarze — na dół schylicie pochodnie — tędy, tędy za mną!

CHÓR (w oddaleniu.)

Zbaw nas o synu człowieka, a trzykroć tak zniszczony, trzykroć tak spalony Rzym będzie, wróg ludzi świętych południa i ludzi wolnych północy!

GŁOS WŚRÓD CIEMNOŚCI.

Śpijcie wichry z popiołami starych czcicieli.

(Nadchodzą słupy ognia, wśród nich MASYNISSA.)

CHÓR PODZIEMNYCH GŁOSÓW.

Patrz! staliśmy się jak lampy cichej świątyni, o my gorejący, o my nieszczęśliwi, ofiary mąk tylu, od wieków tylu!

MASYNISSA.

Przyjdzie chwila w której cała ziemia na pastwę oddaną

wam będzie — ale na dzisiaj tu koniec drogi waszej — nie pójdziecie dalej!

CHÓR.

Zwycięstwo! Do czasu tylko żyjemy rozpaczą i nocą! I zapytają się duchy niebieskie — gdzie ziemia siostra nasza — i zapyta się ten który ją zbawił: — gdzie oblubienica moja — a my wytrząśniem pod ich gwiazdy Jej umarłe popioły!

MASYNISSA.

Zwolna, z cicha dzieci moje! — Ta chwila w nieśmiertelności waszej, ale tysiąc tysięcy ludzkich pokoleń do niej przegradza was jeszcze.

Wprzódę muszą siły swoje styrać — każdą wiarę krwią popierać i ogłosić ją fałszem. — Każde zaprzeczenie błotem zarzucić i ubóstwić je wreszcie! — aż doważy się szala ich mierności i dumy, aż siwizna głupstwem się stanie a siła szaleństwem!

CHÓR.

I zginą!

MASYNISSA.

Myśl ich osiądziem — w niej światy tworzyć będziem co raz dalsze od prawdy — tak iskrę, którą wzięli z górnych przestrzeni zamęczym w ich duszach. — Uwieńczym ich skronie ognikami wiedzy. — Znikome berła powierzym ich dłoniom. — Wyniesiem ich na samodzierzców ziemi!

CHÓR

I zginą!

MASYNISSA (przechadza się wśród ogniów.)

Wiaro, nadziejo, miłości! Trójco która miałaś trwać na wieki, rozerwałem cię dzisiaj w sercach dzieci najukochańszych, błogosławieństwa Twego! Nie. — Ty niemi nie zaludnisz spustoszonych przestrzeni, kędy wrzały niegdyś roje szczęśliwych i pięknych. — Ty już nigdy takich nie dostaniesz synów. — Sama zgasiałaś słońca, które były chwałą twoją!

CHÓR.

Niechaj Trony nasze wiecznie sterczą próżne i martwe — niechaj pieśni pochwalne u ich stóp konają!

MASYNISSA.

Tej nocy naszych następców poczęła się zguba. — Jako my
niegdyś tak i oni odpadną od niego!

CHÓR.

I przyjdą jeść chleb nasz i mieszkać w ciemnym domu na-
szym!

MASYNISSA.

Wrogu! ty wiesz, że ich duch obłąkany od pierwszej wiosny
ziemi! — Odtąd dnia nie będzie żeby się nie kłócili o przymioty
i imiona Twoje.

W imieniu twojem będą zabijać i palić. — W imieniu twojem
gnić i milczeć. — W imieniu twojem uciąkać. — W imieniu
twojem powstawać i burzyć!

Ukrzyżowan będziesz zarówno w ich mądrości i niewiadam-
stwie, w ich rachubach i szalach, zarówno w sennej pokorze ich
modlitw i w bluźnierstwach ich dumy!

Na szczytach niebios ten puchar goryczy pić będziesz, do-
póki ich nie przeklniesz na wieki. — Na szczytach niebios, wśród
potęg twoich doznasz co to piekło nasze!

CHÓR.

Chwała nam i Temu co dotąd jaśniej w ogniu odrzucenia
jak pałał niegdyś tęczami siły! Chwała nam — chwała nam!

MASYNISSA.

On skazę piorunów zakrył dłonią na czole. — Na dnie prze-
paści, on myśl krzepi na dzień ostatni świata! Chwała Jemu. —
A teraz owinicie mnie ciemności — teraz w milczeniu skonajcie
bracia moi!

*całe chrześcijaństwo było dla niego
wycieczką katarów bez celu i myśli*

CZĘŚĆ TRZECIA.

Namiot w obozie zamiejskich pretoryanów — ARYSTOMACHUS i LUCIUS TUBERO na przodzie. — W głębi na łóżach ALEKSANDER SEVERUS i ULPIANUS rozmawiają po cichu. — Wchodzi IRYDION.

Irydion.

Przybywam Rzymianie w imieniu Pana naszego. — Odmówcie wasze skargi — każdą wysłucham i na każde odpowiem według myśli Cezara. —

Arystomachus.

Jeśliś był ciekawy zażaleń naszych, trza było do nas zawitać przed rokiem. — Wtedy bylibyśmy rozprawiali z sobą — ale dziś Greku, kto jął się orgęza, ten zapomniał się skarżyć — kto grozi ten nie odpowiada ale rozkazuje. — Przechodząc widziałeś wszystkich stojących w zbrojach, gotowych do pochodu! Innej odpowiedzi nie otrzymasz odemnie!

Irydion.

Czy tak samo i Lucius Tubero myśli?

Tubero.

Chociaż mój popędliwy towarzysz lepszy do szeregu niż do mownicy, jednak Irydionie do jego słów w tej chwili mało co mam dodać. — Przypomnisz tylko od nas Imperatorowi, żeśmy długo prośby nasze podawali bez żadnego skutku — że obiecane amfiteatru nie raczył nam wystawić i że należnych nagród nie rozdał. — Odemnie przypomnisz Imperatorowi że ojca mojego do przerżnięcia żył sobie w kąpieli, że córkę siostry mojej do połknięcia gorejących żarów przymusił — powtórzysz mu

imiona senatorów których na utratę czci i gardła w przeciągu trzech lat skazał. — Powiesz mu że liczyłem niegdyś krocie przyjaciół i krewnych opływających w dostatki — a że dzisiaj nie mam już nikogo — lub że głód rozdziera wnętrzości tych co pozostali. — Ale za to żyje Eutylian i kilku wyzwolenców i kilka nałożnic purpurę noszą. — Dodasz wreszcie, że zhańbił Greczynkę z starożytnego, z uczciwego domu.... (Irydion dobywa tabliczek i stylem pisze na nich.) Co zapisujesz synu Amfilocha?

IRYDION.

Tę chwilę, imię twoje i śmierć twoją. — Teraz ciągnij dalej!

TUBERO.

Dzięki ci Danausie! Jednak oświadczyć Panu twemu że jeśli wyda Eutylichiana byśmy go na krzyżu rozbili i wszystkie skarby swoje, byśmy sobie z nich żołąd wyplacili; że jeśli złoży natychmiast władzę Konsula, Trybuna i Arcykapłana, to go może jeszcze zostawim przy życiu, przy kochance, i odeszłem tam z kąd się do nas przywłócił na wstyd i nieszczęście miasta!

ARYSTOMMACHUS.

Niech się tylko spieszy, bo jutro o świcie u bram Rzymu staniemy — godziną później w pałacu Cezarów!

IRYDION.

Czy nie już więcej przezacni Rzymianie?

ARYSTOMMACHUS (dobywając miecza.)

To jedno tylko!

TUBERO.

Bo tem tylko można się odwdzięczyć w dniu jednym za poniżenie lat kilku!

ARYSTOMMACHUS.

Tem tylko przeciąć djadema na skroniach Cezara i wyiębić uśmiech szydery na ustach jego powiernika!

IRYDION.

Dobrze mówisz — zgadłeś! — Śmieję się sercem całym, bo słyszę Rzymian mówiących o jarzmie ze wstrętem, z oburzeniem o hańbie!

Wy których Ojców na trzodę bydlą zamienił Tyberius, wy

których Ojcami gardził Neron sam pogardzony od kurzawy na której stąpał, śmiecie wyrzekać na poniżenie! Wy potomki tych którzy całą ziemię spodlili! — nie ludźcie się daremnie. — Ród wasz czy dawniej czy później był zawsze świątynią podłości. — Inaczej by pod strumieniem co z niej wypłynęły, nie była wyschła i Azya i Grecya i świat jako wielki, jako nieszczęśliwy aż po Hyrkańskie Syrty i pustynie Jazygów! — Tak, tak, śmieję się Rzymianie ale ten śmiech nie wiecie co wróży — (postępuje kilka kroków naprzód.) Jeśli broni nie złożycie natychmiast — jeśli nie padniecie do nóg Heliogabala — jeśli dziesiątego z pomiędzy siebie nie poświęcicie zemście Jego, biada wam wszystkim! Takie moje zlecenia. —

ARYSTOMMACHUS.

Precz ztąd — wracaj do Syryjczyka. — Niech włosy namaszcą do biesiady Plutona.

IRYDION.

Z tobą już skończyłem. — Dla tamtego mam jeszcze słów kilka.

(Zbliża się do Aleksandra.)

ULPIANUS (do Aleksandra.)

Zbądź go milezieniem pogardy!

ALEKSANDER.

Nie mogę!

IRYDION.

— Brat się przypomina tobie — zapytuje się czemuś zniknął w nocy z pałacu Cezarów — wzywa cię nazad i karę śmierci zamienia dla ciebie na karę wygnania. —

ALEKSANDER (porywając się z łoża do Ulpiana.)

Jeszcze raz nie — pod tem coś się ukrywa — zostaw mnie z nim, proszę ciebie — oddalście się przyjaciele (wychodzą wszyscy). Synu Amfilocha czyż mściwe Bogi rozciągnęły między nami chmurę jaką zwodniczą? Ja nie pojmuję ciebie. — Ty może nie poznajesz Sewera. — Irydionie ty ślubowałeś przecie Hektombą Fortunie, która dzień sprawiedliwości rozświeci nad Rzymem?

IRYDION.

I dotąd Bogom to samo przyrzekam. — Gdyby mogła choć jedną chwilę sprawiedliwości mi przynieść. Kto wie, możebym przez wdzięczność sam Rzym w Hekatombie poniósł na jej ołtarze!

ALEKSANDER.

Synu Amfilocha nie obrażaj mnie dwuznacznemi słowy — bo winienes mi wdzięczność za to, że własnym oczom nie dowierzam, choć mi jasno przewrotność twoją wskazują. — Ah! sam nie wiem czemu zawsze ci ufać pragnąłem!

IRYDION.

Dzięki moje Sewerowi! Gdyby mnie były losy stworzyły człowiekiem i serce moje chciały uposażyć błogim darem przyjaciela, byłbym je prosił o ciebie. — Teraz chyba żelaza piersi naszych zetrą się na polu bitwy!

ALEKSANDER.

Czas jeszcze — porzuć sprawę tyrana; wyrzyj z mgły którą się otoczyłeś, powiedz mi jedno słowo przywiązania a nie będę wątpił o wierze twojej! Irydionie gdzie siostra twoja?

IRYDION.

Tam gdzie ją Fatum przykuło!

ALEKSANDER.

Ale ona czysta jak myśl moja o niej. — Irydionie wołam na ciebie. — Irydionie, zatrzymuję ciebie — ona go nie cierpi — czytałem w jej oczach nieznośne męczarnie — a tybyś miał walczyć w jego obronie?

IRYDION.

Czemu dni twoje tak krótkie latorośli młoda! Z uniesień twoich ku piękności i enocie śladu nie zostanie — przejdiesz jak dźwięk niesłyszany od ludzi, tylko znany Bogom!

ALEKSANDER.

Czemu tak żalobnym wzrokiem wpatrujesz się we mnie? Ah! słyszałem że matka twoja gdzieś, kiedyś, nosiła Boga potężnego w piersiach!

IRYDION.

Puścizną dobrego po niegodziwych jest — kara! Synu Mamei, twoja godzina się zbliża!

ALEKSANDER.

Ty chcesz mnie przerazić?

IRYDION.

Mylisz się, ja ci tylko prawdę ogłaszam. — Jeśli przegrasz, zginiesz z ręki zwycięzcy, jeśli zwyciężysz, z ręki tych którym za hasło dzisiaj twoje imię służy.

ALEKSANDER.

Hańba temu, kto by się frasował o śmierć przed godziną lub w godzinę śmierci! Bąć co bąć zostań przy mnie. — Ja Elsinoe wyrwę z paszczy tygrysa i Rzym na nowo stanie się wiosną siły, zbrojną w nieśmiertelne gromy. — Czemuś się wzdrygnął? Co tak cierpkiego dla ciebie w tych nadziejach moich.

IRYDION.

Przypomniałem sobie że przyszedłem od Cezara po twoją odpowiedź.

ALEKSANDER.

Nie wspominaj mi jego — ale jeżeli jaką iskrę czucia dały ci Bogi, niech ją krzywda siostry i pamięć ojca teraz na pożar zamieni! Przecie naddziady twoje śpiewali Persom, że zemsta jest roskoszą Bogów!

IRYDION.

Niewinny jesteś — (ściska mu rękę) ostatni raz — ostatni, bo oba stoimy nad grobem, a nim trzecia wejdzie zorza, jeden z nas zstąpi do Erebu.

(wychodzi.)

Sala w pałacu Cezarów w filary, w rzeźby, w kosztowne naczynia — pośrodku ołtarz poświęcony Mitrze — w głębi kurtyna w drodze kamienie spuszczone od dwóch kolumn złotych. — ELSINOE w purpurze cesarskiej. — IRYDION wchodzi w szyszaku i zbroi.

IRYDION.

Gdzie przeklęty?

ELSINOE.

Tam, tam ciało jego leży na fioletkach, dusza na łonie jędrz spoczywa. — Wysłałam by odetchnąć na chwilę.

IRYDION.

A nim zasnął, czy mówił o mnie — czy go przygotowałeś tak jak przykazałem?

ELSINOE.

Przystał na wszystko płacząc i tłukąc się w skronie. — Eutychniana przywołał, rzucił mu się na szyję, za ręce go ścisnął, ale jeszcze nie śmiał oznajmić, że ty weźmiesz dowództwo pretorium — powtarzał tylko iż się spodziewa, że łagodnymi słowami i obietnicami nawrócisz zbuntowanych — mnie się polecał bym go moim polecała Bogom — potem skoczył i legł wśród kwiatów i tarzał się jak wąż niespokojny. —

IRYDION.

Obudzić go trzeba. —

ELSINOE.

Chodź za mną!

(Idzie i roztwiera kurtynę, za nią widać drzemiącego Heliogabala na stosach róż i fiołków.)

IRYDION.

Czekaj jeszcze! te usta rozemknięte coś wymówić mają.

ELSINOE.

Przekleństwo im! czy sennym czy na jawie, czy żyjącym, czy w grobie!

HELIOGABAL.

Iry, Iry, czego opuściłeś mnie?

ELSINOE.

On marzy o tobie. —

HELIOGABAL.

Elsi, Elsi moja, czego opuściłaś mnie?

ELSINOE.

Ah! córa Grimhildy nigdy twoją nie była!

IRYDION (dotykając się Heliogabala).

Imperatorze!

HELIOGABAL.

Kto woła — co — gdzie? (zrywa się). Ah! to wy. — Ah, to róże moje i kochane trójnogi (bierze ich za ręce i kilka kroków idzie naprzód). Umierałem już kiedy głos twój mnie wskrzesił.

IRYDION.

Cóż tak straszego widziałeś?

HELIOGABAL.

Okropnie mi było. — Zdało mi się w początkach uśpienia, że lud cały i wszystkie narody zdrobniały w karła bezsilnego i śpiącego w łańcuchy; moja noga błyszczała na jego włosach jak muszla przejrzystej białości. — Tron mój pałał blaskami Olimpu. — Rzym też już płonął naokoło według obietnicy twojej i ludzi nigdzie nie było, bo wszystkich żyjących gniotłem jedną stopą moją.

IRYDION.

A więc pomyslną wróżbę zesłały ci Bogi?

HELIOGABAL.

— Słuchaj, słuchaj. — Zdało mi się że z Mausoleów powstali umarli — powstał Tubero i Lucius Victor i dwaj Apuleje i inni; wiesz inni wszyscy — a u widnokręgu nagle ukazał się ojciec mój Karakalla z głową okręconą żmijami, z ludzkimi czaszkami w dłoniach, ogromny, zataczający się w popiołach, i zapadł wołając — o Synu. — Oni wtedy ku mnie stąpać zaczęli — karzeł rozśmieł się i zrzucił nogę moją. — Oni idą, idą. — Tyś stanął przy mnie a z drugiej strony ona. — Oni idą, patrz idą togi zarzuciwszy na lewe ramię, w prawym ręku ściskając sztylety. — Wtedy rzekłeś, wydając mnie — oto Cezar — i Elsinoe rzekła wydając mnie — oto wasz morderca — i sto nagich błyskawic mignęło przed moimi oczyma — sto rozrzynających gromów ugrzęzło mi w piersiach. (coła się i zakrywa oczy. Znowu on, on, Ojciec mój.

IRYDION.

Otrząśnij te ziarna zwodnicze które mi przelatują Morfeusz osypał ci zmysły. Teraz więcej niż kiedykolwiek bądź przytomnym i silnym — bo pretoryanie zerwali z twoją purpurą na zawsze i Aleksander zaprzysiął nie spocząć, dopóki twoim dżadematem skroni nie opasze.

HELIOGABAL.

O ja nieszczęśliwy! Możesz ty im nie powiedział wszystkiego, nie obiecał przebaczenia i nagród?

IRYDION.

Nie złota, ale krwi twojej żądają.

HELIOGABAL (obejmując ołtarz ramionami.)

O Trójco rokoszy, o chaldejski Panie!

ELSINOE.

Dopóki u nóg Mitry kwilisz, dopótyś w kole niebezpieczeństwa i śmierci. — Módl się do Odyna a zleć święte kruki i przemogą nad orłem. —

HELIOGABAL.

Głos twój Elsinoe! głos twój niechaj slysze w ostatniej godzinie — ramiona twoje daj piersiom moim za przepaskę śmiertelną. — Ja cię kochałem za życia, choć ty mnie nie cierpiałaś. —

ELSINOE.

Nie konaj przed zgonem — wstawaj, każ przywołać Eutychiana i straż twoją. — Bratu mojemu daj władzę, a on ci da zwycięstwo. —

HELIOGABAL (podnosząc się.)

Ah! gdyby można jeszcze...

IRYDION

Nie — nie trza grać w koście życia i śmierci na ołtarzu Fortuny! — Dziś w nocy jeszcze miasto zacznie się palić — nie lękaj się — przy tem świetle skonają pieśni na ustach Arystomacha. — Gdzie skarby twoje?

HELIOGABAL.

Część przesłałem już do Syrii — reszta pod strażą Eutychiana. —

IRYDION.

Co zostało każ rozdać pretorianom dworu.

EUTYCHIAN (Wbiegając.)

Boski, Boski, źle się nam dzieć poczyna. — Lud odpędził żołnierzy od bram Kuryi. — Senatorowie się wcisnęli do Ku-

ryi. — Siedzą i radzą — a oczem miły Anubisie? O śmierci Boskiego!

IRYDION.

Spiesz się Cezarze!

HELIOGABAL.

Stary przyjacielu podaj mi rękę. — Tak, dobrze, opieram się na tobie jak za dawnych czasów — razem kadziliśmy w świątyniach Mitry, piliśmy razem. — Ah! w przeszłości mojej wszak smaczne bywały papuzie wątróbki i dziewic rozgorzałe usta — a teraz losem przeciwnym ustępujemy razem — miecz swój oddaj Irydionowi — proszę cię. — Ty zostaniesz przy mnie a on będzie prefektem pretorium.

EUTYCHIAN.

Kto! ja? oni chcą głowy mojej, on dostojenstwa mego — bez głowy, bez miecza, jakże to będzie? — ja przypawiłem dla ciebie ostatnią czarę Sylwiusza, a....

HELIOGABAL.

Milez i oddaj!

EUTYCHIAN (miecz odpasując).

Greku nie trudź dziecięcia mojego — ono w lędźwi moich zawsze się hojdało w miedzianej kolebce. —

POSLANIEC (wbiegając).

Panie mój, w tej chwili przebrany wyszedłem z senatu; a kiedym wychodził już wnosił Kanulcius żebyś zginął śmiercią Nerona, a brat twój państwo odzierał!

HELIOGABAL.

Ah! ah! ci sami twarze pasowali wczoraj do śladów moich na piasku. —

IRYDION.

Jeszcze raz, nie lękaj się. — Ty żołnierzu przebiegnij dolne piętra i zwolaj co możesz pretorianów — niech czekają na mnie w Atrium Domicjana — potem skocz do mojego pałacu. — Tam znajdziesz gotowych gladiatorów pod wodzą Scypiona — niechaj w tej samej chwili ruszą ku bazylice w której senat rozpoczął obrady — a przechodząc niech wołają imię moje! (posłanik wychodzi.) Synu Samidy, rozpędzę tych mówców i lud roze-

pełnę jak dwie nędzne fale. — Lecz by Aleksandra zwyciężyć
trza mi czegoś więcej jeszcze!

HELIOGABAL.

Mów. —

IRYDION.

Czasu nie masz ogłosić mnie panem dni kilka przed woj-
skiem i ludem — pożycz mi pierścienia twego — a kto nań spoj-
rzy uzna mnie namiestnikiem Cezara i pójdzie za mną jeśli wier-
ny tobie.

HELIOGABAL.

Czy nie wiesz że Geniusz państwa na tym kamieniu wyryty?
że świętokradcą Imperator, który go cudzym dłońmi po-
wierza?

EUTYCHIAN.

Oddaj — proszę cię, oddaj frydonowi. — Ja zostanę przy
tobie, a on będzie Cezarem!

HELIOGABAL.

Nie przedrzyżniaj pana twego — patrz na ten żart obosie-
czny, maczany w jadach Getulskich — przyszła mi chętką za-
tknąć go w sercu twojem. —

EUTYCHIAN.

Złota klinga! złota, sługa twój nie lękał się nigdy.

(Heliogabal rzuca się na niego.)

Przepowiedziano w kościele Osyrysa że we trzy dni po
śmierci Eutychiana Cezar ducha wyzionie. —

HELIOGABAL.

Co mówisz przyjacielu. — Ah! podłóż ramię głowie mojej
biednej — nie wierz złym językom. — Ja nigdy nie przestałem
cię kochać. —

EUTYCHIAN.

Jak pijany Macedończyk starego Klitusa. —

IRYDION.

Znaku mi potrzeba — znaku. —

HELIOGABAL.

Precz! — nie oddam ci tych węzów złocistych i tego Boga

z djamentu. — Masz wszystkie moje skarby, czary, jedwabie —
dosyć, dosyć —

(Odzywają się krzyki z daleka.)

IRYDION.

Czy słyszysz początek pieśni tryumfalnej Sewera?

ELSINOE.

Uczcij i uszanuj syna kapłanki — czyń wolę syna kapłanki!

HELIOGABAL.

O Elsi!

IRYDION.

Słyszales wyrocznię — ręka twoja!

HELIOGABAL.

Sam zdejm z palca Heliogabala — nie — poczekaj jeszcze chwilę — kiedyś i ja biłem się z legiami Makryna. — Dzień był rażącej pogody — wóz mój srebrny toczył się po trupach i włócznie złotem ciskałem, promieńmi drugiego słońca. — Dziś ja chcę na nowo. — Ah! — czy widzicie nad Trójnogiem. — Ah! teraz za kolumną. — On sam i ręką mnie woła. — Okręca się purpurą z krwi własnej. — Ojcie! (pada w ręce Eustychiana).
Źle mi przyjaciele — pierś moja jak dom porzucony — nie ściszkaj mi tak dłoni Greku — zbrodnia zelzonego Majestatu. —

IRYDION.

Gdzie siła, tam niechaj będzie i godło — (zdiera pierścienie).
Idź zasnąć — a kiedy zerwą się płomienie, przyjdę cię obudzić!

HELIOGABAL.

Eheu! on teraz Cezarem — prowadź mnie Eutychianie. — Siądziesz u wezglowia mego. — Tarczę moją gładzić będziesz. — Wśród pożaru chcę raz jeszcze przejrzeć się w niej. — Ah! słabo, zimno, czarno Heliogabalowi. — Eheu — Eheu! — O Elsinoe!

ELSINOE.

Spieszę za tobą. —

EUTYCHIAN.

Cny Amfiloch idzie! kiedy piasek jeść będziesz i własną krwią popijać, wspomnij o mnie. — Byłem za młodu kucharzem.

(Kurtyna zapada nad nim i Cezarem.)

ELSINOE.

Stało się. — Szaleństwo mu dałam za ostatniego towarzysza u brzegu wód piekielnych nad którymi stoi teraz. — Mów, czy mam jeszcze co wykonać o bracie, bo dzisiaj w nocy, bo jutro nad rankiem przyjdzie może pretoryanin — może wcisną się płomienie lub pierś sama nie zechce dalej cierpieć i wzgardzi powietrzem!

IRYDION.

Strzeż go dopóki nie wrócę — wtedy opuścisz skazane progi i pójdiesz ze mną. —

ELSINOE.

A z nim co będzie?

IRYDION.

Mało mi zależy na jego śmierci, mało na jego życiu. — To co nim było, na palcu moim polyska, to co nim jest, nie warto jednej myśli mojej!

ELSINOE.

Jeśli tak, zbliż się do mnie — jeszcze, jeszcze — a teraz czy słyszysz cichy głos mój?

IRYDION.

Czego chcesz sestro? — ręka twoja drży w mojej — bicie serca twego rozlega się na tym pancerzu?

ELSINOE.

Niechaj więc zgasną oczy pod którymi zwiędłam — niech ramiona co opęły szyję moją, opadną jak dwie starte żmije. — Usta co pierwsze ust moich się dotknęły, niech znikną w popiołach!

IRYDION.

Na jednym więc stosie o tej samej chwili on i Severus...

ELSINOE.

Nie — nie! — Daj mi ostatniej woli dokończyć. — Znam Irydionie siłę ręki twojej i dla tego ostatnią prośbę zanoszę do ciebie. — Oszczędzaj Aleksandra na polu bitwy — nie zarzucaj śmiertelnych cieniów na to greckie czoło. — On jeden się domyślał... Ah! czemu lica odwróciłaś odemnie?

IRYDION.

Nie myśl o nim! On jeden już tylko Romę wydziera z objęć nienawiści mojej. — Bogowie pozazdrościli go ludziom — wyrok jego zapadł już oddawna!

ELSINOE.

A więc raz jeszcze siostrę przyciśnij do łona! — czujesz li jak to serce pracuje? nim wrócisz, ono pęknie synu Amfilocha. — Ale pamiętaj — krwi niczyjej Elsinoe nie żądała od ciebie. — Życie wszyscy — wszyscy i on, Syryjczyk, i on przemierzyły niech żyje — pod koniec ofiary rąk białych i śnieżnej szaty nie skazi dziewica! — Ah! ona stała długo przed ołtarzem. — Dniem i nocą jej sny, jej żądze, jej wiosna paliła się na zgłiszczach! — Patrz! dymy z niej tylko w powietrzu — ale godzina już bliska i ciało się odwiąże jak koturny taśmy — wiązka piolunu tylko zostanie na ziemi i duch stanie się cieniem!

GŁOSY ZEWNĄTRZ PAŁACU.

Naprzód! przez Fortunę Irydiona Greka!

IRYDION.

Precz z niewczesną żalobą kiedy już Nemesis wieniec zemsty dla was w każdej ręce trzyma. — Zwycięztwo zstępuje mi w duszę. — W tych szczękach, w tych wrzaskach hasa życie moje. — Urodziłem się w tej chwili a ty miałabyś umierać? Bądź raczej szczęśliwą i dumną! — Co twój ojciec wzywał, o co Bogów ze łzami długie wieki prosił, zbliża się jak piorun. — Huki grzmotów czy już słyszysz w oddali?

GŁOSY.

Irydion, Irydion!

IRYDION.

Bądź zdrowa!

ELSINOE.

Idź. — Ty bądź szczęśliwym i wielkim — a jeśli kiedy przepływać będziesz po Egejskich wodach, garstkę popiołów moich rzuc na brzegi Chiary!

Najwyższy taras palacu Irydiona otoczony balustradą i posągami Bogów greckich. — MASYNISSA na krześle z kości słoniowej — z tyłu domownicy, barbarzyńcy, żołnierze Irydiona.

MASYNISSA.

Patrzcie jeszcze!

PILADES.

To pewno że około bazyliki coś dzieje się teraz — ale co, to chyba Sfinxy odgadną. — Ztąd huk Septimiusa wygląda jak dziecię na piasku. — Jeden tylko kapitol jak wielki tak wielki!

JEDEN Z BARBARZYŃCÓW.

O dwieście kroków dajcie gałąź leszczyny a rozedrę ją strzałem po strzale. — Lecz to forum przekłęte za daleko stoi!

MASYNISSA.

Choć lat tyle cięży moim powiekom i słońce różnych tyle puśło mi źrenice, wzrok mój dalej sięga, ludzie młodzi. — W te chwili sęp jego helmu przesuwają się nad tłumem — przed nim idzie miecz dobyty Scypiona — za nim czarne głowy braci waznych!

DRUGI BARBARZYŃCIEC.

I mnie raz lysnęło się w oczach. —

PILADES.

Czy wydało mi się bracia? czy słyszałem jakby konające echo tysiacy?

INNI.

O! grzmi znowu. —

MASYNISSA.

Nic mu nie będzie — przeszedł i już zniknął w przysionku. — Gladiatorowie usiedli na schodach, a motloch jak znużone morze liże stopy gmachu. — Ho! Verresie. —

VERRES.

Jestem. —

MASYNISSA.

Wielu masz ludzi pod sobą?

VERRES.

Syn Amflocha powierzył mi niewolników z Sycjonu i rotę Germanów co od Legji Cysalpińskiej zbiegła do nas wczoraj. —

MASYNISSA.

Jak tylko wejdzie Hesperus, ruszysz z niemi ku Samnickiej bramie. — Tam czekaj aż słup ognisty wzbije się z wierchołków na których rozmawiamy, a wtedy zaczynaj od villi Rupiliusa i pożar rozpuszczając w lewo zmierzaj zawsze ku Forum. —

VERRES.

Polegaj na mnie jak na Katylinie!

MASYNISSA.

Ah! ufam staremu patryciuszowi że puhar zemsty wychyli aż do dna.

VERRES.

I znów napelni do brzegów. —

MASYNISSA.

Alboinie!

ALBOIN.

Czego żąda syn Pustyni?

MASYNISSA.

Ojciec raczej — gdzie twoje Herule?

ALBOIN.

Już wrócili, zatrzymawszy jeden wodociąg za miastem, a w mieście fontannę Galby i zdroje Manliusa.

MASYNISSA.

W nocy stanowisko twoje będzie u sadzawki Nerona — pamiętaj czynić powinność na którą przysiągłeś.

ALBION.

Nie ma co przypominać — wioskę hordy mojej Cesarz Karakalla spalił nad brzegami Renu — mnie kazał służyć i dosłużyłem się wreszcie dzisiejszej nagrody! Odepchnę żeby ślepego starca z wiadrem, żeby drobną chłopię z rączką wyciągniętą po kroplę wody!

MASYNISSA.

Dobrze mówisz. — Błogosławieństwo starca nie zaszkodzi tobie!

VERRES (do Masynissy.)

Proszę cię spojrzuj — serce mnie boli z oczekiwania. —

MASYNISSA.

Pusto już wszędzie. — Jeden Scypion tylko leci na koniu. —

WSZYSCY.

Zkąd?

MASYNISSA.

Od Kuryi Hostylli — teraz jednym skokiem przepadł wśród pałaców. —

PILADES.

Może panu naszemu trza ruszyć na pomoc. —

MASYNISSA.

Nic nie słyszycie?

WSZYSCY.

Nic — nic. —

ALBOIN.

Jakiś niedobitek dźwięku krąży w uchu moim. —

MASYNISSA.

Ja wam mówię, że tętnią kopyta. —

VERRES.

Coś takiego — coś takiego. —

PILADES.

Patrzcie. — On, on się wydobył. —

VERRES.

Teraz obelisk i portyk go przesłoni. —

ALBOIN.

Jak strzała przebił na wylot świątynię. —

MASYNISSA.

Scypionie!

GŁOS SCYPIONA.

Zwycięstwo!

CHÓR.

Niech żyje wnuk Afrykanina!

GŁOS SCYPIONA (na wschodach.)

Nie traćcie czasu — słońce już w kałuży krwi tonie za Tybrem — z lochów wynieść pnie i gałęzie cyprysów i nim wejdą gwiazdy, stos z nich ułożyć nad domem — (wchodzi). Verresie, Masynisso, przyjaciele, nie ma już senatu!

PILADES.

A pan mój gdzie?

SCYPIO.

Udał się do pałacu Cezarów, by straż pretoryańską obejrzyć. — Za chwilę ujrzycie go tutaj! (do niewolników wchodzących z drzewem i konwiami). Tu, pośrodku — między Minerwą Ateńską i Dianą z Efezu — a każdą warstwę przysypać korą aloesu, polać zdrojem nafty!

MASYNISSA.

Lubię głos twój Luciuszu! Mów nam, jakoś braci wypędził z siedzeń kurulnych. —

SCYPIO.

Irydion samowtór ze mną wszedł do kuryi. — Siedzieli spisaní Ojcowie jak za dobrych czasów — posąg Heliogabala leżał na ziemi z głową przy stopach, z rękoma u szyi, a Volero starszy nogą parł mu piersi i przemawiał udając Katona!

VERRES.

Syn kupca!

SCYPIO.

Umilkł też jak Greka zobaczył, bo na czole Greka noc pośpna, jakby noc wieków przeszłych, leżała w tej chwili. — Maxymin Uxor zapytał jakim prawem znieważamy progi senatu — na to syn Amfilocha oparł się o podstawę filara i ręce założywszy na Meduzie panczerza rzekł: — Rozejdźcie się i miasto opuśćcie. — Wrzaski zagłuszyły te słowa. — Kapłan Jowisza Ventidius krzyczy na liktorów — inni porywają się z krzeseł i dobywają sztyletów. — Irydion wtedy ozwał się szydząc mroźnym głosem: — W przybytku gdzie Ojcowie wasi potępili Grecyę, zhańbię was na zawsze, jeśli mnie nie usłuchacie. — Volero rzucił się z pod mównicy, ale sztylet jego ześliznął się na zbroi Greka i sam padł u podnóża Kaliguli, na ostrym węgle rozkrojone czoło krwią plusnęło i zemdlął Senator. — Grek nie raczył nawet dobyć miecza, obrócił się ku mnie: — Oddaję ci ich Scypionie — i klasnął — nasi drzewi ze spiżu wyrwali, Liktorów przeparli, runęli do kuryi — przed ostrzami ich mieczów ustępowali. Ojcowie — kto się opierał, ten leży obok Volerona —

kto mógł, wyskoczył bocznemi ujściami — uciekając świadczyli się Jowiszem, a ja zwyciężstwem pod Zamą Verresie!

VERRES.

Ah! mnie tam nie było!

MASYNISSA.

Uspokój się — za to dziś w nocy zasiądziesz do lepszej biesiady!

CHÓR.

Oto pan nasz idzie — głos jego słyszymy. —

(Wehodzą gladiatory — za nimi Irydion.)

PILADES.

O synu Amflocha tyś nam wrócił cały. —

IRYDION.

Wstań, dobry mój Piladzie — dzięki tobie!

Ha! stos już wzniesiony, tylko nie ma całuna z amiantu dla popiołów Romy. — Witajcie mi wszyscy. — Stareze rozdałeś rozkazy?

MASYNISSA.

Stało się według życzenia syna mego. —

IRYDION (siadając przy Masynissie.)

Odpoznijmy chwilę, zdejmi mi szyszak Piladzie. — Luciuszu!

SCYPIO.

Slucham wodzu!

IRYDION.

Zważaj pilnie na każde słowo iżbyś je zapamiętał i strzegł jak zemsty swojej! — W ogrodach pałacowych stali pretoryanie w nieładzie i przerażeniu, jedni pijani, drudzy bez oręża, inni bez znaków Centuryi swojej. — Dałem im się wykrzyczyć — a kiedy ucichły gwary wzniosłem rękę moją — na widok pierścienia niebezpieczeństwo gorzące pojęli. — Trybuni otoczą mnie i pytają się — krótko przemówilem — rzezańce Syryjczyka znieśli pełne misy srebra — przysięgi straszne z ust wszystkich zagrzmiały — aż do ostatniej kropli — aż tchu nie stanie — i inne na dzisiaj dobre, zgrzybiałe do jutra. Idź więc i obejmij nad nimi czuwanie — uprzedziłem że przyszlę jednego z moich — na znak weź miecz Eutyhiana i na pomoc przybierz

gladiatorów Elsinoi. — Trzymaj ich ciągle w oczekiwaniu, mów że za murami już widać manipule Severa — kiedy jęk w mieście rozlegać się zacznie, mów że to manipule Severa — kiedy luna dojdzie ogrodów, mów że to manipule Severa. — Oni nie wyjdą na spotkanie wściekłych braci swoich — a gdyby nad rankiem nadeszli Zamiejscy, wtedy z początku ludzi Aleksandra, wynajduj jakie chcesz warunki, zrywaj je i odnawiaj dopóki cierpliwości mu stanie — a potem bij się do upadłego. — Helio-gabal i Karakalla — niech będzie twojem hasłem zwodniczem. — Aż ujrzysz płomienie u szczytów Kapitolu i płomienie na Forum — poznasz wtedy że syn Amfilocha bliski!

SCYPIO.

A gdyby Syryjczyk wyczołgał się z głębin pałacu i chciał pomieścić nam szyki?

IRYDION.

Nad Syryjczykiem czuwa siostra moja. — Zresztą szanuj jego życie do końca, bo pretoryanie służą nam tylko dopóki on od-dycha.

SCYPIO.

A ty gdzie się udasz?

IRYDION.

Może jeszcze w nocy zawitam do ciebie. Teraz spiesz się — już zmierzch lekkie zagony rozpuścił po niebie. —

(Scypio wychodzi.)

I tobie czas odejść Verresie!

VERRES.

Za mną!

(Wychodzi z kilkoma.)

IRYDION.

I Alboin w jedną drogę z niemi. —

ALBOIN.

Do widzenia Sygurdzie!

(Wychodzi.)

IRYDION (do niewolników.)

Niedługo i wam już trzeba się wybrać. — Lecz pierwej w dolnych perystylach zasiądźcie do przygotowanej biesiady. — Ostatni raz jedzcie i pijcie w domu moim. — Jutro ten dom się rozsypie. — Jutro będziecie zamożni i wolni!

CHÓR NIEWOLNIKÓW.

Byłeś Ojcem naszym i matką naszą — pożywając chleb z ręki twojej, żyjemy dotąd, a innych po cyrkach i polach nagie świecą kości. — Jeśli który nie wróci, nie pytaj się o niego. — On zginął dla chwały twojej, błogosławiąc Tobie!

IRYDION.

Idźcie! a kiedy stos ten cyprysowy błysnie, od świątyń, od Termów, od bram miasta, odpowiedźcie mu płomieniem i dymem. —

(Wychodzą — on wstaje i opiera się na stosie.)

Im bliżej godziny, tem srożej krew moja szaleje. — Czy to nie fałszywe ciemności? Czy odwieczna żądza serca mojego tych gwiazd nie wyklamała przed mojemu oczami? — Nie — nie — teraz poznaję noc ostatnią Rzymu. — Czy widzisz Masynisso jak tam skradają się męże? — W bok czy widzisz tę samotną pochodnię ciągnącą nad wzgórzem ogrodów? — Ah! konie zarżały! to konie Verresa — cicho, cicho ludzie moi. —

MASYNISSA.

I pod nami dziedzińce zaczynają się wypróżniać — coraz mniej głosów — jedno zdrowie jeszcze wnoszą. —

IRYDION.

Imię moje rozbiło się o sklepienia. —

MASYNISSA.

Teraz z portyków jedni po drugich zchodzą i zgarbieni, milczący zapadają w ciemnościach. —

IRYDION.

Wszyscy dotrzykali słowa, wszyscy z domu Amfilocha idą na zgubę Romy. — Nazaarenów tylko jeszcze nie widać. — Ale Symeon przysiągł że o trzeciej godzinie sam ich przypro-wadzi do mnie. —

MASYNISSA.

Nie długo ci czekać. — Hesperus stanął już nad kapitołem i włosy Bereniki z nad gór Sabińskich się wnoszą. —

IRYDION.

O nocy! nie skąp mi chmur i wiatrów — przez wieki potem świecić będziesz jasno i cicho nad rozwalinami, czas mi się ociaga — czas mi dolega starcze!

MASYNISSA.

I mnie także. — Lecz ja czekam dłużej niż ty na upadek wroga i czekam w milczeniu. —

IRYDION.

Ah! głos twój zdał mi się głosem ojca. — Czyż w tej chwili posąg Amfilocha nie dostanie krwi i żył i bijącego serca? W ciemnościach na tem białem krześle ty mi go przypominasz (idzie do niego). I toga Jego tak samo była zarzucona w dniu śmierci! — Daj ręce obie — wyrzec nad głową moją słowo opieki tak jakby on uczynił przed hasłem do boju. —

MASYNISSA.

Niechaj znak mój będzie na czole Twojem aż do końca wieków. — Przetrwasz z nim koleje, których nie obaczą te gwiazdy!

IRYDION.

Miasto całe w płomieniach! — nie — tylko w źrenicy mojej buchnęły pożary. — Gdzie oni? gdzie Chrześcianinie? Coraz czarniej, coraz ciszej w dole — coraz wietrzniej w górze — a ich nie ma jeszcze?

PILADES (wchodzi).

Czy mnie wołasz?

IRYDION.

Nie ciebie. — Stój — czy w lochiach nie odezwały się szelesty? — czy od katakomb nie zbliżają się kroki?

PILADES.

Wracam z sali Amfilocha — nigdzie nic nie słyszałem. —

IRYDION.

Przynieś pochodnię (Pilades wychodzi). To być nie może — oni za chwilę tu będą!

MASYNISSA.

A gdyby nie przyszli?

IRYDION.

Nie przeklinaj mnie. — Na nich oparta cała moja potęga. — Na ich czele zbiegnę miasto i ludowi rzymskiemu przypomnę Brennusa. — Gladiatory i żołnierze moi bez nich nie wystarczą tłumom. — Jeśli mnie zdradzili, zginąłem!

MASYNISSA.

Dośpiewują Hymnów swoich, bądź cierpliwy synu!

(Pilades wraca z pochodnią.)

IRYDION.

Zatknij nad stosem!

Konam jak Prometeusz w łańcuchach o chmurę jedną od biesiady Bogów. — Czego ty milczysz — ozwij się Masynisso, niech żyje Hellada!

MASYNISSA.

Milczę, bo godzina naznaczona minęła w tej chwili i każde pióro jej skrzydeł śmiechem przedłużonym szumiało w przelocie. — Teraz nie już nie słychać. —

IRYDION.

Wbrew losom i ludziom niech się stanie wola Ojca mego! (porywa za pochodnię). Cześć ziemi Greckiej, cześć! a Ty potrojna Hekato przyjm tę ofiarę. —

Ha! kto idzie? odpowiedz czarne widmo! — Jeżeli jesteś moim złym Gieniuszem przyjdź później! Teraz nie wstrzymasz mnie!

POSLANNIK.

✕ Pokój Tobie w imieniu Jezusa Nazareńskiego!

IRYDION.

Tak tak — cóż dalej? gdzie pustelnik? gdzie bracia?

POSLANNIK.

Symeon wzywa ciebie w rozpacz. — Na progach Eloimu Biskup zatrzymał wszystkich zbrojnych spieszących ku miastu!

IRYDION.

Dzięki ci slugo świętych. ✕ Patrz! zimny jestem — nie zabiję ciebie (depce pochodnię). Ty jedna tylko umieraj! — (Do Masy-nissy.) Jeśli kto z moich wróci niechaj siądzie i czeka!

MASYNISSA.

Jeszcze daleko do zorzy. —

PILADES.

Panie, panie, szyszak twój!

IRYDION.

By zwyciężyć dość miecza — by zginąć nie potrzeba hełmu — naprzód Nazaarenie!

(wychodzą.)

MASYNISSA (wstając i wznosząc ręce).

O miasto serdeczne moje błogosławię tobie! O Roma w cieniu tych ramion bądź spokojnej myśli! — Zbawiona jesteś dla podłości twojej! Zbawiona jesteś dla okrucieństwa Twego! Żyj i uciskaj — by ciało zepsuło się w mękach, a duch zwątpił o Bogu!

(Znika za stosem.)

Przybytek Eloimu w katakombach. — VIKTOR na stopniach ołtarza. — Za nim kapłani i starce. — Z jednej strony klęczy SYMEON, z drugiej stoi METELLA. — Dalej chrześciance zbrojni na kolonach — na ołtarzu kielich święty i krzyż obwisły różami wśród palących się kadzielnic.

VIKTOR.

Jako po tych dymach mdlejących tak i po was śladu nie będzie na ziemi ni w niebie! O! żeby sen wasz mógł być kamienny bez wspomnień, bez przebudzenia! Ale w przestworach śmierci wy żyć będziecie tam gdzie zemsta Pana wiecznym gromem uderza! Wy żyć będziecie na wieki. — (do Symeona) Uciekaj jak pierwszy morderca z przed oblicza Jehowy!

SYMEON.

Słuchaj mnie raz jeszcze!

VIKTOR.

Spojrzyj na tę niewiastę do której się już nie odzywam, bo ręka sądu spoczywa na jej czole. — Odpowiedz. — Kto duszę tę zabił a ciało przepuścił, by ono pośmiewiskiem było wśród żyjących? Czy nie poznajesz głosu opętania na tych ustach nieszczęśliwych?

KORNELIA.

Czego mnie prześladowacie kapłani ludu mego?

CHÓR KAPŁANÓW.

Milcz córo buntu. — Ty miałaś być aniołem ale nie dotrwałaś do końca — potępionaś, potępionaś!

KORNELIA.

On wyrzekł nademną: — Biedna — on wiedział że hańbę będę cierpieć za niego. — Ale o Symeonie nie wątp. — On przyjdzie — ale bracia nie odpadajcie od niego — on przyjdzie!

Z pośród ogniów mnie wyrwał kiedy się już klóczyli o ciało moje — z pośród was mnie wybawi — on przyjdzie, on przyjdzie!

SYMEON.

Viktorze słuchaj mnie raz ostatni. — Byłem ci posłuszny zawsze — kto przeciwko mnie świadczyć będzie? Czym dwa razy nie odbył męczeństwa, raz w lochach Antiochji, drugi raz na rynku w Tarsus? Czym lat długich nie pokutował na pustyni? Czym kiedy przełamał zakon lub zgorszył braci moich?

VIKTOR.

Gorszysz ich w tej chwili, chwając się jak Faryzeusz przekłety przez Syna człowieka!

SYMEON.

Mówię prawdę. — Kto z was głębiej rozmyślał nad męką Pańską — w kim żarliwszą miłość obudziły wspomnienia Gołgothy? Sam Bóg, by świat zbawić, ubrał się w ciało — a my, by świat nauczyć nie dostaniemy ciała? Dotąd marne duchy z nas. — Gdzie dom, gdzie kościół, gdzie potęga nasza?

VIKTOR.

Sofisto koryncki, kogóż ty usiłujesz omamić?

— Królestwo moje nie z tego świata. — Czy słyszycie?

SYMEON.

Czemu opuściłem moje piaski wrzące. — Tam niestworzonego kochałem — tu nie cierpię stworzonych!

VIKTOR.

Synu!

SYMEON.

Głos słyszany po nocach mnie pędzi. — Czyż to marne przeczucia?

VIKTOR.

Tyś niedawno jeszcze był wybranem dziecięciem kościoła — a dzisiaj Pana twego chcesz ukrzyżować na nowo. —

KORNELIA.

Niżej czola! słyszę odgłos z niebozstąpienia!

(Irydion wchodzi.)

On to z nieśmiertelną młodością na licach. —

(Do stóp mu się rzuca.) Mówiłam im, że ty przyjdiesz o Panie, Panie!

CHÓR KAPŁANÓW.

Precz ztąd kaccerzu!

VIKTOR.

O tej godzinie czara miłosierdzia wysycha w ręku anioła twego. —

IRYDION.

Krwią Rzymian ją odświeżę. —

Kto przysiągł i nie dotrzymał? Symeon z Koryntu. — Kto się zgarbił do ziemi i oręż z dłoni wypuszcza? Wy bracia — a w mieście teraz Cezar i Bogi miasta, czekają tylko zmarłych wstania świętych by skonać. — Ha! zostawcie zgrzybiałych na grobach, chodźcie za mną — tam zwycięstwo, tam gwiazdę ujrzycie jaką widzieli królowie w dniu narodzenia Jezusa. — Tam Archaniołów śpiewy!

SYMEON.

Hieronimie, Hieronimie ku tobie, ku naszym nadziejom wyciągam ramiona!

CHÓR.

Proś Viktora!

IRYDION.

Ojczy!

VIKTOR.

Dziś ojca straciłeś w niebiesiach!

IRYDION.

Starczy!

VIKTOR.

Siwizny mojej nie dożyjesz bezbożny!

KORNELIA (do Irydiona).

Daruj mu Panie. — On nie wie co czyni — do broni, do broni!

IRYDION.

Ty jedna tylko, bo ciebie także puściły losy!

VIKTOR.

Syni ludu mego patrzcie! Znak wam dany będzie, abyście żałowali za winy wasze, abyście ocalali za wdaniem się pasterza waszego!

Ty pierwsza niegdyś, dziś ostatnia u stołu pańskiego przybliż się. — Niech moją rękę położę na skroni twojej!

KORNELIA.

Dawniej tyś miłował córę Metellów. — Czego chcesz od niej dzisiaj?

VIKTOR (wznosząc pułar).

Uniż się przed krwią Pańską!

KORNELIA (obracając się ku Irydionowi).

Uniżę się przed Panem!

(Kapłani podają wodę święconą Viktorowi.)

VIKTOR.

Duchu święty, w Ojcu i Synu poczęty! to serce obłąkane uczyni na nowo domem twoim!

Tak jak w godzinę chrztu poświęcam skronie twoje Kornelio!

CHÓR.

Czyż sen ogarnia dziewicę, że zawarła powieki i skłoniła głowę?

VIKTOR (do kapłanów).

Otoczcie ją — podajcie jej ramiona!

KORNELIA.

Do broni!

VIKTOR.

Milez zły duchu, który przemawiasz jej obłądem. — Znakiem krzyża opasuję ciebie — słowem Jezus rozkazuję tobie. — Kłamco jakiegokolwiek imię twoje — jakakolwiek potęga twoja, wynijdź i zniknij!

KORNELIA.

W piersiach sto jęków nie moich, sto jęków słyszę!

VIKTOR.

Ustąp!

KORNELIA.

Ratujcie mnie!

IRYDION.

Tu droga, tu w objęcia moje!

KORNELIA.

Ziemię rozstąp się — ukryj mnie przed jego wzrokiem śmiertelnym!

IRYDION.

Kornelio, ty moja, ty!

KORNELIA.

Gdzie ona? nie nazywaj ją tem imieniem! Ona uwierzyła tobie — ona zginęła na wicki. — Ha! śmiechy, śmiechy rozrywają powietrze! czarne widma okrażają ciebie — precz — precz. —

IRYDION.

Rozstąpcie się. — Oddajcie mi ją — bracia wyrwijmy dziewczę z rąk katów!

KORNELIA.

Czyj to głos? słyszałam go tyle razy. — Ah! ona była prosta i szczerą — ona kochała ciebie przed laty — i ty piękny byłeś — tak — i ty mówiesz jej — Chwała moja twoją będzie. —

VIKTOR.

Apage Sata nas.

KORNELIA.

Nie przybliżaj się, uciekaj odemnie — czy widzicie te tysiąc skrzydeł czarnych nad nim! Gdzie Bóg mój?

VIKTOR (krzyż jej wskazuje).

Tu córko?

KORNELIA.

Daj go do ust moich (krzyż całuje). Daruj mi, daruj!

VIKTOR.

Wyrzekasz się złego ducha?

KORNELIA.

Wyrzekam się — (pada). Bracia, on zwiódł ją, on zwiódł was wszystkich!

CHÓR.

Czegoś tak zbladła strasznie, czemu powstać nie możesz?

KORNELIA.

Sąd Pana dopełnie się nademną. — Umieram — ale słuchajcie, słuchajcie. — Ja w Panu umieram! (ciśnie się ku stopom Viktora). Ojciec pobłogosław. — Ojciec przyciśnij do łona. — Ojciec zbroń konającą — już zimno — już straszno — już nie widzę ciebie!

VIKTOR.

Bądź spokojna — żal twój zbawił ciebie!

IRYDION.

Oderwij się od tej piersi bez serca — do mnie, do mnie Kornelio!

KORNELIA.

Ah! (obraca się ku niemu) przebaczam ci Hjeronimie — Hjeronimie módl się do Chrystusa!

(pada.)

VIKTOR.

Czy ty słyszysz mnie jeszcze? Córkę odpowiedz — Kornelio!

KORNELIA.

Czuję woń rosy i kwiatów.

(umiera.)

CHÓR CHRZEŚCIAN.

Ojciec wdaj się za nami do niewidomego. — Co rozwiążesz na ziemi i tam rozwiązaniem będzie. — Ten który nas uwiódł sam blednie teraz!

IRYDION.

Hańba wam! Czyż słowa niewiasty będą jedyną wiarą waszą? czy na jej rozkaz porwiecie żelazo? czy dla tego że ją zabili niegodziwi porzucicie sprawę moją? Głuche milczenie — wstyd usta wam zawarł ciężki, ciężki jak kamień sarkofagu!

SYMEON.

Szate rozdarem — pchnij mnie. — Sen i życie niech się kończą razem!

IRYDION.

Nie odzywaj się do mnie niewolniku starców! — Ty coś ją wydał starcom! Ty przeklęty!

VIKTOR.

Wyklinam cię z pośród synów ludu mojego — kto się dotknie dłoni twojej skażon będzie. — Kto stanie by słów twoich słuchać odrzucon będzie. — Idź — Imię twoje było Hjeronim!

(wchodzi posłannik.)

CHÓR KAPŁANÓW.

Pan z tobą — co nam przynosisz Julianie?

POSLANNIK (klękając przed biskupem).

Augusta Mammea poleca się modłom waszym, bo w tej chwili syn jej wkroczył do miasta i bój rozpoczął na Forum!

IRYDION.

Czas mnie ubiegł. — Ludzie mnie zdradzili (wyrzywa krzyż z pod zbroi i rzuca). Oddaję wam znak życia wiecznego. — Patrzcie! jak przysł na stopniach ołtarza! Życie podli!

KILKU BARBARZYŃCÓW.

.Stój — słownu naszemu wierni idziemy za tobą. — Jezus niech nas sędzi potem!

IRYDION.

Wołajcie Odyn i Grymhilda.

(odchodzi z niemi.)

VIKTOR.

Módlcie się za Aleksandra Severa — on będzie Cezarem.

Ulica pomników przy murach Rzymu — żołnierze wnoszą rannego Verresa. W głębi czasem przebiegają uciekający.

VERRES.

Twoja pochodnia dwoi mi się i troi przed oczyma. — Czytaj napis Greku!

ŻOŁNIERZ (czyta).

Diis manibus, Attilii Verris bis consulis.

VERRES.

Dosyć — złóżcie mnie u stóp pradiada — i mówcie dobra noc, bo choć dzień bliski, nie obaczę słońca!

(Z przeciwnej strony wśród rozwalin pomnika wychodzi Irydion z katakomb. — Za nim zbrojnych kilku.)

IRYDION.

Zorza ta natrzęsa się ze mnie udając lunę pożaru. Topory oderwać od pasów Towarzysze! (Idzie kilka kroków naprzód). Co wy za jedni, oparci na grobach?

VERRES.

Czy śni się umierającemu, czy słyszę głos Irydiona Greka?

IRYDION.

Mój własny. Verresie — co się dzieje z tobą?

VERRES.

Chodź bliżej — wiesz — pamiętasz; zuak miał być dany — czekałem jak zgłodniałe zwierzę, i nie, nie nie widziałem, wreszcie sam zacząłem. — Wyrzyj za tę piramidę, proszę cię, tam, tam, kłęby dymu jeszcze się wiją na lewo. — Rupiliusa udusiłem w popiołach — i lud napadł nas potem, i — Severus niech żyje — zewsząd huczało. — Dostałem co mi kraje wewnętrzności — coraz widniej, a Roma stoi dotąd — a ja ostatni z Verresów — ja pod nożycami parki.

(umiera.)

IRYDION.

Tak, ostatni! Darmo go cucicie Greki moje — zapłacił co był winien losom. — Uszykujcie się i wy Germanie połączcie się z braćmi których przyprowadziłem (wbiega niewolnik uciekający). Stój — zkąd bieżysz?

NIEWOLNIK.

Od Forum romanum — puszczaćcie!

IRYDION.

Darowałem cię niegdyś siostrze mojej. — Tyś mi nieraz śpiewał Homera — wczoraj jeszcze zapinałeś fibulę chlamidy mojej w pałacu Cezarów a nie poznajesz mnie?

NIEWOLNIK.

Ah! szlachetny panie mój!

IRYDION.

Co słyhać — nie oszczędzaj mi bólu!

NIEWOLNIK.

Źle, źle bardzo, panie mój, bo ledwo kawał nocy ukroczyły gwiazdy, aż tu nagle nie wiedzieć zkąd wrzasnęły Legie Severa i hurmem rzucą się na wzgórze Pałatynu. — Scypion bronił się wściekle. — Głos jego noc całą słyszałem gdyby wycie rozjuszonego wilka. — Wiesz panie, na służbie ja stałem obok komnat Cezara. — Eutylian przychodził i odchodził niezmiernie błady. — Siostra twoja raz tylko wyszła i rzekła — Euforion. — — Czego żądasz boska Elsinoc? — Ale ona i słowa więcej nie mówiła — odeszła zwolna, piękna zawsze. — Ale na czole dziwna świeżość jakby tam już plusnęła fala Styksu. — Zewnątrz krzyk i łoskot coraz większy. — Eutylian nie wytrzymał, zawisnął u porfirowego ganku i woła bez zmysłów

— Grek zdradził — to znowu — Greczynka zdradziła — to — Imperator chce miasto zburzyć — i — darujcie mi Kwiryty. — Z drugiej strony Arystommacha słyszę, mówi o nagrodach, o wspaniałości Aleksandra, a kiedy umilknie wnet jęki z pod jego miecza, a kiedy odpoczywa znów łudzi naszych obietnicami — wreszcie Pretorianie się zbuntowali. — Trybunów i Centurionów słuchać nie chcą — groźby Scypiona marnie latają w powietrzu — bitwa ustaje w ogrodach, wszyscy razem walą do nas. — Ja wtedy panie wszedłem kędy była siostra twoja, bo przysiągłem był tobie jej bronić. — Cezar leżał z obłąkanym wzrokiem, do diadematu przypiał był nadusznice Arcykapłana, nóż ofiarniczy w jednej ręce trzymał, w drugiej czarę z trucizną; ale nie mógł się zabić i jęczał, to znów wolno, cicho oddychał, to nucił pieśń rokoszną jak gdyby w śnie jakim dziwnym! Ona siedziała opodal na krześle złotem, okolona purpurą, milcząca. — Drzwi pierwsze, drugie, trzecie stęknęły i pękły — kroki, głosy, szczęki bliżej — zastałem ją ciałem mojem!

IRYDION.

Daj rękę!

NIEWOLNIK.

Włóczni dwadzieścia rozdarło zasłonę która nas od Perystylu dzieliła. — Runęli, wiódł ich Arystommachus, wołając — rabujcie, mordujcie. — Imperator jak tygrys podskoczył w górę i nazad ugrzął w różach krwią obłany — wtedy przesłonili go żywą ścianą mieczów — ale potem gdzieś ręce jego widziałem — w innym miejscu głowę jego!

IRYDION.

A Elsinoe, Elsinoe?

NIEWOLNIK.

Źle, źle panie, bo kiedy wchodził Aleksander Severus wołając z sił całych: — Kto dotknie się Greczynki temu nie żyć jutro — ona sama, odchylając purpurową zasłonę pchnęła się sztyletem. — Błysk stali i krwi strumienie — to tylko dojrzałem i słów niewiele ostatnich utkwilo mi w pamięci!

IRYDION.

Nie zważaj — nie zważaj — kamienną duszę dały mi Bogi!

NIEWOLNIK.

— Irydionie! wroga twego nie będę kochała. — I rzekła jeszcze: Dopelniam. Teraz matko przyjm mnie do siebie — wtedy wśród tłoku pchany i odpychany potknąłem się na trupie Eutyhiana i uciekać zacząłem — po drodze spotkałem Scypiona — on ustępuje z kohortami Cherusków, co jedne przejść nie chciały do Severa. — Oto on już idzie Panie.

IRYDION.

Słońce, które wschodzisz tak obmierzłe, tak jasno, odpowiedz mi, gdzie siostra, biedna siostra moja?

(odechodzi w bok i opiera się na grobie.)

Tam na zachodzie oplakana, ostatnia mgła nocy zatrzymała się jeszcze nad szczytem Vulkanu! Elsinoe czy to ty mnie żegnasz? Matka powiadała niegdyś, że cienie lubią się kołysać na czarnych chmurach. — Elsinoe!

(Scypio wchodzi z Kohortami i staje przy ciele Verresa.)

SCYPIO.

Pierwszy z nas zasnąłeś bracie! skrzepłą rękę niech ci ścisnę jeszcze. — Sit tibi terra levis!

NIEWOLNIK.

Patrz! to on wśród tych kolumbariów stoi i pasuje się z bolem!

SCYPIO.

Kto?

NIEWOLNIK.

Czy nie widzisz? Syn Amfilocha!

SCYPIO.

Ah! wodzu — darmo czekałem na płomienie twoje!

IRYDION.

Wiem o tem. —

SCYPIO.

Fortuna zdradziła nas wszędzie. —

IRYDION.

Wiem o tem. —

SCYPIO.

Ulpianus i Tubero gonią za nami — cóż pocniemy?

IRYDION.

Czoła ku nim obrócim — krwi rzymskiej, krwi rzymskiej,
jeszcze trochę Scypionie!

SCYPIO.

Nie ma słabości w tobie — rozpacz drugim mieczem twoim!
Żyj wodzu, bo takimi niegdyś byli Patryciusze Romy. — Mnie
lepiej zginąć przy tobie, niż obalić się na Cyrku. — Naprzód!

IRYDION.

Za nadzieją precz niechaj idzie i pochwa — a ty rękojeści
przysośnij do dłoni. — Śmierć Aleksandrowi! naprzód!

— (wychodzą.)

~~Państwowe Pedagogium i Liceum Pedagogiczne
w Katowicach~~

CZEŚĆ CZWARTA.

Pałac Cezarów — ALEKSANDER SEVERUS, MAMMEA, ULPIANUS, Dworzanie.

ULPIANUS.

I czegoż jeszcze po nim spodziewać się możesz? Czyż z razu nie zwodził nas mglistą posepnością? Czyż później nie powstał przeciwko nam — jasno, nieubłagane? a teraz wdałże się w prośby, uznałże się panem Rzymu? Wczoraj dzień cały walczył z nami, w nocy spalił dwie świątynie, popierając sprawę, zgubioną raczej jak Duch nienawistny niż jak człowiek śmiertelny — bo z przejrzenia Bogów ludzie kochają się w złem dla celów swoich tylko, nie zaś dla miłości złego! — Radą moją nie mieć żadnej litości — i tak już dosyć łaski twojej żeś mu ciało siostry odesłał.

ALEKSANDER.

Kiedy z łonem przebitem wstrzymując jęki, gasła w moich ramionach, przysiągłem że bratu przebaczę — i duch jej z tą obietnicą odszedł odemnie. —

ULPIANUS.

Inni mogą chwalić wspaniałomyślność Cezara — mnie przysłało nazwać to słabością tylko. — Juniusa za to uczcili przodki nasze Sprawiedliwego imieniem, że własnym nie przepuścił synom — kto występny przebacza, ten niewinnych będzie karał kiedyś!

MAMMEA.

Trwaj w myśli twojej. — Miłosierdzie jest drogą purpurą królów!

ULPIANUS.

I bywa ostatnią!

ALEKSANDER.

Konsulu, nie odmienimy postanowienia naszego — na dzisiaj taka wola nasza. — Idź i podaj mu warunki, którą ci wskazałem, a jeśli wrócisz z pomyślną wieścią, obrócę się do was wszystkich i szczęśliwszy od Tytusa — nie straciłem dnia, rzeknę, przyjaciele moi. —

ULPIANUS.

A jeśli wrócę ze wstydem odrzuconej łaski!

ALEKSANDER.

Wtedy wolny będę od słowa mego — a ty zaczniesz wywierać sprawiedliwość twoją!

(Ulpianus wychodzi.)

Sala Amfiocha. — Ciało Elsinoi na wzniesionym łożu, w białych szatach, osypane cyprysu gałązkami. — Obok woda lustraina. — Ołtarz po środku sali. — Chór dziewięć płaczek. — Pilades — wchodzi Irydion, za nim Gladiatorowie i niewolnicy.

IRYDION.

Gdzie Masynissa?

PILADES.

Nie widziałem go od chwili, w której i ty po raz ostatni widziałeś go Panie. —

IRYDION.

Masynisso!

CHÓR.

Masynisso!

IRYDION.

Dwa razy sklepienia odpowiedziały za niego.

(Siada pod posągami Ojca.)

PILADES.

Starzec zdradził Panie!

IRYDION.

Nie mów tego — (twarz zakrywa rękoma) on, przyjaciel Amfiocha, on, przed którym groby pękają, kiedy je zaklnie potęgą

słowa! — nie — nie — on wróci — on nie opuści Sygurda — (wstaje). Zgromadziłem was w chwili kiedy znużone kohorty Rzymian odstępują od walki, byście wyrządzili cześć ostatnią zwłokom siostry mojej. — Ona pierwsza padła ofiarą naszej świętej sprawy — kto mnie poważa niechaj Jej pamięć szanuje; kto nienawidzi Romy, niechaj Jej wdzięcznym będzie — kto przysiągł zginąć ze mną, niechaj błogosławi jej cieniom —

(Podnosi kropielnicę cyprysową i rzuca kropel kilka na ciało — wszyscy jedni po drugich przechodzą i to samo czynią.)

CHÓR NIEWIAST.

Dotąd jeszcze straszny sternik syn Erebu i Nocy nie zabrał cię pod czarne żagle. — Dotąd jeszcze o Elsinoe, błądzisz z tej strony Styksu. — Ale już sztukę złota kładziemy ci w usta byś okupiła się przewoźnikowi. — Ale już mak i miód kładziemy ci w dłonie byś uśpiła Cerbera. —

Chwil kilka, a pójdziesz kędy się wiją roje umarłych jako dymy ciężkie, jako liście jesienne, pójdziesz ku sądowi Radamanta, ku płaczom i jękowi. — *Salve Eternum!*

Ale stopy twoje dotkną się tylko płomieni i znikome, białe jak skrzydła, uniosą cię dalej. — Zostawisz za sobą miedziane progi Erebu — ognistą, siedem razy w okół Tartaru okręconą rzekę przelecisz, i słodkie ujrzysz światło i zielone gaje. — Tam spokój cichy i smętny, tam pełna czara zdroju Letejskiego czeka na ciebie, i cienie dziewic, co jako ty zniknęły przed czasem, kwiatów świętych ocalone liście. — Idź — już sztukę złota kładziemy ci w usta — już miód i mak kładziemy ci w dłonie. — *Salve Eternum!*

(Wchodzi Euforion.)

IRYDION.

Co nowego?

EUFORION.

Posel Cezara i konsul o posłuchanie prosi. —

IRYDION.

Niech go wpuszczą!

(Ulpianus wchodzi — za nim niosą orły cesarskie.)

ULPIANUS.

Jako ty niedawno do nas, tak ja dzisiaj wrogu do ciebie przychodzę w poselstwie. —

Jako wy mnie wtedy, tak ja dzisiaj wam odpowiem — do broni! —

ULPIANUS.

Ale jednakowe słowa nie jednakowy skutek wywróżą — nam przyniosły zwycięstwo. —

IRYDION.

Zwycięstwo! — czy już zaszedł rydwan na via sacra? czy już posąg Fortuny trzyma wieniec nad głową Triumfatora? Czy kto już spędził Alboina z Viminalu? czy Scypion ustąpił z Awentynu? Ostatniej nocy powiedz mi, kto kościół Fausty-ny, kto bazylikę Emiliusa w popioły rozwał przed waszemi oczyma?

ULPIANUS.

Widziałem skazanych, którzy szli na śmierć wrzeszcząc i poklaskując. — I wy tak czynicie! Tymczasem Aleksander jak dziecię swawoląc z pomysłnemi Losy, ofiaruje ci pokój i przebaczenie zbrodni. —

IRYDION.

Może zelżonego Majestatu?

ULPIANUS.

Czyż jej nie popełniłeś?

IRYDION.

Majestat wasz od wczoraj się poczyna, a zbrodnia moja stara jako serce wolnych — dalej!

ULPIANUS.

Imperator żąda byś stolicę opuścił na zawsze i wrócił do Chiary. — Wprzód jednak przysiężesz mu na wierność przy dymiących trzewach i co do jednego wydasz współników twoich. — Jeśli zgodzisz się na te warunki, on który cię może okuć w łańcuchy i rozbić na krzyżu, poda ci rękę w chwili pożegnania i zapomni. —

IRYDION.

Głośniej mężu konsularny! (odwraca się do swolch.) Czy słyszycie ludzie moi? Cezar wróci mi swoje względy, bylebym was spętanych jak bydłęta rzucił pod różgi Liktorów! Cóż mam począć ludzie moi? Wszak prawda, zdajmy się na łaskę Cezara wszak miło czołem rozbić się o stopy Jego?

Nieśmiertelne Bogi! wy które o nas nie dbając drzemiecie na wierzchołkach Olympu, rozśmiejcie się przynajmniej w chwili, kiedy syn Mammei hańbę przysyła mi w darze przez usta prawnika swego! (wstaje i zbliża się do Ulpiana) Prędkiej Skorpion usiądzie jak niewinny motyl na dłoni Cezara, prędkiej piorun Zeusa prosić się go będzie: — Daj, daj tę chmurę rozedrzyć — niżli ją broń złożę i wydam braci moich!

ULPIANUS.

Nie nalegam na ciebie, dopełniam tylko zleceń tego który mnie przysłał. — Owszem bądź ślepy do końca i z garstką zło-
czyńców dni jeszcze kilka zżymaj się na wielkim łonie Romy — walcz za pamięć i sławę pana, którego obrałeś sobie na ziemi, a kiedy na czele swoich zasuwać się będziesz w ciemności Tartaru, jeszcze na brzegach Styksu wołaj: — Niech żyje Syryjczyk. — A trójgłówny Cerber wtórować ci będzie!

IRYDION.

Takżeś prawdy doszedł znawco serc ludzkich! — Robak co wił się po ziemi, proch co z koturnów moich zlatywał, dłużej mi się ostały w pamięci niż Jego wspomnienie. — Zapytaj się ich? czy którekolwiek odpowie że znał Syryjczyka!

CZEŚĆ CHORU.

Irydionowi służyliśmy tylko!

INNY.

Sygurdowi tylko!

ULPIANUS.

A umarła?

IRYDION.

Sam ją poświęciłem, ale nie groźbom przemocy, nie obietnicom podłości! Nie obrażaj śpiącej, która się już nigdy nie przebudzi! — Ona czystsza była pod tchnieniem Tyrana niż wszystkie wasze matki i córki!

ULPIANUS.

Za kogo więc się bijesz i przeciwko komu?

IRYDION.

Długie to dzieje starcze!

ULPIANUS.

Aleksander Severus laskawym był zawsze na ciebie.

IRYDION.

On też drobną cząstką tylko nienawiści mojej. —

ULPIANUS.

Mów więc kto wrogiem twoim?

IRYDION.

Powiedzcie głuchemu i ślepemu, powiedzcie o bracia kto was odpędził od bitej drogi człowieczego rodu i przymusił stąpać ścieżkami ciemności — kto od kolebki wycisnął wam na czołach znamię pragnienia i głodu — kto w latach późniejszych nie dał wam ukochać niewiasty i zasiąść w świetle domowego ogniska?

CHÓR.

Roma!

IRYDION.

Kto sam śmiertelny w nędzy i poniżeniu śmiertelnych położył najśłodsze nadzieje — kto pochwalił syna Mitrydata kiedy rękę podnosił na starego ojca — kto zdrajców południa i zdrajców północy zaprosił na festyny swoje — kto czarę niedoli świata wychylił aż do dna?

CHÓR.

Roma!

IRYDION.

I nektarem z łez i nektarem z krwi upił się jako Bóg piekiel?

CHÓR.

Roma — Roma!

IRYDION.

Słyszałeś? wiesz teraz czem jestem?

ULPIANUS.

Szaleńcem! To miasto od pierwszych dni swoich żyło uśmiechami Bogów. — Ono było drugim Fatum świata. — Czy nie wiesz że Fortuna jak niewolnika niosąc ostatki strzaskanego koła, szła za wozem Jego tryumfalnym? Czy nie wiesz, że słabi padli twarzą na ziemię, że co było upartych i wściekłych zniknęło z powierzchni ziemi? A ty się porwałeś szczupłą siłą, mierny zasobami, niedojrzały wiekiem, by zniszczyć

Boga którego pioruny grzmiają nad urną Hannibala i nad mogiłami Cymbrów!

Ztąd widzę miejsce na którym głowa twoja padnie pod ciężciem Liktora!

IRYDION.

Wprzódę jeszcze pocisk Cymbra utknie w sercu twojem, topór Cheruska rozetnie pancerz Arystommacha, wprzódę jeszcze Luciuszowi Tubero niezłomnej obietnicy dotrzymam!

CHÓR.

Wprzódę jeszcze za każdą krzywdę naszą czaszkę krwi wychylim — a potem, potem, przyjdą nasi dziedzice i z podziemnych dolin zagrzewać ich będziemy!

ULPIANUS.

Bezpotomni jesteście, ostatni z rodu waszego. — Tylko szal i kara wasza jeden kamień węgielny przyrzuci tym wzgórzom. —

IRYDION.

I na nim będzie napis pogrzebowy Romy!

ULPIANUS.

Slaby śmiertelniku! ty nie przemienisz tego co mądrze i święcie opatrzyły nieśmiertelne wyroki! I komuż berło oddać miały jeśli nie miastu wytrwałości i czynów? Może przedanej Afryce, może rozwiązłej Seleucyi, lub igrającej, śpiewającej Helladzie? Nie — tam potęga się urodziła gdzie lutnia nie brzmiała nigdy, gdzie na czole zamiast wianka mirtu sprzęgały się twardej miedzi blachy, a w duszach mężów nie było rytmu ni swawoli — jedno była wola jako otechłań wrzającej siły i nad nią rozsądku powaga niezachwianego opieka rozumu!

IRYDION.

Słyszeli męczennicy narodów o rozsądku waszym. — Gieniusz Romy z tem słowem na czole, stanął u progów Attala i skrzydlaty usiadł przy stopach starca, pochlebiał i łudził aż z pod zgrzybiałej ręki wyrwał zapisy Pergamu!

Z tem słowem na czole podniósł się wśród Isthmijskich igrzysk, prosił o posłuchanie i chwalił synów Grecyi? Z tem słowem on po wszystkie czasy uwodził słabych i dusze ludzkie zabijał! —

A kiedy kto uwierzył Jemu, kiedy nieszczęśliwy przystał na pęta i wyrzekł się domu, ojczyzny, sławy za życia i chwały po zgonie, on wtedy śmiejąc się wołał: — Rozsądny jesteś — i nogą spychał go z Tarpejskiej skały!

Prawdeś wyrzekł — nie — nigdy Hellada takim nie spodiła się rozumem. — Jej życie nie było rachubą, Jej nadzieje nie spoczęły na kłamstwach. — Syn Latony zamieszkał w niej i opromienił ją do koła. — Na piersiach Zeusa, w cieniu puklerza Pallady leżało Jej czoło upojone myślami, a morze, a lądy wiosenne, stóp Jej były zakochanem podnożem! Zemsta, zemsta za nią!

ULPIANUS.

Pojrzyj na ramiona naszej potęgi, wśród gromów ich pędu sława Aten, imię Sparty i Koryntu jak brzęki pszczoł giną w oddali. — One coraz sięgać będą dalej — od wschodu na zachód — one spocząć nie mogą aż światu całemu stanie się na imię — Roma!

IRYDION.

Ah! ty myślisz tę starą otchłań na nowo bluszczem uzienić po brzegach, by koście ofiar i łupy kościołów i miecze wydarte zdradą, niewidziane spoczywały na dnie! Ty sądzisz że ród bez czei i ducha, przyuczysz do sił straconych i rozeszlesz po wieńce Laurowe! Ty i Cezar twój błogo marzycie jak starcy czekający na dzień odmłodnienia a dzień ten będzie śmiercią waszą.

ULPIANUS.

Wodzu pożarników, technienie twoje kala powietrze cnotliwym! Zbrodnia goreje na czole twojem, opuszczonem od Bogów! na jego widok stare lata moje się wzdrygnęły!

IRYDION.

Ojcze, Ojcze! patrz! Rzymianin usłyszał mowę wolnych i oburzył się cały! Konsulu odpowiedz mi jeszcze! Cóżście uczynili ze światem, od kiedy Bogi złęgo oddały go w wasze ręce? Stoją luki tryumfalne i bite drogi Aedyłów, na głazach zapisaliście się krwią i potem umierających! — Ah! kiedy ziemia staczała się w wasze objęcia, jak uludzona niewiasta, kołysała się nad nią dumania Platona i skrzydła Kartagi lśniły się

złudnicy i cień duchowe ludów

od Gadesu po ultima Thule! A teraz co? odpowiedz mi Konsulu! w lochach Nazaarenów słabowite westchnienia — tu i owdzie stoików obłąkane cienie i kilka słów Aureliusu wśród żalobnego jęku boleści! Gdzie bujniej od dnia klęski naszej porosły oliwne gałązki? Gdzie pieszczoną pieśnią, gdzie nauką mądrości ukołysali przodki twoje żale podbitych?

O wiem! August zawarł podwoje Janusa. — O zmierzchu życia, grały mu lutnie przedajnymi stróny — wtedy milczące pustynie, grodów na piasek rozemlone gruzy, on nazwał ciszą swoją i na mogiłach plemion rzekliście wszyscy: — Pokój synom ludzkim.

ULPIANUS.

Jako Ojciec rodziny dzieci, jako Patrycyusz Plebejów, jako pan niewolników, tak my kwiryty prowincye dostali w podziale. — Żelazem zdobyliśmy ziemię i prawo żelaza nad nią zawieszane trzymamy!

IRYDION.

Bogdajbyście łatwowiernych nigdy nie byli zwodzili tem słowem — odwróć się ku bitnym Legiom Rzeczypospolitej — czy widzisz jak pierzchają przed słoniami Pirrusa, jak korzą się pod widłami Samnitów, jak żniwem kładą się na brzegach Trazymenu, jak w Hiszpańskich wąwozach wołają miłosierdzia i wody, jak w lasach Hercyńskich zbladłe kłękają pod nożem ofiary. — Nie lotnym gromem Aleksandra, nie krótkim mieczem waszym, ale czarą trucizny, ale garścią złota, ale krzywemi przysięgi, ale obłudną radą, ale pobratymstwem zdrajców dopełzaliście się potęgi! — I orzeł Romy wylągl się na bagnach, nie na szczytach gór!

ULPIANUS.

Darmo wołasz bluźnierco! — Niewzruszona opoka na której zgrzytasz nie słyszy ciebie!

Odrzuciłeś więc miłosierdzie pana Twego?

IRYDION.

Kto panem moim? na ziemi nie znalazłem go. Za stołem jak stada drapieżnych ptaków krążą Gieniusze śmierci — oni mi powiedzą czyj poddany jestem! Ale tu miałem wrogów tylko i braci kilku, co mi wiernie służyli — i jedną chwilę boską —

krótką jak szcęk mieczów co prysną od razu, ale świętą, świętą na wieki!

Nikt z was jej nie podzielił Towarzysze! Ona mną. Ja nią byłem cały — pochodnia zemsty gorzała w tem ręku. — Miasto poświęcone u stóp moich leżało, tuląc się coraz ciszej pod zawoje nocy. Ah! Nemesis. —

(Opiera się na posągu Amfilocha.)

ULPIANUS.

Zbladłeś!

IRYDION.

Całej krwi waszej zabrakło licom moim!

ULPIANUS.

Wróżbą ostrzegły cię Bogi. — Ja raz ostatni z urzędu mojego przypominam ci że wyrok zapada nad Tobą — czas jeszcze przebłagać Cezara. — Roma przebacza pokornym!

IRYDION.

Takążes naukę, z słów moich wyciągnął! Nie odchódź za trzymaj się jeszcze!

Euforion podaj mi poświęconą czarę. —

Amfilocha śnieżną pianę Lesbijską wylewam na stopy twoje — przyjm pierwioski zgonu mojego — pijcie teraz bracia jak męże Leonidasa przed śmiertelnym świtem! Pijcie i bądźcie wolni od złej myśli!

(Zbliża się do ołtarza palącego się między posągiem a ciałem.)

Znak opiekuńczy państwa błogosławiony wróżbą Augurów i Vestalek pieniem, znak od senatu powierzony Cezarowi, tobie ojcze poświęcam i tobie Hellado matko!

ULPIANUS.

Nie dopuście zbrodni — wstrzymajcie świętokradcę. — Jeśli jest tu jaki obywatel rzymski niech głos mój usłucha — życie wam darowane będzie, przysięgam na Statora i Kwiryna! Stój zuchwalcze — w tym pierścieniu zapisane imię tajemnicze Romy!

IRYDION.

Słyszeliście bracia!

(Rzuca pierścień do zgłiszczów.)

CHÓR.

Euge! Euge! Rzymianyn togę zarzucił na lica, pierś Jego
wzdęła się żalem i nie śmie spojrzeć na oblicza nasze!

IRYDION.

Nim usta moje zawrą się na wieki, ostatnią wolę moję opo-
wiedzieć chcę. — Słuchajcie mnie i przeklinajcie miasto!

CHÓR.

Patrzcie! odbłysk-li to żaru, czy promień zesłany od Bogów,
tak wspaniale osrebrzył mu lica?

IRYDION.

Biada zwyciężcom. — Jako nas chcieli spodlić tak im po-
dłość narzucona będzie — i dziecię urodzone w Rzymie i
starzec konający w Rzymie, i mąż dojrzały, jedno miano będą
nosili. — Niewolnik!

CHÓR.

Niewolnik!

IRYDION.

O Fatum przedwieczne! z nad głowy Bogów wtedy ty po-
dniesz stopy i zejdziesz ku dolnym przestworom i niżej
jeszcze ku siedmiu wzgórzom i będziesz jedzą ich skonu — by
one co wszystko zniszczyły, umierały w obliczu Ciebie, któryś
wszystko stworzył!

CHÓR.

Ród ich przepapnie, język ich niech zatracon będzie. —

IRYDION.

Ale niech sława o nich żyje w późne wieki — niech powieść
o ucisku będzie ich nadgrobiem! — niech go ludzie potomni
czytają i przeklinają po wszystkie dni swoje aż do końca
świata!

CHÓR.

Świata!

IRYDION.

Przeszedł czas modlitwy, zgasł płomień ołtarza i skonał Bóg
Romy! Konsulu możesz podnieść oczy.

ULPIANUS.

Złamałeś ustawy ludzi i znieważyleś obrzędy święte — oby-
czajem przodków wyjmuję cię z pod opieki prawa, zabraniam

ci udziału ognia i wody! Za głowę twoją obiecuję wolność niewolnikowi, wolnemu posąg przy Rostrach i miejsce obok konsulów w Cyrku.

Bezbożni, czekam na was u progów Mammetyńskiego więzienia. — Skazani, czekam na was u stóp Tarpejskiej skały!

IRYDION.

Nikt z nich ręki nie podniesie na mnie. — Idź starcze. — Gniew siwej nie przystoi głowie. (Ulpianus wychodzi.) Stos twój już gotowy Siostrze — nieście ją i ultimum vale powtarzajcie za mną!

Noc miesięczna. — Świątynia Venerji naprzeciw Amfiteatru Flaviana — na schodach Pretorianie i Lucius TUBERO.

TUBERO.

Co znaczy że dotąd Arystommachus nie dał znać o sobie? Noc ledwie zapadała kiedyśmy się rozłączali a teraz już księżyc depece wierzchołki Amfiteatru. — Spokojność arkad przelamanych w te długie cienie dolega mi nie wiem sam czemu. — Chłodny powiew, spieki moim licom przydaje, a jednak rozpaczniejsze widziałem sprawy bez oczekiwania, bez niecierpliwości. — Duszo niewolnika Luciusza czemu dzisiaj buntujesz się przeciw panu twemu! (przechadza się zwolna.) Słyszałem od ludzi, że pod koniec żywota Duch sam siebie ostrzega dziwnem niespokojności. — Tak Brutusowi w wilią przegranej, tak Ottonowi pod Bedriakiem wieszczę znaki się objawiły. — Diespiter! nie w porę dziś umierać Luciuszowi Tubero! już młodzieniec na mojej starej enocie polega. — Ja tylko i Ulpianus drugi, wędzidło trzymamy — a gdyby prawnik padł od germańskiej strzały lub pod ręką Amfilochida, wtedy — któż mi odpowiada? nie — to w lochach Cyrku lew się przebudził i ryknął — a teraz co innego — pomieszane głosy, rżenia; loskoty! przez Kastora kto idzie?

(Zbrojni wbiegają w nieładzie — za nimi Arystommachus.)

ARYSTOMMACHUS.

Na pomoc!

TUBERO.

Hańba! Cezar czeka na Forum byś mu Greka przyprowadził w łańcuchach, a ty przed nim uciekasz!

ARYSTOMMACHUS.

Kto mówi że Arystommachus się przeląkł, ten kłamię choćby był ojcem ludzi i Bogów. — Sam dwóch Centurionów tą włócznią przebiłem, kiedy od palającej twarzy Greka odwracali oczy.

TUBERO.

Zkądże ta przemoc Jego niespodziana. — Czyż posiał kły smoka i świeże z nich męże wyrosły?

ARYSTOMMACHUS.

Goni ostatkiem ale wściekle goni. — Szliśmy jeszcze pochyłością Viminalu, kiedy on pierwszy zaczął i od przysłonków palacu spłynął jak lawa paląc ciskaniami pochodniami, rozognionemi strzały, kipiącą naftą. — Trzy razy zwarłem się z nim — z pod miecza mego i z nad tarczy Jego spłynęły się iskry jak z kuźni Cyklopa — trzy razy rozparły nas tłumy!

TUBERO.

Idźmy! zdarte z szyi Greka łupy ślubuję zawiesić w twoim kościele o Marspiter!

ARYSTOMMACHUS.

Ściągnij pancerz — dwie łuski pękły ci w tej chwili nad sercem.

TUBERO.

Dii avertite omen!

(wychodzą.)

MASYNISSA (na schodach świątyni).

Ptaki nocne karmione krwią Areny, płatajcie się w wieniec nademną! —

Zgrzybiała ruino Vulkanu ty przemarzona od ludzi na gwiazdę czystości i wdzięku, dosyłaj mi białych promieni!

Ziemio daj co się należy — powietrze daj co mi winne jesteś — bym karmił się krwią i jadłem jak niegdyś wiekuistemi ogniami Eteru!

Jeszcze noc jedna i ranek jeden a ja i syn mój opuścim te strony!

CHÓR Z WNIĘTRZA ŚWIĄTYNI.

Piękne, lubieżne witają Pana! nad hełnami tańcząc krwią
z ran ludzkich, odświeżyłyśmy lica i puklerz syna twego był
zwierciadłem naszym!

Piękne, lubieżne ostrzegają Pana. — Z gwiazdą Oriona
wszedł Duch tajemniczy strumieniem kołujący w błękitach i
wszystkie ciche drgania i wszystkie smętne fale swoje zebrał
w około Irydiona duszy — przelatując spotkałyśmy się z jego
nurtem!

MASYNISSA.

A syn mój czy zważał na podszepty ducha?

CHÓR.

Ile razy ta myśl bez głosu dotknęła mu serce, bladł i mie-
czem błdził po zbrojach i nie łamał żadnej — w przerwach
bił się jak anioł strącony — spiesz się — spiesz się do niego!

MASYNISSA.

Mdle dusze świętych niewiast, z tamtej strony grobu wra-
cające westchnienia, nie wydrzecie mnie go — nie do złotych
harf przyuczałem mu tak długo palce, nie do pieśni pochwal-
nych skręcałem mu usta.

(znika.)

Forum — przy pochodniach ALEKSANDER SEVERUS na krześle kurulnym. —
Obok stoi ULPIANUS — ze tyłu straż z złotymi orłami. — ARYSTOMMACHUS
wchodzi — za nim prowadzą rannego SCYPIONA

ARYSTOMMACHUS.

Boski Imperatorze już w tej chwili Tubero musiał schwytać
Greka. — Ja w bok się udałem i rozpoczęłem bitwę z Cheru-
skami, którzy stali pod wodzą tego człowieka na drugiej po-
chyłości Viminalu — پہاłem ich ostrzami mieczów aż zaczęli
krzyżeć: — Niech żyje Cezar Severus — i klnąć się na wszystkie
Bogi północy, że jakiś szal ich opętał po śmierci Heliogabala.
— Ten człowiek dwom czy trzem wtedy zawarł usta pugina-
łem, ale wnet hurmem wszyscy przeszli do nas.

ALEKSANDER.

Dzięki nasze walecznemu Arystommachowi. —

ARYSTOMMACHUS.

Teraz nazad do Tuberona.

(wychodzi.)

ULPIANUS.

Imię twoje?

SCYPIO.

Umierający!

ULPIANUS.

Wyznaj więc prawdę i pogodź się przed ostatniem tchnieniem z sprawiedliwemi Bogi.

SCYPIO.

Z sprawiedliwemi!

ULPIANUS.

Odpowiadaj mi w obliczu Imperatora. — Od jak dawna wasz spisek zawiązany?

SCYPIO.

Od wieków. —

ULPIANUS.

Nie żartuj niewolniku — czy mieliście współników w innych miastach państwa?

SCYPIO.

Wszędzie!

ULPIANUS.

Kto z pomiędzy nich najznacniejszy?

SCYPIO.

Ty i Cezar — póki jesteście, my będziemy!

(umiera.)

ALEKSANDER (zstępując z tronu).

Ni łaską, ni groźbą, takich nie przymusić ludzi. —

ULPIANUS.

Ale żelazem i ogniem!

Ucz się jak stąpać nad wrzącą otchłanią i nie przepaść na dnie — nie słuchaj niewieścich głosów — nie ufaj szlachetności cudzej — w tobie cała Roma się skupiła — bądź więc jak ona silny i nieubłagany!

(wychodzą.)

Puste miejsce przy fontannie Neptuna. — Słychać w dali szezęk mieczów i wrzaski. — Wchodzi IRYDION następując na TUBERONA.

TUBERO.

Noe całą oko twoje jak żar piekielny mnie ścięgało — jakież z Bogów zbroję ci wykul? pod twojemi ciosy nie zdrętwiała odwaga ale zemdlały siły moje. —

IRYDION.

Ostatni raz tę klingę odbiłeś!

TUBERO.

Ojeze Neptunie pomagaj!

(pada.)

IRYDION.

Powiedz siostrze mojej że przybywam do niej! (zabija go.) Zemsto! ty mi krople tylko sączysz, kiedy ja cię o morze krwi prosiłem — teraz wrę całą mocą życia! dusze ginących braci przelewają się we mnie! Stałem się Tytanem! a umrzeć mi trzeba — nie — ja nie chcę umierać! (schyla się i wydziera miecz Tuberoną.) Ah! czego mnie ścigasz niewidomy duchu? Chrystus — i cóż mi po tem imieniu? Oddal się — nie męcz mnie Kornelio! Patrz — idź za księżycem temi śladami srebra — za chwilę ciemności ogarną tę ziemię! ✕

(Alboin wchodzi.)

Wróg-li czy przyjaciel Irydiona Greka?

ALBOIN.

Niegdyś jego towarzysz.

IRYDION.

Czyś zbladł od strachu czy od miesięcznych promieni?

ALBOIN.

Scypiona ciało na brzegach Gemonji!

IRYDION.

Ojcowie jego bywali na szczytach Kapitolu!

ALBOIN.

I Cheruscy co do jednego poddali się Cezarowi. —

IRYDION.

Ah! skróciły się ostatnie chwile. — Chodź — wrócim do pałacu. — Rzymian wpuscim na dziedzińce — tam żarzy się

jeszcze stos Elsynoi. — Zginiemy w płomieniach ty i ja, i oni i dom ojca mego. — Naprzód!

ALBOIN.

Dopóki tłała iskra nadziei służyłem ci wiernie — jako ty nienawidzę Romy — ale teraz. —

IRYDION.

Służalcze orła, Legjonisto Karakalli, ty mnie zdradzisz także?

ALBOIN.

Nie ja, ale fortuna opuściła cię pierwsza! chleb mój wola mnie w inną stronę. — Czy słyszysz głosy Trybunów? Cezar głowę twoją puścił na targ mieczom naszym.

(dobywa puginalu.)

IRYDION (przebijając go.)

Idź do piekła — na tej drodze wcześniej czy później spotkasz się z Cezarem —

(wychodzi przeciwną stroną.)

Podworzec na wzgórzu przed pałacem Irydiona. — Niewolnicy, Gladiatory, żołnierze z pochodniami. — Dymiący stos Elsynoi z boku.

KILKU.

Gdzie bieżysz Pilades?

PILADES.

Do lochów gdzie cyprysy i sosny — Pan tak rozkazał!

INNI.

Zatrzymajcie go — wyrwijcie mu pochodnię!

PILADES.

W tył — nie zbliżać cię do mnie — rozstąpić się — czy nie poznajecie mnie bracia?

POMIĘSZANE GŁOSY.

Rzuć pochodnię — stoj na miejscu jeśli nie chcesz zginąć. —

INNI.

Tam w dali już lecą orły Arystommacha. —

INNI.

Z tej strony Tubero się wdziera.

IRYDION (wchodząc).

Mylicie się ludzie moi. — Tubero przeżył już wszystkie dni swoje! (wstępuje na podstawę obeliska). Cóż to znaczy? topory, puklerze na ziemi — sami w nieładzie stoicie jakbyście nie wiedzieli co czynić. Bracia raz ostatni wołam was do boju — a potem sen i wieczne milezenie!

(chwile eichości.)

Cóż to znaczy? patrzycie ku mnie wzrokiem bojaźliwych — opuszczacie ramiona — przelatujące połycki błędą od bladeści liców waszych! do broni!

JEDEN Z ŻOŁNIERZY.

Wodzu, biłem się od mroku aż do zachodu miesiąca. —

DRUGI.

Kto ostał się przy nas? jedni leżą bez ducha — drudzy konają w torturach — inni sobie poradzili lepiej — przeszli do Cezara!

INNI.

Patrz na rany nasze — ledwo ustać możemy. —

INNI.

Arystommachus pół żelazca w piersiach mi załamał. Daj wody — wody trochę!

IRYDION.

Ognia, ognia tylko ci dać mogę!

WSZYSCY.

Ty okrutny — ty bezbożny!

IRYDION.

Diomedesie, tyś rodem z Koryntu. — Czy chcesz unżyć się przed tymi którzy Ojczyznę ci wydarli? I ty Lastenes i ty Glaucus i ty piękny Eutellu?

CHÓR GŁOSÓW.

Źle, źle nam — mdło i posępnie — co z naszych mąk umarłej ojczyźnie?

IRYDION.

Chwała, Bluźnierce!

CHÓR.

Życia, życia, nie chwały —
Chleba, chleba, nie chwały!

IRYDION.

Nędzni! slyszalem wasze przysięgi — widzialem wasze zbroczone oręże — byliście dzielnymi kiedyś! — Lecz teraz nad grobem przyszedł na was koniec wspólny ludziom — nie rozpacz — nie wściekłość — nie zaślepienie — ale hańba podłości!

CHÓR.

Cezar kochał cię niegdyś — podaj nas i siebie do laski Cezara — czas jeszcze o Irydionie!

IRYDION.

I wy myślicie żyć długo po przebaczeniu Romy? — Ja wiem że niesława nie skróci dni waszych — ale poszlą was na wygnanie, kędy piasek zeżre wam stopy, a słońce głowy na węgiel rozsypie; ale poić was będą trucizną na biesiadach świątecznych; ale oskarżać codzien o nowe zbrodnie! — Kto wejdzie w służbę, tego krew zawczasu wrogom przedaną będzie. — Kto zostanie w mieście, ten skona budując teatrum ludowi i wszyscy zginiecie jako na was przystało podle niewolniki!

JEDEN Z ŻOŁNIERZY.

Co ty nam złorzeczysz, ty któryś nas zdradził? —

DRUGI.

Obiecałeś zwycięstwo — dotrzyмай!

IRYDION.

Pilades! pchnij tego który cię trzyma i idź dalej.

ŻOŁNIERZ.

Głowa twoja skazana!

DRUGI.

Bracia, zanieśmy ją Cezarowi.

IRYDION.

Odrzuciłem tarczę — mierzeie — ale za nadto drżą wam ręce, byście trafili. — Ah! biedny mój Pilades!

PILADES.

Los twój gorzej mnie boli synu Amfilocha.

(pada trafiony i umiera.)

CHÓR.

Czy widzisz te orły złote, tę purpurę cesarką? czy słyszysz trąby Legionów?

IRYDION (zeskakując z podstawy obelisku).

Każdy z tych mieczów gardło jedno przetnie — ty nędzny przejrzyj się w kłindze Sygurda — ale ani kroku bliżej. — Zdrajco nie garnij się pod żelazo Tuberoną — precz mi z drogi! Ułóżcie ręce do prośby — kolana w bruk wgnietcie — módlcie się do Rzymian!

(przechodzi wśród nich i wstępuje na stos Elsynoł.)

CHÓR.

Synu nieszczęścia, niech krew poległych płynie przed tobą, niech przekleństwa żyjących grzmią za tobą na ciemnych brzeżach Styksu!

IRYDION.

Ojcie, umieram syt goryczy i krótkich dni moich! Ojcie, ty nie przebaczysz podłym! (powstaje Masynissa obok stosu.) I ty przybyłeś nareszcie — ustąp się człowieku! To nie twoja godzina jeszcze — to moja! Tam idź, idź — tam Cezar ci przebaczy!

MASYNISSA.

Za mną synu!

IRYDION.

Nie znam ciebie. —

MASYNISSA.

Strzegłem cię wśród walki — ale tyś mnie nie widział — wspierałem w rozpacz — ale tyś mnie nie widział. — Teraz przychodzę cię zbawić!

IRYDION.

Giń wraz ze mną jeśliś cnotliwy!

MASYNISSA.

A jeśliś nieśmiertelny?

(porywa go w objęcia.)

IRYDION.

Czemże jesteś!

MASYNISSA.

Bogiem!

(Zapada się z nim.)

(Wchodzą Arystommachus, Aleksander, Severus, Ulpianus, rzymskie kohorty.)

ALEKSANDER.

Gdzie syn Amfilocha, odpowiedzcie buntownicy?

CHÓR.

Wstąpił na stos siostry i głos jego słyszany był raz jeszcze i zniknął — ale my broń złożyli, ale my błagamy ciebie!

INNI.

O boski Cezarze, my go chcieli wydać Tobie. —

ALEKSANDER.

Przebrała się litość moja. —

CHÓR.

Bądź nam miłosierny — on jeden winny. — On nas omamił i zgubił!

ULPIANUS.

Vae victis! Zbliźcie się Liktory!

Szczyt góry. — Kzym w mglistej oddali — z drugiej strony morze. —
MASYNISSA, IRYDION oparty na jego ramieniu.

IRYDION.

O ty, którą kochałem dla mąk twoich Hellado, Hellado, czy byłaś tylko cieniem? Chmuro miłości mojej, czy ty odchodzisz na wieki? Wróg twój jak wprzód stoi niewzruszony i marmury wyszczerza przed słońcem jak białe kły tygrysa! po co mnie być tutaj? gorączka pali głębie czoła mego — myśli toczą mi duszę jak robaki trupa!

(zsuwa się na murawę.)

MASYNISSA.

Odśwież siły w mgle poranku — pij chłodne powietrze i światło. —

IRYDION.

Jak ogniwo do ogniwa, do mojej dłoń twoją spiałeś i przywlokłeś mnie, ale człowiek raz tylko żyje — ten raz przyszedł dla mnie — ja skonałem wczoraj.

MASYNISSA.

Synu! zawód twój nie skończył się jeszcze!

IRYDION.

Nie dręcz mnie. — Ojciec mój w twoich ramionach — siostra skonała w pałacu Cezarów. — Ja u stóp twoich dogorywałam. — Czyż nie dosyć tobie? (podnosi się na w pol.) Niewinna którą ci poświęciłem rozplynęła się w powietrzu na żalosne jęki — głos jej drga w uszach moich — krzyż jej widzę na błękitach! Ah! gdyby jej Bóg żył nad wszystkimi bogi — gdyby on był jedyną prawdą świata?

MASYNISSA.

Cóżbyś wtedy uczynił?

IRYDION.

Umierając z tem prysniętem żelazem w dłoniach, wzwałbym jego!

MASYNISSA.

Ojczy, któryś jest w niebiesiach daj długich dni Romie! przebacz tym którzy mnie zdradzili. — Zbaw tych, którzy po wszystkie czasy nękali rodzinną ziemię moją!

IRYDION.

Nie — Ojczy któryś jest w niebiesiach ukochaj Helladę jak ja ją kochałem. — Opowiedz mi w ostatniej godzinie, Masynisso, ty który mnie zwiódłeś, ty któryś mi obiecał tyle, ty na którego łonie głowa moja w dzieciństwie zasypiała. — Ty który w tej chwili stoisz nademną jakbyś światu rozkazywał, o mów, patrz, mięszają się myśli Irydiona, prędzaj, mów prędzaj czy Chrystus jest panem nieba i ziemi?

MASYNISSA.

Sam wyrzekłeś!

IRYDION.

A więc świadczysz Jemu?

MASYNISSA.

Jak wróg nieśmiertelny — nieśmiertelnemu wrogowi! Dzisiaj on władnie starem niebem i zgrzybiałą ziemią — ale są przestwory kędy imię Jego zmazane jako moje zstarte w niebiesiach. — Są światy nieskończonej młodości pracujące w bolach i w odmęcie, słońca bez blasku, przyszłe Bogi w okowach, morze nie nazwane dotąd, wezbrane wiecznie ku szczęśliwym brzegom! a on już ustał, już zasiadł na tronie i rzekł: — jestem — i opuścił skronie!

Nie zaprzeczam Go — widzę Go — oczy moje, ranne Jego blaskiem odwracają się ku ciemnościom, ku nadziejom moim.
— Z nich będzie zwycięstwo! Wybieraj. —

IRYDION.

Statek żelaznego cierpienia czerni się na czole twojem — ale wśród tych zmarszczków pokaż mi nadzieję — nie — nie, ty z toni wieków nie podniesiesz się nigdy. — Tys zwiódł mnie i zgubił!

MASYNISSA.

✕ Nie opuszczaj mnie jako ciebie opuścili nikczemni (porywa go z ziemi). Stań nad przepaścią — wejrzyj ku miastu nienawiści twojej! Czy wiesz kto je wyrwie z rąk braci twoich, kiedy według przepowiedni Grymhildy przyjdą rozorać Italię na bruzdy krwi i zagony popiołów? Czy wiesz kto zlatującą purpurę Cezarów podchwyci w powietrzu? Nazaareńczyk! — i w nim zdrada Senatu i w nim okrucieństwo ludu żyć będzie niezatartą puścizną — włosy jego białe i serce nieublagane jak u pierwszego z Katonów — mowa tylko czasem niewieścia i słodka — u stóp jego zdziecinieją męże północy i On drugi raz ubóstwi Romę przed narodami świata!

IRYDION.

Ah! żądałem bez miary, pracowałem bez wytechnienia by niszczyć tak jak inni żądatają bez miary, pracują bez wytechnienia by kochać i błogosławić przy zgonie temu, co kochali za życia. — Ah! a teraz ty konającemu zwiastujesz nieśmiertelność Romy!

MASYNISSA.

Nie rozpaczaj — bo przyjdzie czas w którym cień krzyża spieką się wyda narodom i on darmo wyteży ramiona by raz jeszcze odchodzących przytulić do łona. — Jedni po drugich powstaną i rzekną! — nie służymy więcej. — Wtedy u wszystkich bram miasta słyszane będą skargi i narzekania — wtedy gieniusz Romy znów twarz zakryje i płacz jego nieskończonym będzie — bo na Forum same prochy zostaną — bo na Cyrku same gruzy tylko — bo na Kapitolu sama hańba tylko! — i przechadzać się będę po tych błoniach, wśród trzód dzikich i bladych pasterzy, ostatnich mieszkańców Romy — i walka moja na ziemi zbliży się do końca!

IRYDION.

Znów serce mi bije. — Ah! dzień ten czy daleki jeszcze?

MASYNISSA.

Sam ledwo go przeczuwam!

IRYDION.

O Amfilochu! więc syn twój był tylko marzeniem — tylko cieniem odbitym od późnej przyszłości — i jak zawczesną igraszkę rozbiły go losy! (do Masyissy) Odejdź — ni tobie, ni Bogu żadnemu nie oddam duszy mojej — na tej skale patrząc w oczy Romy umrę jako żyłem w samotności ducha!

MASYNISSA.

O synu słuchaj mnie!

Bładość liców twoich odrzucę nazad śmierci. — Ognisko siły na nowo w sercu twojem rozpalę. — Dam ci niepamięć przeszłości — dam ci niewiedzę przyszłości!

IRYDION.

Precz odemnie!

MASYNISSA.

Dam ci żądz tysięcy i sił tysiące. — Umarłych piękności wskrzeszę ci kształty — każda nim się rozemdleje spali się w twoich uściskach — i Helena Trojańska i Idalska Venus i Ptolomeów córa.

W przejrzystej fali, w ogniu promienia, w czarnej twardej ziemi, jeszcze będą tchnienia rokoszy dla ciebie!

IRYDION.

Nie kuś mnie!

MASYNISSA.

W dalekich stronach wydzielę ci plemię posłuszne w progach pałacu, dzikie w dniu bitwy. — Wśród czarów pochlebstwa ukochasz siebie jako Helladę kochałeś. — Zgrozą króla i miłością króla upoję cię synu! Aż przyjdę, aż znów mój znak położę na tobie i rzeknę: — Czas wrócić do walki. —

IRYDION.

Nie kuś mnie! albo rozłam w gruzy sklepienia, których kamień każdy przeklinałem. — Ha! jesteś potężny, choć raz wynijdź w pole. —

MASYNISSA.

Na dzisiaj próżna prośba twoja!

IRYDION.

A więc tobie na dzisiaj nie być panem moim!

MASYNISSA.

Słuchaj, słuchaj mnie jeszcze!

IRYDION.

Słaby gieniuszu, w twoich skarbach nie ma nic dla Irydiona.

— Umierając gardzę nim i tobą!

MASYNISSA.

A jeśli wieki zniszczę dla ciebie?

IRYDION.

Co?

MASYNISSA.

Jeśli cię wyrwę z pośród pędzących fal czasu i i złożę na miękkim brzegu, uspię cię na łonie nicości i zapomnienia — aż do chwili w której te wieże rozrzuć i wbiję do ziemi.
— Jeśli wtedy obudzę cię takim jakim dzisiaj jesteś?

IRYDION.

W Rzymie po latach wielu?

MASYNISSA.

Tak, by dopełniła się jedyna żądza twoja, byś deptał ruiny i popioły!

IRYDION.

Ale nie, kiedy płomienie wrzeć będą — nie, kiedy bracia matki mojej zatrąbią w rogi swoje na siedmiu wzgórzach.

MASYNISSA.

Kiedyż więc?

IRYDION.

Kiedy na Forum będą prochy tylko!

Kiedy na Cyrku będą kości tylko!

Kiedy na Kapitolu będzie hańba tylko!

MASYNISSA.

Ale wtedy synu. —

IRYDION.

Będę twoim — przysięgnij!

MASYNISSA.

Przysięgam zachować twe ciało. — Przysięgam duch twój uśpić i wskrzesić. — Przez to co On przezwiał złem, przez jedyné dobro moje przysięgam! Teraz daj rękę!

IRYDION.

Bierz tę nieszczęśliwą co na próżno walczyła!

MASYNISSA.

Wszystkie potęgi nocy zgromadzone nad tobą i otchłań matka moja, słucha twej przysięgi! Wyrzekasz się wroga mego?

IRYDION.

Wyrzekam się. — Ah! jęk rozpaczy przeleciał mi nad głowę!

MASYNISSA.

Nie zważaj!

IRYDION.

Patrz! skała porysowała się w krzyże i czarne krople na nich. — Ah! patrz krople krwi się sączą.

MASYNISSA.

Nie zważaj synu. —

IRYDION.

Burza zrywa się nad morzem. — Ah! ah! ktoś woła na mnie — tam — daleko — coraz dalej — czy słyszysz?

MASYNISSA.

A teraz?

IRYDION.

Milczenie. —

MASYNISSA.

Razem więc na wieki bez końca, bez odpoczynku, bez nadziei, bez miłości, aż dopełni się wiekuista zemsta.

IRYDION.

Razem — bylebyś wprzód dopełnił śmiertelnej!

MASYNISSA.

Stało się — za mną teraz!

IRYDION.

Gdzie?

MASYNISSA.

Do brzegów jeziora, do chłodu jaskini, pod liście winne i bluszczane wieńce — kędy ni zorzy ni gwiazd nie masz, ni głosów, ni bolu, ni marzeń. — Tam spoczywać będziesz aż wnijdziesz do królestwa mego!

IRYDION.

Idźmy — mnie Rzym, tobie duszę moją!

Wieszcie kochani Irydionie i Masyssie!
Wojcie

DOKOŃCZENIE.

O myśli moja ty przetrwałaś wieki! Ty senną byłaś w dniu Alaryka i w dniu wielkiego Atylli — ni brzęk korony cesarskiej o twarde czoło Karła, ni Rienzi trybun ludu nie obudził ciebie! I święte pany Watykanu jeden po drugim przesunęli się przed tobą jak cienie przed cieniem! Ale dzisiaj ty powstaniesz o myśli moja!

Dzisiaj w Kampanji rzymkiej słońce wrzało nad pustynią i pośępnie teraz u brzegów pustyni zachodzi. Nad piołunem piasków, nad sitowiem bagnisk, nad samotnymi sosnami wzgórzów, nad cyprysami dolin, już kołują cienie. — Gwiazda wieczorna, dawnych ludzi Bogini, żałobnie się wzuosi i z nią kilka łez rosy tu i owdzie pada. — Tylko na morzu jeszcze w krwawych połyskach gra kipiąca piana.

W powietrzu skwar i milczenie — chmury żadnej, żadnego powiewu, a głębie się wzruszyły i pełnemi bałwany, piersią purpurową jęknęły ku niebu. — Ten który zamieszkał w otchłani, ten który obiecał, stanął na wirach fal i stopą czarniejszą od nocy gniótl niewolnice swoje.

Od jego postaci luna wzbija się jakby drugie słońce zaszło. — Od jego ramion ztacza się mgła na dalekie wody. — On idzie samotny i jak przed wiekami z nieśmiertelną starością na czole.

A kiedy dosiał ladu, odetchnło morze i w zmierzchu znkane usnły bałwany. — On szedł dalej. — Górom Samnickim ślad swój zostawił na szczycie i zstpił ku brzegom jeziora. — Tam w potdze jego czarów o Synu Zemsty! budzić si zaczęło ycie twoje.

Wż co sfrzegł stóp twoich zadrgnł i zdał si przeczuwa powrót pana swego. — Wzmogło si światło łusk bladawych — roztoczył spłoty i na marmury łoa z nich sypnły si iskry. Wspił si w gór i czeka teraz jak gorejca pochodnia, a w jej blaskach jaśnieją czarne gazy i spiekłe rysy twoje!

Z razu połysk czucia tlał ci na czole jak ognek nocny nad grobem — ale od progów jaskini gosy uroczyste, witajc ci po imieniu, wznoszą pieśń ycia twego i za kadym ich ustankiem jedn si zamartwychwstajesz wicej. — I dana ci wiedza lat zbiegłych od chwili zaśnięcia twego. — Gdyby dzieje dnia jednego ujrzalesz wszystkie mki Rzymu i tryumfy Krzya!

Wszystkie, wszystkie na około ciebie wr ognistemi barwy i kopyt ttenta, i chrzsty pancerzy i brzki dzwonów i odgosy hymnów przelatuj nad tob jak przeleciały nad snem twoim.

Umarłe Biskupy cign si dugimi rzdy — przed kadym idzie król jeden i na plecach swoich roztwart, świt ksig niesie. — Na siedmiu wzgórzach z dołu w gór i z góry na dół cigle jednym kołem id i wracaj. — Jednym anioly wieńce kołysz w powietrzu — drudzy samotni z znakiem zbawienia w rku, z mieczem wojny u boku i czar trucizny w lewicy!

A im bliżej obudzenia twego, tem mniej orszaku, tem głuchsze stąpania, tem bielsze głowy panów Rzymu i bardziej drżące ich dłonie. — Wtedy po nad wszystkie śpiewające głosy wznosił się jeden pełen sił i rozkazów — głos który nie dochodzi niebios, ale któremu ziemia odgrzmiewa w wnętrznościach swoich i ten głos zawołał: — o Synu! —

Wtedy na szybach jeziora, na darni brzegów, na sklepieniu jaskini błysnęło i piorun powtórnego życia uderzył cię w łono, i jakoś był młody, i jakoś był piękny przed laty, powstałeś na łożu! i gorejące oczy twoje spotkały za pierwszym spojrzeniem bladą twarz Cyntyi na szczytach Łatyńskich — i odparłeś: — Jestem — a on skinął dłonią i prowadzi ciebie. — Stąpanie powtarzają echa — jedno po czarnych wąwozach jak dwie czarne chmury żeglują wasze postacie.

Stałeś w Kampanii rzymskiej. — Przed twoim wzrokiem ona nie ma czem zakryć hańby swojej — gwiazdy migają jak tysiąc złotych wspomnień i uragań. — Czarne wodociągi idące ku miastu, nieznachodząc miasta, stanęły — opadły z nich glazy leżą pogrzebnymi stosy — tam powój się rozwlekl przysypan kurzawą — tam rudzą ptaki nocne i jęczą!

Pojrzał syn wieków i uradował się w sprawiedliwości zemsty swojej. — Każda ruina była mu nagrodą i niziny wdowy amfiteatrów i wzgórze świątyń sieroty — z lekkich stóp swoich otrząsał proch i perzynę tam gdzie cyrk Karakalli, tam gdzie Mausoleum Cecylii, żony Krasussa. — I ulicą grobów starodawnych wiódł go straszny przewodnik do bram Rzymu.

One same cię roztworzą — nie słyhać zgrzytnienia zawiasów. — Weszli. — Straże nagle usnęły oparte na broniach. — Oni przeszli jak cienie!

I wśród długich samotnych kaplic ciasna im droga się wije.

O nocy jedyna, ostatnia! o nocy miłości mojej, coś słonecznego w twoich blaskach jaśnieje — nad każdą ruiną zasłoneżonych cieniów rozdierasz — i truchlejącą, nagą, wydajesz wrogowi. — Twój księżyc, nędzne domy i nędznych rzadkich mieszkańców, wytyka szyderstwa promieniem!

W krążanku Bazyliki stoi dwóch starców w purpurowych płaszczach. — Żegnają ich zakonnicy imieniem ksiąząt kościoła i ojców — na ich twarzach wyryte ubóstwo myśli — wsiedli do powozu — czarne schorzałe konie ich ciągną — i z tyłu sługa z latarnią, jaką trzyma wdowa nad dzieckiem konającym z głodu — i na ramach u okien i na listwach u dołu, ostatek pozłoty! Minęły zwolna jęczące koła, siwe głowy wychylone zniknęły. — To następcy Cezarów, to rydwan kapitoliińskiej Fortuny — rzekł przewodnik, a syn Grecyi pojrzał i klasnął w dłoń.

A teraz stromą pochyłością, sadzonymi schody wstąpili na puste dziedzińce — pośrodku posąg Aureliusza na koniu z wyciągniętą dłonią w próżniach powietrza. — Cezar bez poddanych. — Triumfator bez pieśni — a z tyłu czarne tło murów Kapitolu!

Obok skały Tarpejskiej ułamkiem miecza wracający na ziemię po latach tyłu, zostawił znak swój na czole najlepszego z Cezarów — i dźwięk greckiego żelaza o spiż rzymską rozległ się jak dzwonu uderzenie pogrzebne, ostatnie! i z nad szczytów zamku odparł żałośny krzyk sowy i z odległych ulic odparło skowyczenie psa błądzącego po innych ruinach!

A przez *via sacra*, przez drogę zwycięstw stopniami ze żwiru i błota zeszli ku Forum. — Łuk Septyma Severa aż po piersi, i świątyń ostatnie kulumny aż po szyję zakopane w ziemię, wystają jak głowy potępieńców. — Inne nie tak zagrzęzły, stoją wysoko, samotnie, wysmukłością szkieletów.

Ich kapitele, kwiaty, ich liście akantu, co tak białe, tak nieźnośnie tobie świeciły przed wiekami, dziś jak zbrudzone włosy na czole włóczęgi, dziś na pół pęknięte marmury ich kibici rozlatują się w proch jak fontanna w krople. — I nie mogłeś nic poznać, nie nazwać w godzinę tryumfu twego!

Tam pod resztą portyku dwóch nędzarzy śpi pod lachmanami płaszcza jednego — w księżycowej bladeści ich twarze jak dwa głazy grobowe — jaszczurki ślizgają wśród ich ramion splecionych — a teraz jak liście jesienne przed wiatrem uciekły przed tobą. —

Powitałeś ostatki ludu rzymskiego na Forum — przechodząc trąciłeś ich nogą — ani się nie przebudzili!

Przewodnik wskazał ku ulicy drzew zgrzybiałych. — Tam cień Palatynu leżał na ziemi, tam Bogów poćwiertowane ciała się wały i bohaterów rozpadłe piersi z jaspisu, z porfiru. —

Tam bramą Tytusa pękniętą, zlepioną jak ogromna rana, przeszli znów na jasne miejsca puste i stroskane. — Tu wydało się temu który zmartwychwstał, że Koliseum dotąd stoi cało, ale starzec głośniej jeszcze się rozśmiał — i wziął go za rękę!

Na milczącej Arenie, na piasku srebrnym, wśród arkad przemienionych w dzikie skały, z bluszczami u wierzchołków, z szczelinami w łonie, tyś podziękował losom za spodloną Romę.

Tu miał być koniec pielgrzymki twojej — ztąd miałeś pójść kędy miliony.

I wszystko coś widział niegdyś, wszystko czego częścią bywałeś, wróciło ci na pamięć — tam był tron Cezarów. — Ozwały się w myśli twojej trąby, piszczałki, poklaski, przekleństwa. Słońca tylko nie ma, nie ma purpurowej obłony co powijała na wierzchołkach Cyrku. — Księżyc blade świeci nad tłumem wskrzeszonych, przechodzących, niknących.

Z nich wszystkich został się głos Hymnu słyszanego niegdyś. — To niegdyś, było wczoraj. — Tu, wczoraj skonali Nazareńcy. — Ich twarze były pogodne jak wieczór letni — i otóż na miejscu na którym padli, krzyż czarny stoi dzisiaj, drewniany, cichy, na środku Areny — od jego spokojnych cieniów odwrócił przewodnik ponure oblicza.

Ale w tobie dziwne uczucie się budzi — nie litość nad Romą — bo jej żałoba ledwo za jej zbrodnie staje — nie strach obranego losu — ty za nadto cierpiałeś byś mógł się lękać — nie żal matki ziemi — boś miłości życia wśród snu wiekuistego zapominał — ale jakieś wspomnienie twarzy dziewiczej — jakiś smutek nad tym krzyżem, którym dawniej pogardziłeś, boś go daremnie chciał zaostrzyć w żelazca!

Ale teraz zdało ci się, że walki z nim nie chcesz — i zdało ci się że on znużony jako ty — oplakany jak losy Hellady niegdys — i zdało ci się w promieniach księżyca, że on świętym na zawsze!

Jednak nie uchylisz się od przyrzeczonej wiary — wstaniesz i pójdziesz ku starcowi pustyni. — On się wzdrygnął, on przeniknął duszę twoją — i kołem ramion ogromnych, posępnych, otaczając ciebie, odrywa cię krok za krokiem od zbawienia znaku. — Ty stąpasz za nim zwolna jak ojciec twój w dniu śmierci!

I piękny, gibki, z tuniką czarną, z koturnem Argijskim stanąłeś i ku niebu wyżejając ręce byłeś wśród gruzów jako dźwięk szybki, ogromny, co połączy tysiąc innych zbłąkanych. — Koryneckich festonów szczątki westchnęły za tobą!

— Synu, czas, wypileś napój który ci wieki sączyły do czary i kropli nie zostało. — Synu! czas, zorza niedaleka — nam ubiedz długą drogę trzeba. —

Jęki słyhać z pod ziemi, tam męczenników dosypiają koście — jęki słyhać w powietrzu — tam ulatują duchy Chrystusa — ale od szczytów amfiteatru po nad te dźwięki żałobne, zabrzmiał głos pełen chwały!

Tam postać bieleje przejrzystą jasnością — tam zebrały się wszystkie miłości księżycy i jak wstęgi powiewne to skupiają się, to rozpuszczają się w promienie około anielskich, cichych, zwartych skrzydeł dwojga!

Ty ku temu słodkiemu licu podniosłeś oczy — poznałeś dawne kształty ale wyświeżone rosą, wyjaśnione technieniem niebios i spoglądałeś na nie jak ten co się żegna z pięknością na wieki!

Głos wyzwał starca na powrót przed stopnie krzyża, na sąd nierozstrzygniony jeszcze. — On pod hymnem anioła opuścił śniade skronie i wrócił od bram cyrku. — Zgrzytał i rwał ci ręce i wołał: — potępiony, kto mi wydrze jego? —

Tu u stóp męki pańskiej, kiedy do zorzy blisko już było, kiedy miesiąc zapadł niżej Amfiteatru, kiedy cała Arena świeciła połyskami bijącemi od skrzydeł, brzmiała muzyką niewidzialnego choru, zaczął się spór ostatni, wyroczny w około twojej poświęconej głowy!

A ty powyżej kusiciela, poniżej anioła, stoisz na stopniach krzyża — twogi nie ma na czole twojem ni modlitw na ustach — jesteś jako byłeś zawsze, samotny na świecie!

On wparłszy stopy w kipiący piasek, głowę schyliwszy na spalone piersi, dopomina się o prawa swoje. — Wrogu nieśmiertelny, on moim, on żył w zemście, on nienawidził Romy. — Lecz anioł rozwiązując tęczę skrzydeł, potrząsając złocistemi puklami — o Panie! on jest moim, bo on kochał Grecyę. —

I od walki potęg zamglilo się powietrze — uczuleś powtórne konanie. — Życie twoje stało się całe oczekiwaniem i rozdarciem — ogień piekieł palił ci stopy, blaski niebieskie raziły ci oczy — tłumy rwały cię na dół i drugie tłumy ciągnęły cię w górę — wtedy nadzieja boska wszczęła się w sercu twojem i zenidłała i znów się obudziła jak iskra i znów zagasła i stało się czarno — pusto — głucho jak w nicości — boleśnie — gorzko — nieznośnie jak w rozpaczcy — i słabo — nikczemnie jak w hańbie.

O godzino przeznaczona każdemu z żyjących, oddal się od myśli mojej!

Ojczy niebieski! ty raz tylko jeden w wieczności, raz Syna własnego opuściłeś, by odtąd już nie opuszczać żadnego z dzieci twoich — nie — żadne dzieło twoje nie pójdzie w rozsypkę na wieki!

Powstań o synu Grecyi — patrz! wróg dłońmi zakrył lica i gmach starożytnych ludzi wstrząsł się od próżnych jego wysiłek — w mgłę zarannej coraz posępniej mdleją kształty jego. — On kona, głowę oparłszy o bramy cyrku — głos jego już teraz jak szum wód dalekich. — Świadectwem Kornelji, modlitwą Kornelji ty zbawion jesteś, boś ty kochał Grecyę!

Powstań! czy słyszysz ten głos co zagrzniał nad milczeniem wszystkich duchów? O pierwszych połyskach świtu on zleciał jak piorun i woń wszystkich kwiatów dolin podniosła się ku niemu.

— Idź na północ w imieniu Chrystusa — idź i nie zatrzymuj się, aż staniesz na ziemi mogił i krzyżów — poznasz ją po milczeniu mężów i po smutku drobnych dzieci — po zgorzałych chatach ubogiego i po zniszczonych pałacach wygnańców — poznasz ją po jękach aniołów moich przelatujących w nocy.

— Idź i zamieszkać wśród braci których ci daję — tam powtórna próba twoja — po drugi raz miłość twoją ujrzysz przebitą, konającą, a sam nie będziesz mógł skonać — i męki tysięcy wciela się w jedno serce twoje.

— Idź i ufaj imieniowi mojemu — nie prosz o chwałę twoją ale o dobro tych, których ci powierzam — bądź spokojny na dumę i ucisk i natrząsanie się niesprawiedliwych — oni przeminą, ale ty i słowo moje nie przeminiecie!

— A po długim męczeństwie zorzę rozwiędę nad wami — udam was, czem aniołów moich obdarzyłem przed wiekami — szczęściem i tem co obiecałem ludziom na szczycie Golgothy — wolnością!

— Idź i czyn choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich — choć zwątpisz o braci twojej — choćbyś miał o mnie samym rozpaczać — czyn ciągle i bez wytchnienia, a przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świętych, a zmartwychwstaniesz nie ze snu jako wprzód było, ale z pracy wieków — i staniesz się wolnym synem niebios! —

I weszło słońce nad ostatkami Romy — i nie było komu powiedzieć gdzie się podziały ślady myśli mojej — ale ja wiem że ona trwa i że ona żyje!

PRZYPIS K
do
I R Y D I O N A.

PRZYPISKI DO WSTĘPU.

Strona 5. wiersz 1. Już się ma pod koniec starożytnemu światu.

Niniejsza powieść pomyślaną jest w trzecim wieku po Chrystusie. — Stan państwa rzymskiego w tych latach był stanem konania — rozwiązywania się — dezorganizacyi. — Wszystko co niegdyś było życiem jego, co sprawiało ruch jego postępowy i byt, teraz wracało w nicość, słowem umierało — przetwarzano się. — Trzy systemata stały obok siebie. — Pogaństwo już bez życia ale uzupełnione w Rzymie wszystkimi religiami przybyłymi ze wschodu — jakby ciało we wszystkich częściach swoich, pysznie ubrane, leżące na marach. — Chrześcijaństwo dotąd bez ciała prawie, bez kształtu, prześladowane, rosnące między ludem, wyzywające wszystkie wiary symboliczne przeszłości do walki z filozoficznymi, zaś to ucierające się, to godzące na przemian — podobne do ducha potężnego w pracy wcielania się swego — i barbarzyństwo rozmaite, dzikie, ruchome jak morze wśród burzy, mające także swoje myty, ale po większej części niepamiętne na ich łonie Rzymu, żyjące od dnia do dnia w legiach rzymskich, buntujące się przeciwko Rzymianom w północnych prowincjach, gwałtem jednak zewsząd cisnące się ku Włochom, czy zbrojną ręką czy jako zaciężne żołnierstwo, pełne jakiejś niespokojności na wzór atomów, kiedy się zrosnąć

i skupić mają, ale bez poczucia się, bez wiedzy żadnej, bez *conscientia sui*, ślepe, straszne jak siły natury. — Była to materja już wrząca, już gotowa stać się kształtem, przyłgnąć jako ciało do ducha przechadzającego się w katakombach — do Chrześcijaństwa! Milczenie które poprzedziło tę wielką burzę w której Rzym zniknął i przetworzył się na Europę chrześcijańską, były to ostatnie biesiady Cezarów — była to nędza nieopisana ludu i niewolników we wszystkich częściach państwa. — W rzeczy samej zbytki materjalne i nędze materjalne są zawsze wielkiem milczeniem ducha czy indywiduów czy narodów — jest to życie zwierzące na najwyższym lub najniższym szczeblu swoim — a życie moralne zda się odpoczywać tymczasem, by powstać i zagrznieć — zresztą świat starożytny był raczej światem liczb i kształtów niż wolnych ruchów ducha — dla tego musiał konając konwulsyjne, ogromnie się tarzać w materji swojej — nasz zbytkuje duchownie raczej. —

Strona 5. wiersz 4. Fatum jedno spokojne, Rozum nieublagany świata.

Fatum u Rzymian, *αἰακή* u Greków według Hesioda, syn nocy i chaosu, znaczyło przeznaczenie, konieczność wyższą od wszystkich Bogów i duchów czy niebieskich czy piekielnych; wystawiali go pod postacią starca gniotącego nogami ziemię, a trzymającego w dłoniach urnę w której spały losy śmiertelnych — najczęściej jednak w sensie idealnym pojmowany, znaaczył jedność boską, ostatnią przyczynę, matematykę, uniwersum, której nic oprzeć się nie mogło.

Strona 6. wiersz 6. Motłoch i Cezar, oto Rzym cały.

Pod Cezarami ułożyła się równość wszystkich poddanych — przed Cezarem przyjęte zostały do prawa obywatelstwa tak skąpo rozdawanego przez patrycyuszów, wszystkie prowincye państwa. — Większa część Cezarów pochodziła z prowincyi. — Trajan był Hiszpanem, Heliogabal Syryjczykiem, Maxymian Gotem, i t. d. Rzym którego myślą było ujarzmić świat, a samemu zostać na boku, tak jak Bóg po stworzeniu świata; musiał koniecznością okoliczności otworzyć bramy swoje ludom północy i południa. — Egoizm jego nie mógł się utrzymać za-

wsze w tej samej, odległej, samotnej postawie — nie rozlał on swojej indywidualności, ale ci których podbił, rozdarli ją stopniami — każdy przyszedł upomnieć się o jej część — sztuki Greków, filozofia grecka — pierwsze wcisnęły się do miasta — nauczyły miasto — wyosobniły w niem część duchowną sobie. — Tem samem zgubiły je — bo wielki egoizm materialny dopóty silny, dopóki zupełnie jest materialnym. — Ducha w nim obudzić a zgubić go, to jedno — bo naturą ducha jest dążenie zewnątrz, jest siła rozlewania się — wcześniej czy później od jego usiłowań pęknąć musi skupienie materialne. — Dalej wschodnie podania, myty, obrzędy i czary przybyły do Rzymu. — One w gminie to samo sprawiły, co filozofia grecka w senacie i patrycjuszach. — One symbol egoistyczny wiecznego Kapitolu rozerwały — później okrzyki się dotykalnie skutki widome tych przyczyn niewidomych, moralnych. — Rzym stał się Grecją, Egiptem, Azyą mniejszą, a nie Grecją, Egipt, Azja mniejsza stały się Rzymem. — Barbarzyńcy zasiedli w senacie rzymskim — pomięszaly się wszystkie wiary i prawa w tej *collu- vio nationum*, w tym składzie dezorganizującym się, upadły wszystkie dawne porządki i podania rzymskie. — Arystokracja zupełnie wyginęła, to przez zawiść Cezarów, to przez wyczerpienie sił żywotnych. — Cezar konfiskując jej dobra lub biorąc zapisy, stał się jej dziedzicem — również zgromadził w sobie wszystkie prawa kapłanów i ludu — co mógł zniszczyć na swoją korzyść, zniszczył — Siły zniszczonych zebrał w sobie. — Jednej tylko rzeczy, jednej jednostki niemógł zniszczyć. — to jest ludu któremu panował. — Został się więc sam na sam z nim — a że w tej drugiej połowie państwa była siła materialna, siła prostobytu, musiał jej nie raz ulegać, podchlebiać jej darami, igrzyskami i t. d. Lecz prócz niego i ludu nie już nie było w Rzymie.

Strona 6. wiersz 17. Czy gdzie nie spotka Odyna, Boga ludów swoich.

Z względu religji rozróżnić można plemiona germańskie na dwa wielkie oddziały. — Germania o której Tacyt mówi, a w której górują Suevy (Hermiones) ma religię natury, czci żywioły, drzewa, krynice. — Bogini Hertha (Erd, ziemia) każ-

dego roku na wozie przesłoniętym, powstaje z gajów dalekich od wysp północnego morza. — Rozmaite zapewne były u rozmaitych hord miejscowości, obrzęda, ale ogólnie biorąc, ich wiary jeszcze były bardzo pomieszane, niepewne. — Na tem tle bladawym mocne wycisnęły się barwy przez napad hord dalej ku północy mieszkających, Rzymianom nieznanym. — W tych hordach wszczął się już był ruch postępowy, bohater-ski! objawienie jakieś religijne. — Temu objawieniu na imię było Odyn. — Odyn od Islandyi, gdzie później jego religię najdzielniej i najokwieciej się rozwinęła, od brzegów Renu opanował umysły ludów. — Gotby, Saxony, Gepidy, Lombardy, Burgundy były to Odyńskie pokolenia, wierzące w wcielenie się Odyna, w pewne opisane obrzęda, w nieśmiertelność za grobem, w nadgrody w pałacu Odyna w Walhalli, w jakieś miasto Asgard święte na ziemi, z kąd wyszli ich ojcowie, a do którego wrócić mieli wcześniej czy później — z tego kształtu nadanego ich wiarom, z tych Mytów już opisanych, wyszła ich siła popędowa. — Oni to poruszyli plemię Germańskie, leżące martwo w niższej Germanji. — Oni to ze Skandynawji zeszedli po nad brzegi Bałtyku, spuścili się ku Dunajowi i przebiegli całe Niemcy, ocierając się wszędzie o granice Cesarstwa. — Z ich runięcia od północy wszczął się chaos w Germanji, który później cały na Włochy się zwałił — a Gothów później Odyn przybrał imię Wodona. — Saksony jeszcze przez czas jakiś nieporuszonemi zostali na brzegach morza niemieckiego. — Myty odyńskie w krótkości są następujące:

Przedewszystkiem był olbrzym Imer. — Tego zabił Odyn wraz z braćmi swemi Vile i Ve — z czaszki zabitego powstały niebiosy, z jego ciała ziemia, morze z krwi jego. — Inny olbrzym Norw był ojcem nocy. — Noc porodziła dzień. — Oboje nieustannie na niebie na dwóch wozach kołują. — Hrim — fax (zmarzła grzywa) koniem nocy. — Skin — fan (grzywa światłana) koniem dnia. — Most wielki wiedzie od ziemi do nieba — z trzech barw złożony, a na imię mu tęcza — przerwie się on kiedyś, kiedy złe duchy po zwycięztwie nad Bogami, przecho-dzić nim będą. — Świat ma skończyć pożarem. — W ostatniej walce świata złe duchy zwyciężą.

Odyn jest Bogiem nad wszystkimi innymi. — Dają mu imię

Alfader, ojca wszystkiego, ojca bitew. — Zowią go jeszcze Hor, Janfelhar i Thridi (wyższy, równy wyższemu i trzeci — Trójca) on poległych bohaterów bierze do swego palacu w niebiesiech, do Walhalli — pięćset czterdziestuma bramami tam wchodzi. — Na ramionach Odyna siedzą dwa kruki — jeden zowie się Lugin (rozum) drugi Munin (pamięć — przez nich wie co się dzieje w przestrzeniach. — Synem Odyna jest Bóg Thor, Bóg wojny z młotem w ręku. — Młot stał się u tych plemion symbolem zdobycia. — Boginie dziewice wojny, zowią się Walkiryjes. — Jest ich dwanaście — a najpotężniejsza Frigga. — Loke jest Bogiem złudzeń i złego. — Bogi niebios okuły w kajdany syna jego wilka Feuris — w tym Loke skandynawskim jest jakby przecucie Mefistofelesa. — Wodzowie pochodzący od Bogów, szlachta wiodąca do bitew zwana u Gothów Amali i Bałty. — Saksoni dłużej pozostali spokojnymi — dopiero kiedy z jednej strony Franki, z drugiej przyparli ich Sławianie, ułożyli się w hordę wojenną, oddawna już przemagającą w składzie Gothów i rzucili się na Anglię. — Gothy zaś, Lombardy, Burgundy zaraz poddali się wodzom, u nich to rozwinęło się przywiązanie żołnierskie, początek feudalnego składu. — Oni to pierwsi rzucili się na dalekie błędy, goniąc za złotem i niewiastą. — To wszędzie było ich bohatyrskim celem — ztąd później wyrosła poetyczna postać Sygurda w poemacie Nibelungów — w niej zarazem połączone rada i waleczność, to co rozdzielonem było w mytach greckich, Achilles i Ulisses. — Z tego więc pierwiastkowego objawienia się formy religijnej w Skandynawji wyszedł ruch i życie. — Ruch gwałtowny, dzikie życie jak źródło z którego wypływało. — Nieopisaną jest ponurość podań skandynawskich. — Jedyną w nich moralnością jest chwała obiecana za odwagę. — W Walhalli biesiadują bohaterzy i wśród biesiad te szkielety zbrojne wstają i walki przeszłe odnawiają między sobą. — We wszystkich mytach odyńskich przebija wpływ natury północnej — znać w nich jakby brak nadziei, jakby rozpacz wieczną połączoną z dzikiem bohaterskim mężstwem, idącym zawsze naprzód, niedbającym na to, że koniec będzie straszny i fatalny. — Myśl, że świat skończy nieszczęśliwie, że na końcu wieków złe duchy przemogą, kołuje jak zorza północna, krwawa, nad tą całą mitologią — w jej blaskach biją się do upa-

długo wojownicy na ziemi i goniąc wszędzie za niebezpieczeństwem, nieprzepuszczając ni sobie ni wrogom, szukają zapomnienia — żyją tak gwałtownie zewnątrz by nie myśleć wewnątrz! Taka myśl matka, takie przecucie zniszczenia wszystkiego, musiało wcielać się w zniszczenie szczegółowe — musiało z tych ludzi utworzyć Alaryków, Genseryków, Attyłów. — Jako chrześcijaństwo w swoim najgłębszym początku jest duchem postępowym miłości, tworzenia, spajania, tak myty barbarzyńskie północne, były siłą postępową niszczenia, rozprzęgania. — Ale kiedy chrześcijaństwo postawiło się w środku tego koła zdarzeń i plemion, działać na nie zaczęło atrakcyjnie, i zdarzenia i plemiona północne przetworzyły się na okrąg porządną, zamkniętą. — Po dopełnieniu klęski, po ukaraniu Rzymu, ta materya rozzerwana, ciągnąca wszędzie śmiertelnic, ożywiła się i stała się. — Chaos powoli zaczął przechodzić w organizm — miłość ducha zwyciężyła opór materyi. — Nasza powieść dzieje się jeszcze przed poczęciem się chaosu i tworzenia. — Irydion jest tylko przecuciem chaosu a zatem i życia — bo chaos na to zdał się tylko by stało się życie.

Strona 7. wiersz 11. *Morituri te salutant Caesar...*

Formuła, którą przechodzący zapaśnicy przed rozpoczęciem igrzysk witali Cezara. — «Mający zginąć witają Cezara.»

Strona 7. wiersz 13. Na palatynie, na wzgórzu ruin i kwiatów.

Na wzgórzu palatyńskim stał pałac Cezarów — dziś ostatki pałacu Farnezów na głębszych jeszcze gruzach pałacu Cezarów.

Strona 7. wiersz 20. *Wzlatywały z katakomb...*

Katakomby, przestronne lochy wydrążone pod całym Rzymem i częścią Kampanii rzymskiej, dochodzące nawet jak twierdzą aż do morza, pierwszych Rzymian smętarze dla chowania ubogich i niewolników, których nie stać było na stos: później schronienie chrześcian podczas prześladowania; dziś w niektórych miejscach jeszcze całe, dostępne, po większej części zaś zasypane, składające się z mnóstwa niskich i ciasnych manowców, czasem rozprzestrzeniających się w kwadratowe lub okrągłe ciemnice. — Ściany zaś zasute nadgrobkami męczenników. — Dotąd kości męczenników z nich wykopują.

Strona 8. wiersz 25. W Chersonesie Cymbrów. —

Rzymianie tak nazywali półwysep Jutlandzki — i wszystkie plemiona skandynawskie nazywali ogólnem imieniem Cymbrów.

Strona 8. wiersz 25. W ziemi srebrnej potoków...

Sami barbarzyńcy tak nazywali Chersones od białości śniegów i potoków tam płynących. —

Strona 8. wiersz 26. Brat za brat z królami morza.

U Angłów, Saksonów, Nord-Manów, u wszystkich Skandynawów wodzowie nazywali się królami morza. — Ich życiem były ciągle rozboje morskie.

Strona 14. wiersz 8. Błota meockie (palus maeotis.)

Azowskie morze.

PRZYPISKI DO PIERWSZEJ CZĘŚCI IRYDIONA.

Strona 18. wiersz 12. A tymczasem w Gineceum.

U Greków kobiety jeszcze nie były doszły europejskiej wolności — coś jeszcze wschodniego zostało w sposobie ich życia i Greczynki wychowywały się w Haremach zwanych Gineceum od słowa γυναικῆ niewiasta, i nie wychodziły ztamtąd przed zamęściem.

Strona 18. wiersz 16. Murzyny Heliogabala.

Tak przezwanym został syn Scemidy i Variusza Marcella, Varius Bassianus od Boga Halgah-Baal czyli Mitry, którego arcykapłanem był w Emezie, nim został Cesarzem rzymskim. — Dzieje Heliogabala są najmocniejszym dowodem, najwyraźniejszym symbolem zgrzybiałości ówczesnego świata — w piętnastym roku życia wstąpił na tron, w ósmnastym zaś zginął zamordowany przez pretorianów; a w tym znikomym przeciągu czasu zużył wszystkie rozkosze jakie potęga przynieść może.

On nigdy nie był młodym. — Imię jego, starość uosobiona. — Zdawałoby się jakoby przeszłość działalności, przeszłość czynnego Rzymu zostawiła w nim próżnię, której niczem zapeł-

nić nie mógł. — Dwa znamiona jego charakteru są Nuda i Lubieżność — to samo zupełnie co starców cechuje. — Nuda albowiem jest męka pochodząca z uczucia wiecznej próżni i z daremnej żądz jej odsunięcia. — Lubieżność zaś jest pracą wyobraźni na wynalezienie czegoś, co by rozbudzić mogło martwe zmysły. — Namiętność jest zawsze silną, prostą, jest to Synteza, jest to poezya ciała. — Lubieżność przeciwnie jest wymyślą, rozkładającą się na tysiąc szczegółów, jest raczej prozą Analysą. — Heliogabal nie dogadzał swoim namiętnościom bo ich nie miał — on miał tylko żądzę ich mienia — on szukał w całej naturze, w całym państwie swoim, w całym sobie, tylko podniety, iskry co by zapaliła jakiegokolwiek ognisko w jego piersiach — na tym trudzie nieszczęśliwym przeszło mu życie — dla tego wszystko co czynił było kaprysem. — Taki skład niepojęty byłby w człowieku młodym, gdyby na nim nie ciążyła już fatalna starość świata, w którym się urodził. — Heliogabal był starcem przez świat otaczający a był młodym przez siebie — ztąd wieczna sprzeczność, niemoc i żądza.

Ten starzec, ta jednostka spruchniała i zmagająca sama z sobą, to dziecię zgrzybiałe wychowało się w Syrii, w kraju czarodziejskich mytów i pochłaniającego klimatu. Babka jego Moesa była siostrą Julii żony Septymiusza Severa — po śmierci tego cesarza cała familia jego żony odsunięta od potęgi, poszła na wygnanie do ojczyznanego kraju, do Syrii. — Moesa miała dwie córki, Scemidę i Mammę, matkę Aleksiana, sławnego później pod imieniem Aleksandra Severa. — Heliogabal przed czternastym rokiem życia jeszcze został arcykapłanem w świątyni Emezkiej. — Czczono w niej wielkiego Boga Halgal-Baal, czyli Mitrę, Boga Chaldejskiego, w którym zeszyły się wszystkie podania wschodnie i egiptskie. — Był to symbol słońca uważanego za Boga, czystego, najwyższego, jedyne, że tak powiem oderwanego. — Dla tego też nie miał posągu żadnego, tylko kamień czarny, ostrokągowego kształtu był jego symbolem. — W tej samej świątyni inne były Bogi — Baal-Fegor, czyli słońce już zmaterjalizowane, jako siła obudzająca wegetacyę — Gad-Baal, czyli słońce jeszcze bardziej ucieleśnione, ogłaszające wyrocznie, Phoebus-Apollo-Astorto Aalis, wielka Bogini, żona Halgal-Baala, czyli księżyc oświecony słońcem, natura oży-

wiona przez słońce. — Baalis-Benoth czyli Vencra i Baalis-Dercoto czyli Afrodyte grecka, obie wyrażające naturę, już uczłowieczoną niewiastę. — Obchodzono w świątyni śmierć i zmartwychwstanie Adonisa czyli symbol natury opuszczonej w zimie od słońca i znów przezeń na wiosnę ożywionej. — Cała Azya słała dary do tej świątyni. — Z nadludzkim przepychem odbywały się jej obrzędy i z zwierzęcą sprośnością zarazem. — Tam rozwinęły się nasamprzód myśli Heliogabala — tam wola jego wolna i siła wszelka, zabitemi zostały u wstępu do życia przez sceny fantastyczne, dalekie od rzeczywistości świata, przez wpływ rozwiązłego, zachwycającego klimatu — podług wszystkich podań był on nieczrównanej piękności. — Biegały wieści pomiędzy ludem, że matka jego niegdyś była kochanką cesarza Karakalli, że on synem Karakalli, którego pamięć ubóstwiali żołnierze legionów. — Makryn, prefekt pretorium po zamordowaniu Karakalli panował podówczas Rzymowi i światu — ale jego rządy słabemi były. — Legia przechodząca przez Emezę ujrzała młodego Heliogabala. — Piękność jego i pamięć oica wzruszyły legionistów — do tego przydać należy wszystkie przebiegi i starania się Moesy, niemogącej zapomnieć, że niegdyś siostra jej była pierwszą w Rzymie. — Ona to w nocy przywodziła Heliogabala i Scemidę ze świątyni do obozu legji. — Tam syn Karakalli ogłoszony Cezarem. — Ulpius Julianus posłany przez Makryna, zбитy na głowę — w tej bitwie Helogabal pierwszy i ostatni raz w życiu pokazał się odważnym. — Makryn sam uciekając, dowiedziawszy się o zabiciu syna, zeskoczył z wozu i ramię złamał — głowę mu ucięli, zanieśli ją Heliogabalowi. — Odtąd poczynają się dnie jego panowania, czyli ciągle marzenie, jakby się nudzić. —

I żeby się nie nudzić, Halgah-Baala sprowadził do Rzymu — do jego świątyni kazał zanieść wszystkich innych Bogów, bohaterów, palladium trojańskie, Vestę i puklerze Numy — z nich porobił słuźalców, urzędników, prokonsulów i nałożnice Bogowi swemu — potem szukał mu żony. — Palladę Ateńską dał mu zrazu, potem ją rozwiódł i z Kartagi Venerę sprowadził — ta została.

I żeby się nie nudzić, jeździł wozami z Sycylji, trzymał fletniarzy z Egium, kucharzy z Elidy, piekarzy z Aten; kobiercami

libijskimi zaścielał posadzki, kadził woniami z Syrii, posyłał po gołębie do Cypru, po perły do Lydyi, po konie do wyspy Melos, po ostrygi do przylądku Pilos, po ryby do Hellespontu, po raki do Minturu, po gruszki do Eubei, po śliwki do Damaszku, po winograd do Rhodu, po pomarańcze do Persyi, po cedraty do Palmiry, po granaty do Antiochji, po daktyle do Fenicji, po migdały do Naxos, po wino z Tasos woniejące jabłkami, i po wino z Saprias rozlane wonią fijołek, róż i hijacyntów.

I żeby się nie nudzić, zaprzęgał do wozu swego wielbłądy, lwy, słonie — nosił długą szatę medyjską zamiast krótkiej rzymskiej tuniki, z wielkiem zgorszeniem Rzymianin nosił djadema na czole wewnątrz pałacu, bo nie śmiał tak występować przed ludem, nosił konturny z drogich kamieni. — Nigdy dwa razy nie wdział tej samej sukni, ni obuwia, ni pierścienia tego samego — pływał w ogromnych wannach marmurowych, w wodzie zaprawionej szafranem i najdroższymi woniami — spał na łożach srebrnych, na puchu labędzim lub kuropatwim — pijał z czar kryształowych, bursztynowych, onyxowych lub złotych — za każdym daniem odmieniał wieniec na głowie — podczas pierwszego nosił wieniec róż — podczas drugiego wieniec z fijołek, na trzecie kładł mirtowy, na czwarte narcysowy, na piąte bluszczowy, na szóste wieniec z paparysu i róż splecionych — na siódme wieniec z lotusów aleksandryjskich.

I żeby się nie nudzić kazał sobie podawać grzebienie wyrwane żywym jeszcze kogutom — języki pawie i słowicze — muszczki z kwiczołów i kuropatw, głowy z bażantów, kanarków i papug — przed stąpającym w portykach pałacu lub w ogrodach idący niewolnicy rozsypywali róże i piasek srebrny. — Raz kazał przynieść sobie dziesięć tysięcy pająków — inną razą dziesięć tysięcy myszy — to znowu zachciało mu się dziesięciu tysięcy kun i kotów — po odbytych igrzyskach rozrzucał między ludem zgromadzonym żmije i bazyлизki. — Parasytom swoim posyłał w darze naczynia najdroższe, zalutowane; pełne ropuch i niedźwiadków. Spraszał ich na biesiady do sal których podniebia się roztwierały i wypuszczały deszcz z fiołek, róż i innych kwiatów — z razu rokosznie się rozciągali pod temi spadającymi wieńcami — ale deszcz nie ustawał — coraz więcej przy-

bywało kwiatów, sala się przepelniała i nazajutrz wyciągano ich ciała przyduszone pod małgorzatkami i liliami — czasem znowu kazał wprowadzać do sali lwów i tygrysów ulaskawionych — i napawał się trwogą senatorów, konsulów, dworzan biesiadujących.

I żeby się nie nudzić spróbował jak się jeździ po cyrku za pieniądze — został powoźnikiem i zbierał sztuki srebra rzucone przez widzów — potem został płatnym muzykantem. — Zdaje się, że jak ojciec jego Karakalla namiętnie naśladować chciał Aleksandra, tak on sobie za wzór obrał był Nerona — tego Nerona, który przebijając się w jaskini jakiejś kampanii rzymskiej, wykrzykiwał do towarzyszków: — Patrzenie, jak artysta umiera! —

I żeby się nie nudzić, zamordować kazał Pomponiusa Bassusa — żonę jego młodą oderwał od ciała które oblewała łzami i do swego łoża wprowadził — nazajutrz o świcie odesłał ją, już znudzony.

Dalej próbował czy też Vestalka święta, niepokolana, nie potrafi go zabawić, rozerwać. — Nikt nigdy w całej starożytności na Vestalkę się nie targnął — dla tego ten pomysł nowszym się mu wydał i przyjemniejszym — sam Akwilią Severę porwał z przed ognia Vesty — nazajutrz odesłał ją, już znudzony. Wyprawił potem naumachią czyli igrzyska wodne, wśród cyrku na jeziorze z wina i wody południowej. —

Siostra Scemidy Mammea odziedziczyła po matce silną wolę, bystry rozum i żądę wywyższenia się. — Jako Scemis, wdawa się była we wszystkie czary, symbola rozwiązłości wschodnie, tak Mammea oddawna poszła była drogą idealizmu, filozofji neoplatońskiej i nauk chrześcijańskich — syna swego Aleksjana obznajomiła z niemi. — Aleksjanus miał w swoim *saerarium* (kaplicy) posągi Pytagora, Abrahama, Orfeusza, Apolloniusa z Tyjana, i Chrystusa — żył tylko owocami i nabiałem — wiersze sam pisał, i czytał nieustannie Senekę, Virgiliusa i Cycerona. — Mammea wmówiła w siostrzeńca, że najprzyzwoiciej jemu jako arcykapłanowi słońca, by trudził się tylko nadziemskimi czarami, a ziemskie sprawy, nędzne i mierne poruczył komuś. — Helio-gabal zrazu uwierzył, uznał tę radę za godną siebie i przybrał do spraw ziemskich Aleksyna, którego zaraz mianował Aleksandrem Severem, Cezarem i konsulem — wtedy zaczęła się z po-

czątku ukryta, potem otwarta walka w pałacu. — Heliogabal chciał Aleksandra na swój obraz przetworzyć — a że Aleksander mu się nie dawał, rozwściekił się na jego matkę i nauczycieli. — Retora Sylwina wskazał na śmierć. — Ulpiana, sławnego prawnika wygnał. — Mammeę otoczył szpiegami — wreszcie siostrzeńca kilka razy otruć usiłował — ale nie udało mu się, bo czynne oko matki go strzegło. — Wtedy kazał senatorom, by tytuł Cezara odebrali Aleksandrowi, a pretorianom, by jego posągi zrzucili. — Senatorowie zbledli, nie śmieli usłuchać. — Pretorianie podbudzeni i przekupieni przez Mammeę rokosz podnieśli. — Heliogabal ten sam, który przed trzema latami na czele legji Emezkiej wyzwał był potęgę Makryna i dzielnie sobie poczynał na polu bitwy bez zbroi, bez hełmu, prawie nagi, z jednym tylko mieczem w rękę — teraz uniżony, struchlały, udał się do obozu za miastem i obiecał szanować i poważać brata Aleksandra. — Wróciwszy zaczął rozmyślać jakby się jego pozbyć najrychlej. — Po jakimś czasie dla wywiedzenia się ducha pretorianów, kazał rozsiać fałszywą wieść śmierci Aleksandra. — Znowu bunt się wszczął w obozie — znowu cesarz musiał brata żywego i całego pokazać żołnierzom, by ich uspokoić — ale kiedy stojąc na wozie przemawiał do nich oparty na Aleksandrze, usłyszał zewsząd wznoszące się groźby. — Zdjęty gniewem każe chwycić winnych zbrodni zelżonego majestatu — zamieszanie się powiększa — z jednej strony Mammea zagrzewa żołnierzy — z drugiej Scemis obiecuje im nagrody — ale Heliogabal ogarnięty strachem i przecuciem śmierci ucieka — w tej jednej chwili w życiu się nie nudził. — Stronników jego wyrzynają pretorianie. — Aleksander ogłoszony imperatorem.

Wieszczbiarze syryjscy oddawna byli zgadli, że ich arcykapłan niezwyčajną śmiercią zakończy życie — przepowiadali mu więc zawsze że sam się zabije — do tego on był — sobie różne przygotował narzędzia — czary zatrute, klingi zatrute, podwórzec brukowany u stóp wieży marmurowej drogiemi kamieniami. — On chciał sobie śmierć przypawić jako przypawiał biesiady, rozpusty, igrzyska — ale w chwili śmierci, w jej jedynej chwili mocnego czucia, nie nudy, zapomniał o wymarzonych przygotowaniach lubieżnościach zgonu. — Z matką po prostu, bez dalszej analizy, skrył się w najodleglejszych tajnikach pa-

lacu — w miejscach najnieprzystojniejszych Cezarowi rzymskiemu, o których nawet Neron nie był nigdy pomyślał w ostatecznym niebezpieczeństwie. — Tam pretorianie go wykryli i zabili — głowę mu ucieli, ciało jego i matki wleczone po ulicach miasta w końcu wepchnięto do kloaki, ale że otwór był ciasny, wyciągnięto nazad i do Tybru rzucono. — Ostatnie przezwisko Heliogabala było Tiberinus.

W nim uczłowieczyły się myty wschodnie. symbola pozostałe same w całej sprośności kształtów swoich, symbola głębokich prawdziwych myśli, tylko ze niepamiętanych, zatraczonych — uczłowieczyły się, by tem pewniej, jaśniej zniknąć z powierzchni ziemi. — Symbol wschodni mógł być tylko takowy. — Myśl najczystsza nie mogła na wschodzie przybrać formy czystej, bo jak tylko wcielała się, wpadła do prawa natury tamtejszej, natury pochłaniającej wolność ludzką — nęcającej do rozkoszy, porywającej do zapomnienia, zaprzeczającej ducha przez własną pięknosć i siłę swoją. — Zwykle historycy z pogardą mijają krótkie dni Heliogabala. — Jako indywiduum, on jest jej godny ale nie jako faktum historyczne. — Od niego albowiem zwycięstwo Chrystusa co dzień staje się pewniejszym — przez niego pogaństwo zeszło na najniższy szczebel — przez niego ukazało się oczywiście: że ono spruchniało, że owocu już żadnego nie wyda — bo w całej potędze, w całej rozległości swojej się w nim objawiło — nadaremnie. — Heliogabal we wszystkim co czynił i wyobrażał, jest starością i śmiercią — jest brakiem ducha — jest materją w gniciu. — Opowiadają, że był nad miarę urodziwym — było to materji a *Lightning before Death*, jak Szekspir mówi.

Str. 19. wiersz 10. Że senat przezwał cię już boską.

Po łacinie *Divus* — zwyczajnie wyrokiem senatu Imperatorowie i żony ich stawiali się bogami — stawiano im posągi — świątynie. — Dla tego tylu chrześcian ginęło, że nie chcieli rzucać kadzidła na ołtarz palący się przed obrazami Cezarów. — Antionus, ulubieniec Adriana po śmierci zapisany został w register Bogów za senatuskonsultem — i za wolą Adriana. —

Strona 25. wiersz 29. Jam August, Antonin, Aureliusz.

Imiona wielkich Cezarów policzonych po zgonie między Bogi, stawały się tytułami dla ich następców lub książąt z rodu cesarskiego. — I tak cesarze mianowali na Augustów, na Cezarów. — Tak Heliogabal przybrałszy jako honoryfikcyjne tytuły imiona najlepszych cesarzów zwał się Antoniem, Aureliuszem, i t. d.

Strona 27. wiersz 20. Evoe Bachche!

Wykrzyknik używany przy tańcach świąt Bacchusowych — oznaczający wesołość i komiczność.

Strona 28. wiersz 7. Me hercule!

Przez Herkulesa — wykrzyknik używany od Rzymian.

Strona 30. wiersz 1. Peristyl.

Peristyl był to salon starożytnych. — Domy ich po większej części składały się z ciągu komnat idących jedna za drugimi tak, że stanąwszy w Vestibulum, t. j. u wejścia, najczęściej ciasnego, można było od razu przejrzeć aż do viridarium czyli ogrodu zwykle kończącego dom z drugiej strony. — Zaraz po vestibulum następowało Atrium czyli sień, w której niewolnicy siedzieli i goście podrzędni przyjmowani byli. — To vestibulum, pośrodku którego było impluvium czyli sadzaweczka okrągła lub kwadratowa na zbieranie się wody deszczowej, otoczone było małemi izdebkami sypialnemi — przez otwór nad Impluvium wchodziło światło dzienne. — Dalej było tablinum czyli przydłużna sala, wystrojona w kosztowności domu — za nią dopiero Peristyl, kwadratowa przestrzeń otoczona zwykle kolumnami, zwykle bez dachu. przeznaczona przechadce i rozmowom — potem następował Triclinium czyli pokój jadalny, połączony z viridarium lub często w samym Viridarium, gdzie stały posągi, kwiaty, krzewy. — Ten cały ciąg komnat był na oko jako jeden korytarz długi, urozmaicony tylko występującemi to rozstępującemi się ścianami, posągami, freskami, ołtarzami Bogów domowych w Vestibulum, Bogów innych w Peristylu i w Viridarium. — Izdebki, w których mieszkali niewolnicy, w których spali panowie, kuchnia, spiżarnia, i t. d. były tylko przydatkowemi ciupkami do tego korytarza

głównego, z obu stron ciągnącemi się przy nim. — Rozumie się, że w Rzymie i że w palacu Cezarów wszystkie części domu na-
były większych proporcji — ale w ruinach Pompei ten tylko
korytarz główny przeznaczony na publiczność domowego życia,
t. j. na przyjmowanie gości, na biesiadę, i t. d. jest obszernym i
pięknym, reszta złożona z pokojów ciasnych, niskich, słowem
z ciupek.

Str. 34. w. 36. Wielkiego Septy ma.

Septymiesz Severus, którego żona Julia siostra Moesy, matki
Mammei i Scemidy. — Po Septymieszu nastąpił syn Jego Ka-
rakalla, po nim Makryn, prefekt straży pretoriańskiej, a dopiero
potem Heliogabal.

Str. 35. w. 19. Do Cyrku Flaviana.

Dzisiejsze koliseum wystawione przez Flawiusa Vespaziana.

Str. 37. w. 41. Czyż boska Sofia —

Sofia, σοφεια mądrość po grecku, ztąd φιλοσοφεια miłość
mądrości.

Str. 38. w. 27. Przez Bogi many Antonina —

Bogi many, czyli cienie, duch czyjś po śmierci. — Na gro-
bach nie pisali starożytny: poświęcone temu lub owemu — ale:
Bogom manom tego lub owego. — n. p.

Diis manibus
Pueri Septembri
onis. anor. XII. qui
Antipoli in Theatro
Biduo saltavit et
placuit —

Napis znaleziony w Antibes; w nim cała nieużytość świata
starożytnego rzymskiego się odbiła — dla tegośmy mu tutaj
dali pierwszeństwo.

Str. 40. w. 7. Sztuką Danaów.

Timeo Danaos et dona ferentes — Virg.

Str. 41. w. 9. Lucius Mummius nic nam nie zostawił.

Lucius Mummius zabił Grecyę zburzeniem Koryntu.

Str. 32. w. 41. Dulces moriens reminiscitur Argos.

Cytacya z Eneidy: «Niech słodkie umierając wspomina Argos.»

Str. 43. w. 4. W Termach Karakalli.

Były to kąpiele wystawione przez Karakallę. Gmach, którego gruzy dzisiaj jeszcze są gmachem. U starożytnych kąpiel nie była rzeczą tak krótką i mało znaczącą jak u nas. Najśłodsze godziny życia przepędzali w Termach. Były to budynki pełne portyków, ogrodów, bibliotek, przyozdobione arcydziełami sztuk pięknych. Tam wyszedłszy z wann marmurowych, namaściwszy się najdroższymi kadzidłami, przechadzali się lub słuchali filozofów, lub grali w różne gry, ćwiczyli się w gimnastyce. — Czasem w Termach bywały Teatra i Cyrki.

Str. 43. w. 14. Chyba go Tyresias w piekle zrozumie.

Tyresias sławny wieszczbiarz, syn nimfy Charycloe — oślepiiony przez Junonę, darem prorocstwa obdarzony przez Jowisza. Do niego, do piekieł, zstępowali bohaterowie, ciekawi przyszłości i objawień o tajemnicach życia.

Str. 44. w. 3. Prawdziwego Krotoniatę.

Mieszkańcy Krotony słynęli z siły i zręczności w zapasach.

Str. 44. w. 26. Jacta est alea.

«Kość rzucona!» słowa Juliusa Cezara przesadzającego Rubikon.

Str. 45. w. 6. Vae capiti ejus.

Biada głowie jego — zwykle przekleństwo u Rzymian.

Str. 47. w. 18. Proh! Jupiter.

«Ach! Jowiszu» — zwykły wykrzyknik u Rzymian.

Str. 47. w. 29. Rąk potrząsających Tyrsami.

Tyrsy, święte laski oplecione bluszczem, zakończone gronem winnem, niesione w igrzyskach i świętach Bachusa. Ukazanie się tego widma Aleksandra wielkiego znane jest w historii.

Str. 47. w. 36. Podaj mi Falernu.

Falernum sławne wino u Rzymian.

Str. 48. w. 2. Dii avertite omen.

Poświęcony sposób mówienia u starożytnych dla odwrócenia zlej wróżby.

Str. 48. w. 4. Alboż wyszło ci z pamięci, że syn wielkiego Septymiusza (Karakalla) i t. d.

Ta cała mowa Irydiona zasadza się na szalonej miłości, którą powziął był Karakalla ku pamięci Aleksandra W. Karakalla był to człowiek bardzo mierny, o żelaznych kapryсах niewoli, niezmiernie chępliwym, pełnym drobnej miłości własnej, cierpiący niejako pomięszanie mózgu, zresztą odważny żołnierz. Koniecznie mu się wydało że jest bohaterem i że do ogromnych celów stworzyło go Fatum. Postać która najdzielniejszym bohaterstwa blaskiem świeciła nad światem Greckim i Rzymskim, postać Aleksandra W. obudziła w nim żądzę takiej samej chwały — we wszystkim go naśladował. Dworzanie twierdzili że podobny jemu jak kropla do kropli — posprawiał sobie podobne zbroje, helmy, szablę — głowę pochyloną na wzór jego nosił — ale że nie mógł być zdobywcą i gieniuszem pocieszał się mustrami legionów — a że nie mógł zdobyć Tyru ni Babilonu — pojechał do Aleksandryi, miasta swojego własnego i tam w jednym dniu wyrzwał połowę mieszkańców, udając przed sobą samym że gdzieś zwycięża i morduje jak niegdyś król macedoński. Nareszcie tyle kłamał sobie samemu, że uwierzył pod koniec dni swoich, że w rzeczy samej Metempsychosą duch Macedończyka wszedł w niego i zupełnie się ujednoczył z Aleksandrem Wielkim.

Str. 49. w. 20. Święty zamek.

Kapitol — arx sacra, aeterna.

Str. 49. w. 31. Gieniusz miasta.

Każde miasto, każde państwo, w pogaństwie miało Gieniusza swego, Ducha opiekuńczego, niby Anioła Stróża.

Str. 50. w. 31. Panowie Amfiteatru.

Tak nazywano motloch rzymski.

Str. 51. w. 15. Io Triumphe!

Wykrzyknik używany w pieniach do Bachusa.

Str. 51. w. 33. Ich fibule.

Fibula, sprzączka na którą sprzągała się Toga lub Tunika na ramieniu.

Str. 52. w. 33. Salve Eternum.

Formuła używana przy pogrzebach, pieśń przed zanieśieniem ciała na stos — tak samo jakby kto po polsku powiedział. «Ty wprzód nad nimi wyrzeczysz — Wieczny odpoczynek.»

Str. 54. w. 35. Vale.

Formuła pożegnania u Rzymian, «Bądź zdrow.»

Str. 55. w. 35. Człowiek nowy.

U Rzymian homo novus zwał się plebejanin, co dostał się do urzędu, lub człowiek z miasta obcego nie mającego prawa obywatelstwa; co przyszedł do Rzymu i urząd pozyskał. Cycero był homo novus — (un parvenu).

Str. 57. w. 11. Skonał w Spoliarium.

Spoliarium nazywało się miejsce obok każdego Amfiteatru, do którego rzucano konających Gladiatorów, z ran odniesionych na Arenie.

Str. 59. w. 34. Alma Venus.

Alma przymiotnik zwykły Cybeli i Venery, znaczy wszytkorodząca.

PRZYPISKI DO CZĘŚCI DRUGIEJ IRYDIONA.

Str. 65. w. 15. Pod Mausoleum Cecylii Metelli.

Zdaje się że obok tego pomnika wystawionego żonie Triumvira Krassusa, było ukryte miejsce do katakomb. — Dotąd stoi obok kościół Św. Sebastjana w Kampanii rzymskiej, od którego zchodzi się w tę resztę katakomb, po której chodzić można.

Str. 66. w. 12. Na forum romanum.

Tak zwał się plac przed Kapitołem, na którym stały mownice

i kurye, czyli trybunały, w których odbywały się sądy, a czasem narady Senatu. — Od tego Forum wstępowały schody aż na szczyty kapitolńskiego wzgórza. — Tam na lewej wyniosłości, nad skałą tarpejską, stał kościół Jowisza Feretryjskiego, na prawej zaś Jowisza Kapitolńskiego. — Via sacra, czyli święta droga tryumfujących, szła na Forum przez łuk Fabiana, wychodziła zaś z niego, by już iść w górę na Kapitol, przez łuk Septyma Severa. — Naprzeciwko Kapitolu z drugiej strony Forum, stała świątynia i klasztor Vestalek, bliżej zaś stóp wzgórza Kapitolńskiego, świątynia Fortuny i Zgody — na samym zaś środku, na czystym miejscu była mównica. — Kształt całego forum był równoległo-boczny. — Bogi jego wszędzie zasute były rzędami kolumn, ciągnącemi się przed świątyniami i bazylikami. — Widok ten musiał być nadewszystko uroczystym i wspaniałym. — W architekturze starożytnej nie było uniesienia Ducha odbijającego się w gotyckiej, ale za to, najwyższa powaga ciała wszędzie panowała.

Starożytny Patrycjusz niewzruszony, z zarzuconą togą, odpoczywający po ofierze złożonej Bogom jest obrazem Architektury starożytnej. — W niej każda cząstka opisana ograniczona. — Idea miary i piękności, przeniesiona do okręku zupełnie zawartego. — Niewzruszoność i jedność są zatem jej piętnami, kiedy w gotyckiej ruch prawdziwy, różnaitość i nieskończoność, żyją. — Możliwoby powiedzieć, że architektura starożytna, jest duchem zupełnie wcielonym w rozmiary, w materję, a gotycka materją pracującą, by się zidealizować, by zduchownieć. — Dla tego też nie ma kościoła gotyckiego prawie, którego by budowa zupełnie skończoną była, a nie było kościoła pogańskiego, któryby nie był zupełnie dokończonym w każdej części swojej. — Ztąd pochodzi, że architektura pogańska, przenosi o wiele chrześcijańską pod względem sztuki, chrześcijańska zaś pogańską pod względem myśli, Ducha. —

Str. 66. w. 18. Że w tych smętarzach śpią goście tylko.

Napis był na jednym z wejść do katakomb: — Caeterium est domus, in qua hospites dormire solunt. — Smętarz jest domem w którym spać zwykli goście.

Str. 66. w. 37. To Lykański Orfeusz.

W katakombach pełno było rzeźb i malowideł symbolicznych po ścianach i na sarkofagach. — W początkach chrześcijaństwa, sztuka była całkiem symboliczną. I tak Orfeusz, pierwszy mędrzec, poeta, założyciel towarzystwa, u pogan wyrażał Chrystusa — postać Noego, Izaaka, Józefa patriarchy, to samo znaczyły. — Złoty świecznik o trzech ramionach, wyrażał Chrystusa. — Latorośl winna to samo. — Lira była symbolem krzyża — palma zwycięstwa niebieskiego — krzyż z drogiemi kamieniami, otoczony wieńcami róż, wiszącymi na złotych łańcuszkach, dwiema literami greckimi alfa i omega, znaczył Boga, koniec i początek wszystkiego. — Paw był symbolem zmartwychwstania a czasem znowu szatana. — Oliwne drzewo było hieroglifem wieczności i pokoju. — Cyprys i sosna śmierci — kotwica zbawienia. — Ryby ludzi — z powodu słów Chrystusowych do Apostołów: *Faciam vos piscatores hominum.* — Delfin nadziei i umarłych, co z tego świata w lepsze strony się udali. — Samson z wyrwanemi bramami na barkach znaczył Chrystusa na tej zasadzie: *Tollit portas civitatis id est Inferni et removit mortis imperium.* Tu *civitas* raz znaczy czyn Samsona realny, drugi raz oznacza świat starożytny cały, który był tylko składem *civitatum* miast (*citée*), czyli egoizmów zamkniętych, w sobie najsrożej uciskających. — W rzeczy samej, Chrystus zadał śmierć składowi temu, porządkowi całego świata starożytnego, powołując ludzi do braterstwa i wolności. — To dowodzi, że i Chrześcijanie pierwszych wieków już czuli swoje powołanie polityczne. — Dalej jeleni znaczy Apostołów, kogut czujność pasterską — a krzyż zawsze składał się z czterech gatunków drzewa — z cyprysu, cedru, palmy i oliwy.

Str. 67. w. 22. Przynoszą mu Prochristum.

Prochristum była to fiaszeczka zawierająca trochę krwi męczennika, złożona na jego piersiach w trumnie, z wyróżnieniami literami: p. Ch. co znaczyło za Chrystusa. — Dotąd w katakombach po takowym znaku poznają ciała męczenników, gdyż nicraz żadnego napisu nie ma przy nich ani na grobie.

Str. 69. w. 30. Apage.

Znaczy precz — używana formuła na odstraszenie Szatana.

Str. 70. w. 17. Czyś nie słyszała od wielu świętych, że już bliskie czasy.

Od śmierci Chrystusa aż do połowy prawie średnich wieków, trwała w chrześcijaństwie posępna wiara, że świat bliski ciągle końca i sądu ostatniego. — Im dalej w lata, im dalej od Chrystusa, tem bardziej słabnęła ta wiara, lub odkładaną była na odleglejsze czasy — ale w pierwszych wiekach Chrześcianie, osobliwie mistycy, pustelnicy, anachorety, spodziewali się lada dzień powrotu Jezusa. Osobliwie na wschodzie, w Egipcie panowało to oczekiwanie. — Rzymski kościół od samego początku swego, był raczej praktycznym niż idealnym, raczej starającym się wcielić w kształt i potęgę, niż gotującym się na rozwzielenie się zupełne z wszelakiego kształtu; ale i na zachodzie jednak wielu wierzyło w bliskie ukazanie się Chrystusa. — Najbardziej do ustalenia tej wiary przyłożyły się natchnienia świętego Jana na wyspie Patmos, zawarte w znanej księdze Apocalypsis. — W pierwszych i następnych wiekach mnóstwo było podobnych ksiąg objawień, widzeń. — Niejeden męczennik konając widział otwarte niebiosy, przepowiadał koniec rzymskiej potęgi, a zatem świata, a zatem z niebios zstąpienie Chrystusa. — Bardzo pomięszane były i zawikłane pod tym względem domysły, nadzieje, życzenia pierwszych Chrześcian. — Jedni sądzili, że wróci Chrystus, i że na ziemi zacznie się jego panowanie — tę wiarę nazwano później wiarą w Millenium; bo później przeniesiono ostateczny termin sądu na rok tysięczny. — W rewolucyi angielskiej siedemnastego wieku, znów znalazła się sekta polityczna i religijna, która tę wiarę wskrzesiła. — Drudzy myśleli że w rzeczy samej próba materialna się zakończy, że ziemia zniknie z przestworów, wraz z Rzymem — że umarli powstaną, i że się objawi w przestrzeniach obiecana przez świętego Jana nowa Hierozolima. — Nic dziwnego w tem wszystkim nie było. — Naprzód na niektórych słowach samego Chrystusa przed śmiercią, mogła zasadzać się ta wiara. — Dalej ludzie przyjmowani na łono Chrześcijaństwa w pierwszych czasach, byli jeszcze bardzo materialnie wszystko sobie wyobrażający, były to po większej części wyobraźnie rozgorzałe cierpiące, rozdrażnione poniżeniem i niesprawiedliwością świata, pragnące by wszystko i ludzie i natura przetworzonymi zostali.

— Codziennie powtarzano im formuły chrześcijańskie — że świat ten materji jest tylko złudzeniem, że życie ludzkie jest cieniem znikomym — że jest inny świat duchowny, wyższy — codziennie widzieli ginących z nadludzką odwagą, by do tego drugiego się dostać; i jakże nie było im czasem pomyśleć, że ten drugi wkrótce zejdzie, zniszczy niższy i sam jeden zostanie. — Oni czuli się powołanymi do obalenia świata realnego, prześladowającego ich. — Oni jeszcze nie wiedzieli prawdy moralnej, że myśl zwycięża zawsze materję, jak kropla co kamień przedraża po wiekach wielu — sądzili więc, nie widząc w samych sobie żadnej potęgi świeckiej, że im Chrystus i Anieli przyjdą w pomoc, że w dniu jednym runie Kapitol i zarazem rozpadnie się ziemia, bo wiarą także równie silną, zakorzenioną w świecie ówczesnym było, że Roma stoi dopóki świat stoi. — Wreszcie wspólnem to jest przesądem wszystkim ludziom, że nie jasno pojmują jakoby mógł świat żyć dalej po skonaniu tego w czem wzrosli, czego sami częścią byli. — Państwo rzymskie oczewiście wtedy zbliżało się do śmierci. — Co potem nastąpić miało, nie mogło wcisnąć się w mózgi ludzi żyjących wśród państwa tego — a zatem bez dalszych domysłów świat cały na śmierć skazywali, błędnem przecuciem. — Zdaje mi się jednak, że to było tylko wiarą ludu, ale nigdy naczelników Chrześcijaństwa. — Biskupi Romy przeczuwali, że nauka Chrystusa wcieli się jeszcze na ziemi w jedynowładztwo materialne. — Na tych to podaniach o końcu świata, o zmartwychwstaniu świętych o zniszczeniu Romy zasadza się spisek Irydiona w katakombach. —

Str. 71. w. 1. Trawa nie porośnie gdzie mój koń przeleci.

Słowa Attyli.

Str. 72. w. 21. Wyzwoleniec czytał mu Fedona.

Dialog Fedona o nieśmiertelności duszy, dzieło Platona, które Kato odczytał przed zabiciem się w Utyce.

Str. 80. w. 27. Cenotafy po ścianach.

Cenotaf nadgrobek po grecku.

Str. 86. w. 33. Przed laty Herman.

Po teutońsku Herman, po rzymsku Arminius, ten sam który

wyrznął Legie rzymskie pod dowództwem Varrusa. Znany jest żal Augusta i słowa: Varrusie, wróć mi Legiony moje!

PRZYPISKI DO TRZECIEJ CZĘŚCI IRYDIONA.

Str. 94. w. 8. Irydion dobywa tabliczek i Stylem pisze na nich.

Starożytni nosili zawsze przy sobie tabliczki polane cieńszą warstwą wosku, po której pisali ostrym metalowym piórem zwanym Stylus. Ten Stylus zatknięty mieli zwykle u przepaski tuniki — używali go czasem miasto puginału. Większa część spiskowych którzy zabili Cezara, przyszła do senatu uzbrojona tylko w Stylusy. Brutus pchnął go Stylusem.

Str. 94. w. 13. Byśmy go na krzyżu rozbili.

Najohydniejszą śmiercią u starożytnych była śmierć na krzyżu, to samo co u nas na szubienicy.

Str. 95. w. 7. Aż po Hyrkańskie Syrty i pustynie Jazygów.

Hyrkania, była nad brzegiem Kaspijskiego morza, blisko Partyi. — Pustynie Jazygów między Dnieprem a Donem.

Str. 95. w 33. Przecię Hekatombę.

Hekatomba z Greckiego, ofiara z stu byków złożona — w przenośni każda wielka ofiara.

Str. 97. w. 23. Zemsta jest rokoszą Bogów.

Stare greckie przysłowie.

Str. 100. w. 34. Od bram Kuryi.

Kuria każdy budynek w którym sąd lub senat się zbierał.

Str. 103. w. 26. Eheu!

Po łacinie Niestety!

Str. 107 w. 2. Hesperus.

Gwiazda wieczorna Venera.

Str. 109. w. 8. Połać zdrojem Nafty.

Nafta gatunek oleju ziemnego, palnego.

Str. 110. w. 2. Zwycięstwem pod Zamą.

Pod Zamą Scypion Afrykański zbił na głowę Hannibala.

Str. 110. w. 16. Całun z Amiantu dla popiołów Romy.

Żeby rozeznaczyć po spaleniu na stosie popioły ciała od popiołów stosu, starożytni zwykli trupy obwijać w koszule utkane z włókien kamienia zwanego Asbest. — Takie włókna prząść się dają i zowią się Amiantem.

Str. 111. w. 2. Manipule Severa.

Legia rzymska we trzy rzędy ułożona stawała na pobojuwisku. Pierwszy rząd składali Hastati, drugi Principes, trzeci Triarii. Każdy rząd dzielił się na dwanaście Manipulów. — Dwie Manipule stanowiły Centurię, której przełożony zwał się Centurion, a trzy Manipule składały Kohortę. W Manipuli bywało najmniej po sześćdziesiąt, najwięcej po sto dwadzieścia żołnierzy.

Str. 112. w. 33. Włosy Bereniki.

Konstellacya z siedmiu gwiazd złożona, tak nazwana od siostry i żony zarazem Ptolomeusza Evergeta, króla Egipskiego, która przyrzekła włosy swoje uciąć i zawiesić w świątyni Marsa, za powrotem męża z wyprawy do Azji. Dotrzymała obietnicy — ale włosy tej samej nocy zniknęły. Conon z Samos nadworny astronom przysiągł wtedy, że wyobserwował jako Zefir za rozkazem Venery wniósł je do niebios — i nazwał siedm gwiazd świecących obok ogona Lwa włosami Bereniki.

Str. 113. w. 33. Ludowi Rzymskiemu przypomnę Brennusa.

Brennus, wódz Gallów, który zdobywszy miasto i senat wyrznąwszy, kiedy okup żądany brał od Rzymian, rzucił jeszcze do szali miecz swój z tem słowem sławnem: *Vae victis* — biada zwyciężonym.

Str. 114. w. 17. Potrójna Hekato.

Dla tego potrójna, że nazywała się Księżycem w niebiesiech,

Dianą na ziemi, Prozerpiną lub Hekataą w piekle. Epitet jej zawsze jest: *Dea feralis* — zgubna bogini.

Str. 114. w. 17. Jeżeli jesteś moim złym Geniuszem.

Było wiarą ustaloną pomiędzy starożytnymi, iż każdy z nich ma dobrego i złego Geniusza. Brutusowi ukazał się jego zły Geniusz przed bitwą pod Filippami.

Str. 123. w. 2. Darujcie mi Kwirity.

Quirites, imię Rzymian od pocisku zwanego Quiris.

Str. 124. w. 19. *Sit tibi terra levis*.

Formuła, którą umarłych żegnali Rzymianie odchodząc od stosu lub od urny. — Zwykle nawet te słowa pisano na każdym nagrobku: Ziemia niechaj ci lekką będzie.

Str. 124. w. 21. Wśród tych Kolumbariów.

Pomnik dla uboższych ludzi podobny z kształtu do gołębnika z framugami, w których stały urny, nazywał się Columbarium.

PRZYPISKI DO CZĘŚCI CZWARTEJ IRYDIONA.

Str. 132. w. 31. Staął u progów Attala.

Znaną jest rzeczą, że Senat Rzymski wydzieliwszy najpiękniejsze prowincje zdobyte na Antiochu wielkim, Attalowi, królowi Pergamu, kiedy tenże Attal umierał bezpotomnie, kazal je sobie zapisać i darować.

Str. 132. w. 34. Podniósł się wśród Isthmijskich igrzysk.

Przed wdaniem się jeszcze czynnem i zdobywczem do spraw greckich, poseł rzymski oświadczył publicznie na igrzyskach isthmijskich przed zgromadzonymi mieszkańcami wszystkich miast greckich, że senat i lud rzymski wzięwszy na uwagę o ile niesprawiedliwe są żądania króla macedońskiego i o ile piękną i pożyteczną jest niepodległość Grecyi, obiecują jej bronić wszelkimi silami przeciwko napadom tegoż króla.

Str. 133. w 7. Syn Latony.

Phoebus Apollo.

Str. 133. w. 4. Bite drogi Aedyłów.

Aedyle, urzędnicy przełożeni nad budowaniem publicznych gmachów, dróg, mostów, wodociągów, i t. d.

Str. 134. w. 1. Od Gadesu po ultima Thule.

Gades, Kadyx dzisiaj. — Thule Islandya — prawie zawsze starożytni przydawali do niej ten przymiotnik ultima ostatnia, bo ją uważali za najodleglejszy kraniec ziemi.

Str. 134. w. 3. Stoików obłąkane cienie —

Ostatnim wyrazem szkoły greckiej Platońskiej, byli przy kończącym się starożytnym świecie Stoicy. — Idealizm starożytny w nich się wcielił tak, jak materializm u Epikurejczyków. — Cnota stoika była wielką ale niewzruszoną. — Umieli umierać ale żyć nie umieli. — Pierwszą ich zasadą było słowa *απειρον* — wstrzymuj się. — Wstrzymywali się więc od wszystkiego, smutnym wzrokiem spoglądali na świat obumierający, ale nie szli go ratować. — Zawarli w sobie, korzący się tylko przed sądem dumy własnej, którą nazywali sumieniem, wyszli na samolubów moralnych, pełnych nadzwyczajnej egoistycznej godności, ale niezwiązanych z sobą, nie natchnionych iskrą wspólnego, towarzyskiego życia. — Ich myśli i przepisy krążyły ciągle w idealnym świecie, nigdy nie dały się przystosować do ziemskiego — i dla tego też zostały nam tylko podania o ich sławnych zgonach, nie zaś o ich życiu. — Marek Aureliusz Cesarz tchnął ich najczystszy najpiękniejszy duchem. — Jego maksymy przez długi czas pocieszały niejako ten świat codziennie bardziej się rozrabiający w rozprężeniu śmierci — ale i one nie utworzyły wielkiego, żyjącego. — Systema stoickie możnaby nazwać testamentem, w którym konający nic nie zapisuje dziedzicom swoim, prócz kilku smutnych uwag nad życiem. — Pierwsi Stoicy wprowadzili na świat chorobę zwaną spleen, odziedziczoną przez Anglików, której ostatecznym przesileniem jest samobójstwo.

Str. 134. w. 13. Jako ojciec rodziny, dzieci, jak Patryciusz Plebejan —

Wyobrażenia prawnika rzymskiego. —

Str. 134. w. 23. Jak w lasach Hercyńskich zbladłe klękają pod nożem ofiary.

W lasach hercyńskich Herman czyli Arminius, otoczył legie Varrusa i pierwszych naczelników zabił w ofierze Bogom Germańskim.

Str. 134. w. 24. Nie lotnym gromem Aleksandra —

Nigdy nie idealnie wyniosłego nie było w dziejach Rzymu — ale za to nikt nigdy na ziemi nie był bardziej realnym, praktycznym. Praktykował Senat Rzymski niesłychane podstępny i podłości od samego początku aż do końca Rzeczypospolitej. — Nieprzyjaciół najczęściej pozbywał się zdradą, (Hannibal, Jugurtha, Sertoriusz, zburzenie Kartagi, Mitrydat,) przyjaciół zaś i sprzymierzeńców oszukiwał na wszystkie sposoby. (Grecya, Azya mniejsza, Pergam, Egipt, Gallia, i t. d.) Wytrwałość w złych losach, wiara że Rzym stać powinien, bo powinien, bezczelność, która się niczego nie wstydziła, sprawiły wielkość tego miasta. — Nigdy Rzymianie nie puścili się na wyprawę młodzieńczą, poetyczną, na wzór Aleksandra wielkiego — nigdy myśl cywilizacyi nie powstała w ich sercu, jak w sercu ucznia Arystotelesa. — Egoizm ciężko-materyalny wiódł ich wszędzie — dla tego nie starali się spajać ludów razem, nie usiłowali ich narodowości połączyć w harmonię, uczynić organicznej całości, ale zagubiali, niszczyli, wytępiali. — Wyroki Senatu rzymskiego są wzorem obludy i nieskończonego świadczenia się Bogów, powtarzania rozmaitych przepisów cnoty, sprawiedliwości, pobożności. — W imieniu sprawiedliwości wyzuwali z własności, kraje wolne zamieniali w prowincye lub królestwa, którym umarli królowie ogłaszali swojemi na zasadzie praw najmniejszej wynalezionych, najbezwstydniej utrzymywanych. — Zarazem przybierali na się wszystkie pozory szlachetności, występowali ciągle niby to w obronie słabych, skrzywdzonych — a potem i skrzywdzonych i krzywdzących ogałali z posiadłości i władzy — układy zawierane przy niepomyślnych okoliczno-

ściach przez wodzów Rzeczypospolitej były tylko igraszką, bo senat zwykle ich nie potwierdzał, tłómacząc się tem, że ów Pretor lub Konsul nie miał dostatecznej władzy, i wydając jego samego za karę. — Potem ciągnął dalej wojnę, korzystając ze straty czasu wyłudzonej na wrogach. — Rzymian potęgą były także frazesa. — Ich posłowie u dworów zagranicznych wciąż kłamali, wciąż opisywali siły swoje z największą bezczelnością i pychą. — Udawalo się im. — Papilius Lenas najpotężniejszego mocarza wschodu Antiocha wielkiego, nie wypuścił z okręgu zakreślonego na piasku, nim odpowiedział na jego żądania — a jednak jeszcze wtedy Azja ledwo była słyszała o Rzymie — słowem — nikt Rzymowi nie zrównał w praktycznym rozumie — ale nikt też tak ciągle, bezprzestannie światu nie kłamał — nikt tak niecnie przysięg nie łamał, nikt na tyle potęgi nie wydał tak ogromnego zapasu złej wiary. — W świecie ducha dla tego też słabemi pozostali Rzymianie — nic nigdy nie wynaleźli, nie odkryli. — Literatury, sztuk, nie mieli. Rozum ich był przede wszystkim adwokacki. Ich zdobycze podobne procesom z wielką sztuką prowadzonym — a ich ostateczne zwycięstwo, ich panowanie światu stało się zepsuciem i śmiercią świata. — Ludzkość zgnęła pod ręką Rzymu. — Jedność o której marzyli, była tylko skupieniem mechanicznem cząstek — nie organicznem ożywieniem wielkiego ciała — na czem się znali, to nam zostawili. — Kodeksa — prócz tego nic a nic — bo wszyscy ich pisarze są tylko odbłyskiem cywilizacji greckiej, prostem jej naśladownictwem i to bardzo niewolnicznem. — W świecie materji panami byli, w świecie ducha niewolnikami. — Karę swoją wycierpieli w samych sobie, przez siebie samych. — Zginęli przez to, że nigdy prawdziwego życia politycznego ni towarzyskiego nie pojęli — przez to że podbijali, nie urządzali — że wygubiali, nie pomnażali — że uciskali, nie uwalniali — że zbijali siłą, nie spajali duchem. — Kiedy przyszło umierać Rzymowi, obejrzał się na okół czy gdzie iskry życia nie odkryje, którąby mógł w stare swoje żyły zaszcześcić, ale nic nie ujrzał prócz trupów leżących u stóp swoich — i darmo wołał na nie w godzinie śmierci — one się nie przebudziły!

Str. 136. w. 1. Euge, Euge!

Wykrzyknik, to samo co nuż a nuż po polsku.

Str. 137. w. 2. Przy Rostrach.

Rostra, mownica.

Str. 137. w. 9. Ultimum Vale.

Ostatnie pożegnanie przy pogrzebach.

Str. 137. w. 24. Diespiter.

Miasto pater diei, ojciec dnia.

Str. 138. w. 6. Ojcem ludzi i Bogów.

Epitet zwykły Jowisza.

Str. 138. w. 10. Czyż posiał kły smoka.

Jason dobywając runa złotego zabił smoka i kły jego posiał
— z nich natychmiast z pod ziemi zbrojni meże wyskoczyli.

Str. 138. w. 21. Marspiter.

Zamiast Mars pater, mówili Rzymianie.

Str. 141. w. 28. Gemonii.

Studnia w którą rzucono trupy złoczyńców.

PRZYPISKI DO DOKOŃCZENIA IRYDIONA.

Str. 155. w. 11. Błądą twarz Cyntyi.

Imię Diany.

Str. 158. w. 14. Nie ma purpurowej obsłony.

Podczas igrzysk rozciągano nad całym Amfiteatrem zasłonę
zwaną velarium, dla uchronienia się od promieni słońca.

214 187 w. 2. D. J. H. ...
H. ...
214 187 w. 2. D. J. H. ...

214 187 w. 2. D. J. H. ...

214 187 w. 2. D. J. H. ...

214 187 w. 2. D. J. H. ...

214 187 w. 2. D. J. H. ...

214 187 w. 2. D. J. H. ...

214 187 w. 2. D. J. H. ...
214 187 w. 2. D. J. H. ...

214 187 w. 2. D. J. H. ...

214 187 w. 2. D. J. H. ...

214 187 w. 2. D. J. H. ...

214 187 w. 2. D. J. H. ...

PRINTED BY DOKOZELIA KRYDZIA

214 187 w. 2. D. J. H. ...

214 187 w. 2. D. J. H. ...

214 187 w. 2. D. J. H. ...

214 187 w. 2. D. J. H. ...
214 187 w. 2. D. J. H. ...

TRZY MYSLI.

FRANK M. Y. S. L. L.

PRZEDMOWA WYDAWCY.

Regestra, listy do przyjaciół i instrukcye dla officistów, pisać — pisałem, ale co innego; ni umiem, ni chcę, ni potrzebuję — a czemu dziś biorę się do pióra? ba! do druku, pokrótce opowiem.

Na wiosnę tego roku, przypląnąłem z żoną i dziećmi do Sycylii, sam nie wiem po co i na co — ale za co, to wiem. — Ja wiem i mój komisarz pan Ordasowski, chociaż siedzi w Polsce. — Święte przysłowie — gdy czego zachce się kobiecie, to i sam szatan nie nie wskóra. — Zachciało się żonie mojej do Włoch. — Z kraju mnie więc powlokła aż do Florencyi, zkąd chciałem powracać, a z Florencyi do Rzymu, zkąd chciałem powracać, a z Rzymu do Neapolu, zkąd chciałem powracać: aż tu, patrzaj, dalibóg musiałem z nią popłynąć morzem, do Palermu. Przeprawa jaka taka, w nocy wiatr się zerwał; niech mu Pan Bóg nie pamięta, ale tak kołysał się ten okręt parowy, że aż wszystkie gwiazdy nieustannie nam dygały pokłony na niebie — ale co prawda to prawda — nad rankiem cudne znów było powietrze. — Zatoka gdyby tylko błękitna, ale to aż granatowa — góry, wyspy, zdają ci się pędzlem malowane na niebie — a samo Palermo, miasto duże i pożądnie stawione — lud tylko gałgański, skacze, biega, piszczy, wrzeszczy, żebrze, kradnie, zdziera, czy na ulicy, czy w gospodach, zwyczajnie Włochy, aż pfuj! do licha!

Lecz nie o tem mowa — podróży pisać nie myślę — niech żona, jeśli się podoba Jejmości, napisze. — Uczyła się języków, umie grać i śpiewać, czyta francuskie romanse, Balzaków, Sza-

tobriandów i wielu innych, którzy mnie nudzą — ona może pisać. — Ja chcę tylko po prostu powiedzieć, jakom się dostał do tych rękopismów, które dziś wydawać muszę.

O trzy mile włoskie (pół naszej ukraińskiej) od Palermu, jest wioska Morreale, w której mówią, że tam kiedyś mieszkali królowie sycylijscy. — Gdyby nie katedra, smętarz i parę pałaców, toby nie było na co patrzeć — nie ma nawet zajezdnego domu — brudno, pusto, ciasno. — Dalibógci u nas lepiej! Żona moja koniecznie prosi się tam jechać. — Album bierze z sobą, chciała rysować widok — ja biorę dubeltówkę, bo mówili że niebezpiecznie, najalem powóz, sadzam dzieci, pojechalśmy. Nie ma co mówić — znać to ezłowiek już za morze się dostał — wszędzie koło drogi wzgórza krągłe jak głowy cukru, najeżone w kaktusy, w aloesy — kwiatów czerwonych, jakich nigdzie nie ma, krocie — cyprysów tyle co dził kozackich — a powietrze ma w sobie coś mydlanego, niby kapie ci do płuc, jak przedziwna oliwa, wyborne dla suchotników, szkoda że od urodzenia zawżdy miałem piersi jak mur.

Jedziemy więc, bardzo powoli, bo wciąż pod górę. — Żona siedła na przodzie, patrzeć na dolinę w miarę jak się odkrywała. Ja fajkę palę. — Pułkownik Wilczek, któregoś tej zimy spotkał w Liwurnie, wracającego z Orientu, dał mi dwa funty tytoniu — mówił że Sultana innego nie kurzy. — Nie smaczniejszegoś na życiu nie palił.

Przyjeżdżamy wreszcie — musieliśmy stanąć w kawiarni — bo gospody nie ma. — Ledwośmy wysiedli, dwóch, trzech, czterech, dziesięciu obdartych, jak z pod ziemi wysypało się hultajów — każdy krzyczy że jest przewodnikiem, Ciceronem, jak to tam ich zowią — musiałem ich sam rozganiać, bo żonę chwytali za suknię, wrzeszcząc *moro di fame*, co znaczy, umieram z głodu; a potem *complimentate me!* co znaczy, daj co, bo u Włochów komplement to milczek — a jeden z nich mniej obszarpany, poznał że my Polacy; okropny węch mają Włochy do cudzoziemców, i wysunawszy się, rzekł do mnie, ja zaś już po włosku nie źle rozumiem i gadam, choć nie lubię tej komedii z łacińskiego języka przerobionej; otoż ten Włoch prawi do mnie:

— *Eccellenza* (nie ma z czego się pysznić, bo wszystkich tak

mianują), ja znam Polaków, ja zaraz poznał że Signor z tą piękną Signorą, po polsku mówi. — O Polacy to dobrzy panowie — niech im Madonna Santissima zdrowie daje. —

Zdziwiłem się niepomalu i mówię: — Kiedyś taki sprytny, to cię biorę na Cicerona — a innych odpędziwszy, poszedłem zaraz z żoną i dziećmi do katedry, pytając się po drodze Włocha, jakimby on sposobem znał język nasz?

A ten mi zaraz bając zacznie, że tu niedawno umarł na suchoty młody Polak, co przyplłynawszy z Malty, mieszkał sześć miesięcy w Morreale, znać dla zdrowia. Że go wszyscy znali, co dzień widywali, kiedy w południe wychodził, opierając się na ramieniu służącego, z którym rozmawiał tym samym językiem co ja z żoną — że ten służący nigdy słowa po włosku nie mógł się nauczyć, że tylko o swoim panu mówił — Liienza, Liienza! — i płakał przed ludźmi, bo codzień pan gorzej się miał; chudł, aż nareszcie umarł; a służący go na smętarzu pochował.

— Cóż to znaczyło to Liienza? — zapytałem się.

— A to było imię młodego pana — odparł mi Włoch.

— Pleciesz — nigdy żaden Polak nie zwał się Liienza — to chyba Włoch jak ty sam. —

A hultaj mój kiwnął głową i powtórzył, zaklinając się na bożka Bachusa, że to był Polak, i że zwał się Enriko Liienza.

— Prowadź na smętarz, ty! zawołałem — zobaczym — jeśli prawdę mówisz, piastra — jeśli kłamiesz, kijem, by cię nauczyć, nie mięszać Włochów z Polakami. —

A on przystał, pewny swego, i wesół jak chłop co idzie do karczmy — lecz chciał bałamucić — wprzód katedrę nam pokazać.

— Na smętarz! krzyknąłem, już zły, a chcąc zkądinąd pracy dociec, czy też może być, by leżał wśród samych Włochów, sam jeden, biedny, szlachcic polski. — Jeśli tak, to warto nasamprzód pójść do niego — a ciekawości i antyki na potem!

Żonę więc pod rękę, i syna naprzód, i wałę za Włochem — Włoch do klasztoru. — Gdzie ty tam idziesz? — pytam — on mi prawi, że smętarz w środku klasztoru — kiedy tak, to idź. —

I prawda — prowadził nas poganin przez korytarzy malowanych mnóstwo — chciał freski tłumaczyć — ja go ręką

w plecy ale delikatnie. — Co mi tam freski, kiedy o kilka kroków dalej Polak leży. — Aż tu weszliśmy w ogromny czworobok, bez dachu, otoczony rzędami kolumn — ładne kolumny — cienkie jak grube trzciny — dziwnie wyrabiane u spodu i góry, w grona winne, ptasie dzioby, głowy ludzkie — a każda obwiedziona mozaiką zieloną i złotą, gdyby pasem perskim.

Żona moja zaraz powiedziała, że to architektura po Mau-rach — nie w ciemię bite były te Maury, kiedy takie Marcypany stawiali.

W środku czworoboku, na łące pełnej róż i cyprysów, kamień po kamieniu białym, pomniki, figle, posągi — aż w głowie się kręci. — Lecz to na potem wszystko; choć żona chciała oglądać, ja nie dałem i pcham Włocha przed się — a mój wiercipięta skacząc przez groby i krzewy, bieży do kąta pod murem i krzyczy: *Eccolo!* i wyciąga rękę mówiąc znów: *Complimentate me.*

Dalibóg, gdy się zbliżę, gdy spojrzę, znak święty krzyża uczyniłem. Czym mógł się spodziewać?... oto stał przedemną krzyż drewniany, niski, ledwo że ostrugany, a na nim napis farbą czarną:

ZGON HENRYKA LIGENZY.
1840 ROKU, 12 KWIEŚNIA.

— A co nie Liienza, a co nie piaster? — zawołał Włoch.

Ja mu trzy rzuciłem, i zdjawszy furazerkę, mówiłem Zdrowaś Marya, a potem zacząłem przypominać Imości, że to niegdys wielka familia była w Polsce, z osiem kartek w Niesieckim jest o niej, ileż to dygnitarzy i senatorów z tego gniazda wyszło — a teraz co? — pożał się Boże! — Ostatni, bo nie słyszałem by inni jeszcze to imię nosili w kraju; a może są, którzy go noszą, ale nie wiem o nich. — Tak, zapewnie, ostatni z Ligenzów tu leży za morzem, na wyspie, wśród obcych, prawda że pod ciepłym niebem i między kwiatami — ale co mu po tem niebie i kwiatach!

Syn mój starszy Kazio (młodszy, Tazio, został w domu z guwernantką), i moja Teodolincia (matka tak ją przezwała, choć ją ksiądz wyraźnie ochrzcił z wody i z ceremonji Barbarą, Urszulą), oboje ukłękli i pacierz zmówili.

Tymczasem żonie mojej przyszło na myśl, by zaraz kamień

uczciwy sprawić P. Ligenzie wśród tych magnatów włoskich, bo aż wstyd że szlachcic polski tak nago śpi na cudzej ziemi — z takim krótkim słowem, przez poczciewca służącego, niezgrabnie napaćkanem — i zaraz też, bo dowcipna kobieta, zaczęła, chodząc wzdłuż i wszerz, inny napis, zdaje mi się wierszami, układać.

A ja wołam: — Moja panno kochana, trzeba naprzód do wsi wrócić, a tam o wszystko się dopytać, wywiedzieć — z kamieniarzem się rozmówić — i dopiero wtedy pisać, a nie teraz, gdy jeszcze nic nie wiesz. —

Włochowi zatem, obiecuję dobry komplement, jeżeli mnie zaprowadzi do gospodarza u którego mieszkał p. Ligenza — Włoch zaraz idzie, słowo w słowo żyd faktor u nas. — Żonę z dziećmi zostawiłem na smętarzu. — Tak Imość chciała, mówiąc, że będzie czytać na grobie włoskim, jakiegoś poetę Niemca.

Co niechlujnych i ponurych kątów w tym Morreale, to strach! — Wreszcie doszedłem do porządnego domu, na wzgórzu, z ogrodem, z kąd widać miasto Palermo i całą zatokę — anim patrzył — gospodarz stał na progu i jadł melona — mój Ciceron mrugnął na niego. — Już to oni sobie zaraz tam na migi, wszystko co chcieli, powiedzieli. — Gospodarz jednak wyglądał na poczciewego i lebskiego ówika — z żalem prawie zaczął o panu Ligenzie:

— Signore, szkoda tego młodego pana. — Taki był cichy, spokojny, wspaniały — Żył miernie, ale regularnie płacił za wszystko — grosza długu nie zostawił — prawda że i grosza na pogrzeb także, ale ja i służący pochowaliśmy ciało. — Mówiłem słującemu: Zostań z nami, wy kieruję cię na Vetturyna — ale on nie chciał ani się po włosku nauczyć, ani tam zostać gdzie pan na jego ręku skonał, i odpłynął pierwszym statkiem — nie wiem gdzie — podobno do Francyi — ale i on nie długo pożyje, bo po śmierci pana rozpił się z rozpaczą. —

Wtedy się zapytał, czy nie zostawił p. Ligenza jakich papierów lub rzeczy.

Gospodarz jakby sobie nagle coś przypomniał, wziął mnie za rękę, i przez wschody zawiódł do porządnej izby, na drugiem piętrze.

— Tu mieszkał — na tem łóżku umarł, patrząc się w morze

i na Concha d'oro (jak przezwali sobie dolinę w której leży Palermo), a przed śmiercią sam widziałem jak pieczętował zwój papierów, i zasuwiał potem w głąb tej szafy. — Służący pewno o nich zapomniał, bo gdy ztąd ruszał, był jak waryat jaki. —

To mówiąc otworzył szafę. — Prawda, pod półką leżały papiery — wziąłem — ołówkiem na wierzchu, napisano było: Ostatni ślad myśli znikającej. — Jeżeli kiedykolwiek wpadnie w ręce Polaka, niech czyni z nią co mu się podoba — ja chciałbym, by ją wydrukował. — I nic więcej, tylko te słowa, i owe trzy ułamki, które w niniejszym tomiku wydaję.

Przyznam się, że czytając je, mało com zrozumiał — nawet nie zupełnie, oprócz dobrych chęci. — Są to i każdy powie to samo co ja, dziwaczne szusy umierającego na suchoty, bo już ci pytam się wszystkich w obec i każdego z osobna, co te wiersze o Ci en i a c h znaczyć mogą, gdzie, jak twierdzi żona moja, która je na czysto przepisywała, raz to niby o człowieku, to znowu o Panu Bogu mowa? Co widzenia Chrystusów, te święte Piotry co padają, kiedy świętego Piotra na własne oczy widziałem i wieki jeszcze stać będzie bo tak mocno stawiony jak żaden inny kościół na świecie — co, ten niby kardynał, niby Jan apostoł co papieża żegna i błogosławi — a to wszystko, smalone duby — ale darmo, woli ostatniej p. Ligenzy musiałem dopełnić, kiedy mi opatrność jego dziełko tak dziwnie do rąk wtrąciła. Z umarłym nie można jak z żywym! Czy umarłemu co wyperswadujesz? a kiedy już tak żądał, niechże i tak będzie! Tęskno mi było za nim, serdecznie tęskno — gospodarz mnie odprowadził aż do smętarza. — Idąc plółł rozmaite szczegóły o nieboszczyku — powiadał że był śniadej cery, bardzo zapadłych ale świetnych oczu i dziwnie powolnych ruchów — lecz kiedy raz się rozgniewał na trzy miesiące przed śmiercią, to Włocha który z nożem gonił za żoną, jak to zwyczaj u nich, gdy porwał za piersi i wstrząsł, to Włochowi aż krew z nozdrzy i z ust buchnęła. Zresztą nigdy nikt go niecierpliwym ni złym nie widział. — Często grywał na fortepianie który sobie z Palermu sprowadził. — Lubił całe noce czuwać i grać — to mu nawet mocno szkodziło! A na kilka dni przed śmiercią zawołał gospodarza do siebie i biorąc pałasz kosztownie oprawny rzekł do niego — nie mam już z czego płacić tobie — wkrótce już za

nie nie będę potrzebował płacić. Sprzedaj ten pałasz i weź com ci winien — a gdy to mówił, miał łzę dużą w oku.

— I cóżes wasan uczynił — zapytałem gospodarza.

— Sprzedałem — odpowiedział.

Mało com Włochowi w oczy nie plunął, osobiłwie kiedy mi zaczął opisywać pałasz. — Zdaje się, stara to broń była, po Ligenzach, na rękajeści turkus — na klindze krzyż i imię familijne.

Jeszcze mi się tęskniej i smutniej zrobiło.

Ale czem był p. Ligenza, ale gdzie ostatni raz widział się z swojemi, czy miał krewnych jakich, czy odbierał od nich listy, czy przepędził życie w kraju, czy za granicą, czy teraz tylko z Malty, czy z innych stron odleglejszych tu przybył, tego na żaden sposób dociec nie mogłem, bo i sam gospodarz nie a nie o tem nie wiedział.

Zatem nie wiele żonie do nagrobku pomogłem, gdym wrócił na smętarz — ale już był w jej głowie napisany. Ułożyłem się z p. Balduccinnim (tak zwał się gospodarz) by mi wynalazł rzeźbiara. — Sztukę marmuru białego kupiłem, a po tygodniu gdym wrócił z Palermu, by przekonać się czy mnie też czasem nie oszukali Włochy, zastałem na smętarzu kamień mój z napisem żony mojej, zaraz przy krzyżu, który zostawić byłem kazał — bo co sługa na grobie pana postawi, to święte. — Po tem Bóg sędzi że to dobry pan być musiał!

A napis nasz taki:

TU. ZASNAŁ. DO. CZASU.
 Ś. P. HENRYK. LIGENZA.
 NARODEM POLAK.
 ZNAKOMITEGO. NIEGDYS. W RZECZYPOSPOLITEJ.
 RODU.
 ŻYCIEM. NIEZNANY.
 ŚMIERCIĄ. WŚRÓD. OBCYCH.
 NA WYSPIE. DALEKIEJ.
 GODZIEN. ŻALU. I. MODŁÓW.
 POCHOWANY. PRZEZ. SŁUGĘ.
 WIERNEGO.
 POMNIKIEM. UCZCZONY.
 PRZEZ. PODRÓŻNYCH. ZIOMKÓW.
 KTÓRZY. GO. NIGDY. NIE. ZNALI.
 TYLKO. MYŚLI. JEGO. CZYTAJĄC.
 UCZULI. ŻE. ON. BYŁ. ICH. BRATEM.
 NA. ZIEMI.
 A TERAZ. ŻE. O. NICH. MODLI. SIĘ.
 W. NIEBIESIECH.

Tak żona moja chciała; trochę tam kadziła co do tych myśli czytanych — no — cóż robić — lepiej podchlebiać umarłym niż żywym!

Com miał powiedzieć, powiedziałem — napisałem. — Ale to już ma pójść do druku, to jedno jeszcze dodam, że mi się we Włoszech dwie tylko rzeczy podobały — podpora w Koloseum postawiona przez papieżów, by te stare mury nie gruchnęły i błota Pontyńskie, całkiem do naszej Pińszczyzny podobne — chciałbym był w nich polować ale czasu nie miałem.

Niechże Bóg teraz świeci nad duszą pana Henryka Ligenzy, com mógł uczynić dla niej!

Pisałem w Szafuzie na przejeździe, 1 lipca 1840 roku.

STEFAN, SZCZĘSNY, BOGDAN MIELIKOWSKI,
przydomku i herbu Gozdawa.

SYN CIENIÓW.

5. Tedy Anioł, któremu widział stojącego na morzu, na ziemi, podniósł rękę swoją ku niebu.

6. I przysiągł przez żywiącego na wieki wieków, który stworzył niebo i to, co w niem jest, i ziemię i to, co na niej jest, i morze i to, co w niem jest, że czasu już nie będzie.

OBJAWIENIE Ś. JANA, Roz. X.

STY CRYSTAL

I. The crystal structure of styrene is monoclinic. The unit cell dimensions are a = 1.08 nm, b = 0.41 nm, c = 0.37 nm. The space group is P21. The density is 0.905 g/cm³. The melting point is 3.5 °C. The refractive index is 1.50. The crystal structure is shown in the figure below.

Syn cieniów patrzy w otchłań, w ziemię, na dół.
Moc go nieznana z ciemni wyrzuciła,
Dzika wilczyca piersią wykarmiła,
I pod Tytanem stęknął ziemi padół.

Poszedł wpółsenny i darł się po górach.
Zawisł; ssie wilgoć na gór szczycie, w chmurach,
Aż mgła wisząca pęknie u skał szczytu,
I światło spadło z krainy błękitu.

Pojrzy syn cieniów w oddal, w górę, w niebo,
Wyciągnął ręce do wyżyn wszechświata;
Choć z ziemi rodem, już ziemią pomiata,
Nektar gwiazd mlecznych ust jego potrzebą!

Ale nim wdzieje szaty człowieczeństwa,
Nim się rozbierze z powicia natury,
Musi z nią walczyć i znosić tortury
Olbrzymie, straszne Tytanów męczeństwa.

Aż z starożytnej odmętu zawiei,
Wyjdzie przemienion i — Jestem — zawoła,
Ludzka mu piękność wyrzy wtedy z czoła,
W sercu zakwitnie kwiat błędnych nadziei!

Choć Boga tylko, zna on gniewu panem,
Choć pozór dotąd mu prawdą jedyną,
I przeciw losom brata się z szatanem —
Ta dola płynie — bole te przeminą!

Przez długą pracę ludzkiego męczeństwa,
 Znow się rozbierze z szaty człowieczeństwa,
 Myśl która truje, krew własna co krwawi,
 Glinę mu z serca wyżre i przetrawi. —

Cierniów koronę przywiąże do skroni,
 I lę miłości nad bracią uroni,
 Cierpiąc i wierząc w ojca niebieskiego,
 Jak duch nieszczęsny — lecz wolny od złego!

Aż znów się zbudzi odwieczna Tęsknota,
 Dni zwątpień wróca, pokusa się wzmoże,
 Znow mu się wyda, że z niego sierota,
 Rzucony oślep na zaguby morze!

Ale złe przejściem — tylko pyłem drogi —
 Jeśli piorunem — to doczesnej burzy —
 Jeżeli cierniem — to łodygi róży,
 Której kwiat płonie tam gdzie Bogów progi!

Ten co dziś wątpi — co od wieków jęczy,
 Gwiazd swych się dorwie i zamieszka z niemi,
 Bo w gwiazdę nieba przetworzy krąg ziemi
 Wiążąc go z niebem, innej wstęgą tęczy.

Stąpaj więc dalej o synu światłości!
 Stąpaj ku światów nieodkrytych stronie!
 Wszystko co żyje, świecci, dźwięczy, płonie
 Twojem, na drogach twej nieśmiertelności!

Coś myślą pojał — dosięgniesz ramieniem —
 Ujrysz na oczy — coś przeczuł natchnieniem —
 Z strun twojej lutni rozpierzchnięte dźwięki,
 Weźmiesz jak perły widome do ręki.
 Gdy wróca kiedyś świeże i stwardniałe,
 W życie wcielone, z próżni zmartwychwstałe.
 Na wieki wieków dane Tobie — Tobie
 Coś marzył czasem że twój koniec w grobie!

A hańbą ową nie dręcz się pielgrzymie —
 Gdziekolwiek idziesz, tam wre anioł życia;
 Twarz Jego czasem w czarnym śmierci dymie —
 Lecz jak kwiat róży, nim wyjdzie z ukrycia!
 Jak uśmiech dziecka, nim błysnie z powicia!
 Bądź znów jak Tytan, wielki — silny — dumny.
 Wszędzie kolebki — nie ma nigdzie trumny.
 I wszędzie niebo — nie ma nigdzie ziemi —
 I wszędzie Bogi — nad Tobą i w Tobie,
 Na każdym miejscu i o każdej dobie,
 Byłeś — nie jesteś, lecz znów będziesz z niemi!
 Aż kiedyś ujrzysz jak z lazurów łona
 Jasność jasności, Bóg Bogów powstaje.
 I znów do niego wyciągniesz ramiona,
 I on cię porwie w inne — dalsze raje!

Znów za nim pójdziesz ty anioł, ty święty,
 Lecz on ci jeszcze będzie niepojęty —
 Choć w innym ciele, choć na skrzydłach gromu,
 Coraz to chyżej i wyżej niesiony,
 Ty tęsknisz dotąd — boś nie znalazł domu —
 I świat twój jeszcze, nie jest nieskończony!

Choć wstęgi mleczne u stóp twoich płyną,
 Jak niegdyś ziemskich oceanów fale,
 Ty na nie patrząc, nowe czujesz żale —
 Wiesz że i one jak tamte przeminą!
 Dotąd ci czegoś brak, synu światłości!
 Choć latasz wolny po światów przestworze,
 Cień twoich skrzydeł dotąd w nim się toczy,
 Mgła niepamięci dotąd ómi ci oczy,
 Ostatek bolu w twojem sercu gości,
 I jeszcze wołasz na Boga — Ty — Boże! —
 Duch twój dopiero u progów wieczności!
 Aż przejrzyś Pana jakoś ty przejrzany,
 I poznasz siebie — a w tej samej chwili
 Noc niepamięci w tobie się przesili —
 Wspomnisz nareszcie, żeś z Panem nad Pany

Duch ten sam sam, jeden, na wieki i wszędzie,
Co jest już teraz — ni był, ani będzie!

Bo pierwsze, wszystkie kształty przemigły —
To sen twój mijal jak fal miliony —
Ten sam ty byleś lecz nieprzebudzony
Boś śnił o falach co w Tobie płynęły!
Teraz żyć pocziesz — boś uczuł żeś razem
Potęga marzeń i marzeń obrazem!
W jednym wspomnieniu po długim pogrzebie
Tyś zlał się z sobą — tyś przypadł do siebie!
I wszystkie dusze co wierzyły Tobie
I przez ciąg wieków spać się kładły w grobie,
Coraz to wyżej z grobu w grób na zmiany
Wschodząc i żyjąc — do ciebie wróciły!
Tem są na końcu czem w początku były —
Świat jeden ducha z twoim duchem zlany —
Lecz każda dusza na ciebie wyrosła,
I siebie samą w twoje łono wniosła,
I wie o sobie — że stała się synem
Równym ci Ojczy i wiecznie jedynym.
Bo w każdej jeden ty jesteś o panie!
I w każdej wołasz — Ja — a oprócz Ciebie,
Nigdzie nie ma i nic nie powstanie!

Teraz myśl — kochaj — stwarzaj — wieczne niebo w niebie!

SEN CEZARY.

1. Choćbym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłości bym nie miał; stałem się jako miedź brząkająca, albo cymbał brząający.

2. I choćbym miał proroctwo i wiedziałbym wszystkie tajemnice i wszelką umiejętność, i choćbym miał wszystką wiarę, tak żebym góry przenosił, a miłości bym nie miał, nicem nie jest.

LIST PIERWSZY Ś. PAWŁA DO KORYNTIAN, ROZ. III.

... ..

... ..

... ..

... ..

... ..

... ..

... ..

... ..

... ..

... ..

... ..

... ..

... ..

... ..

... ..

Cienie zewsząd w duszy mojej i w około ócz moich — głos mnie zawołał po imieniu «Cezara, Cezara» i wyszedłem i idę sam nie wiem gdzie, ale za tym głosem pójdę jeżeli trzeba, aż na koniec świata!

Widzę wieżę czarną przy wielkim kościele — kazano mi wejść do niej, wstępuję ciasnymi wschody — głos przedemną leci i woła «Cezara, Cezara.»

I nagle, grube mury stały się jakoby hafty, jakoby rąbki, jakoby kwiaty z kamieni; pośród ich liści i kielichów światło miesięczne się wkrada. Im wyżej, tem więcej takich kwiatów, tem wysmuklejsze, przejrzystsze i światła też coraz więcej przybywa. — Głos wciąż woła «Cezara, Cezara.»

Okrażyły mnie poręcze granitowe — przepaść bezdenna podemną — nademną dzwonnica pleciona przeźroczyście, róże gotyckie kładzione na różach, arkady podesłane arkadom, świat ostroluków pnący się ku niebu — a przez każdego z nich gwiazdę jedną widać, a przez jeden z nich księżyc złoty, szeroki, tam daleko, tam nad górami!

Głos wstąpił w dzwonicę, i jak słowik ukryty w gaju woła na mnie «Cezara, Cezara.» Okolica jak świat szeroka roztoczyła się przedemną. Zdało mi się, że widzę pomięszane wsi, miasta, wzgórza, doliny i bory uśpione, księżyc nad niemi płynie, wszystko się stało bladym złotem i ciszą!

W tem z pod stóp moich nagle, od razu, wzbily się dźwięki poważne, jakby organów szum pomięszany ze śpiewem ludu. I coraz głośniej i coraz pełniej te akkorda wschodzą z dolnego kościoła — idą do mnie — otoczyły mnie!

A za każdym akkordem światło miesiąca żywsem się staje, gwiazdy się rozszerzają jak źrenice coraz większe, ognistsze —

niebo całe jak jedno morze jasności wisi nademną — ziemia cała jak jedno zwierciadło kędy się ta jasność odbija, leży podemną — wieża tylko i katedra tylko czarne, jak skała czarna!

I wszędzie, wszędzie ujrzałem jakoby tłumy narodów przechadzające się po tej jasności — usłyszałem krzyk ich mowy i i odgłos ich stąpań. — Szli nie zawracając — gdzie się spotkali tam wrzask się wszczynał, a czasem wznosiła się pieśń błoga pokoju — i szli coraz dalej w nieskończoność widnokręgu — księżyc już teraz jak ogromne, krwawe słońce gorzał nad niemi, a gwiazdy wszystkie patrzyły z góry jak kołujące księżyce.

I ujrzałem pośród narodów garstkę ludzi, ubranych w szaty żałobne, garstkę ludzi ujrzałem niosącą sztandar na którym napisano było «naród»; ujrzałem ostatnie pokolenie wielkiego plemienia, idące zwolna, jakby za pogrzebem, idące także w nieskończoność. — A gdziekolwiek spotkało się z drugimi tłumy, torujące sobie drogę ostatkami szabel. — Wielu z nich dźwigali szczątki łańcuchów na nogach i dłoniach, byli bardzo bladzi i bardzo znużeni — nieśli dzieciątka konające w ramionach, inni w objęciach trzymali zemdlące niewiasty podobne do umarłych aniołów — wielu z nich, znaczyli ślady swoje krwią z ran płynącą i na ich piersiach głębokie rany widziałem — na ich czołach jakoby wieńce cierniowe — w ich ręku jakoby krzyże zwiedłemi kwiaty oplecione, a milczeli tak jak groby milczą — bez krzyku walczyli — bez jęku padali — bez pieśni zwyciężali — bez narzekania szli dalej na nową bitwę i śmierć tę samą! — Długom patrzył czy też kto ich nie przywita miłosierdnem słowem lub uściskiem bratnim. — Lecz nigdy i nigdzie nikt im ręki nie podał, nikt z drogi się nie usunął, by mogli ci umierający przejść w pokój. Tłumy narodów jak mury czarne stawały w poprzek im; jak potoki czarne płynęły przeciwko nim — jak stada drapieżnych ptaków pastwiły się nad ich obalonymi ciałami.

I żał serce mi objął i lży do ocz mi się cisną. Zrozumiałem katedry ponure jęki, owe podziemne akkorda bijące ku niebu — one grały pogrzebną pieśń ludu tego! — A głos z wnętrza dzwonnicy zaszumił ku mnie «Cezara, Cezara! oto lud, co zchodzi z ziemi i nie powróci nigdy.»

— A gdym spojrział znowu, oni bili się otoczeni zewsząd i już

bez nadziei — bo ów księżyc jasny jak słońce oblewał ich promieniami, a nad ich wrogami wisiała jakoby mgła połyskami przetkana — i było im bardzo ciężko i skwarno — wszystkie kule i cięcia prosto w nich trafiały. Ich miecze, ich groty, daremno błędząc w cieniach, wrogów zabijać nie mogły. I było im nieźnośnie gorzko!

I każdy z nich wznosił w górę dziecię swoje, i rzekł «leć do Boga, sieroto.» — A zdało mi się że na chwilę zbladł księżyc i z nad ich głów się odsunął — i przepaść jakaś lazurowa wydrążyła się w niebie — i w nią wleciały owe wszystkie małe, jak rój białych aniołów — wlecieli i zniknęli — i zamknęło się niebo i znów księżyc roziskrzył się krwawym blaskiem i walka na nowo się rozpoczęła na ziemi!

A umierających coraz mniej, umarłych coraz więcej widzę! Jednak żaden dotąd nie rzucił broni, nie klął — nie błagał przebaczenia — nie zdał się na hańbę niewoli! Słyszę głosy wołających tłumów. «Żyćcie i bądźcie naszymi sługami.» Umierający wstrząśli korony cierniowe na czołach i odpowiedzieli jednym, wielkim krzykiem, jak gdyby ostatniem wyzwaniem do boju!

Krąg wrogów jak pierścień żelazny ścisnął się koło nich, nad tym pierścieniem druga obręcz z dymu i błyskawic zaokrągliła się w powietrzu — wtedy każdy z umierających rzekł do zemdlalej niewiasty, którą trzymał w objęciu «obudź się i powiedz, czy chcesz żyć dłużej odemnie!»

A owym aniołom bladym roztworzyły się oczy i każda odrzekła z westchnieniem: «Ziemia wasza, ziemią naszą. I grób wasz, grobem naszym. Tam razem z wami mieszkać będziemy.» I uśmiech miłości nieskończonej zakwitł na tych wszystkich ustach. I każdy z umierających jak stał z podniesionym mieczem, tak utopił go w piersiach tej którą kochał — potem złożył jej ciało na murawie i pobiegł naprzód, ku wrogom. — Znów się straszna walka rozpoczęła na ziemi!

I zdało mi się, że z tych postaci białych, leżących na zielonej murawie, powychodziły dusze lekkie i srebrzyste, w wielkim smutku, i jak wieniec lilii nadpowietrznych zawisły tam w przestrzeni i płakały nad tymi, którzy walcząc ginęli — i nad tymi

którzy jeszcze dotąd zginąć nie zdołali, nad resztkami wielkiego narodu!

Głos słowicy jęknął z dzwonnicy «Cezara, Cezara! patrz, patrz, bo to ich ostatnia godzina!» Katedra zadrżała od akkordu co wzbil się z jej lochów. Ten akkord jak piorun co bije z głębin ziemi ku niebu, rzucił się i rozległ się wszędzie, i znów zebrawszy się razem, pieśnią żalobną wyżej podniósł się, i wyżej jeszcze, i słyszałem go wciąż nad sobą jakby doszedłszy kończyn świata, jeszcze brzmiał tym samym dźwiękiem rozpaczy, tam gdzie gwiazdy świecą i gdzie ten krwawy księżyc błyszczał.

A gdym oczy obrócił ku ziemi, ujrzałem tłumy narodów przechadzające się jako dawniej; na miejscu gdzie owa garstka poległa, już trupów ni krwi ni broni nie było — murawa zieleńiała — usłyszałem jakoby śpiew ptasząt w krzewinie — jakoby szmer ruczajów w oddali — uczulem jakoby woń spokojnych kwiatów lejącą ztamtąd i zdjął mnie strach że tak cicho na tak wielkiej mogile!

A głos anielski mój, zawołał na mnie: «Cezara, Cezara, patrz co zostało się po nich.» Ja w stronę głosu spojrzełem — a księżyc był znów mały i śniady — gwiazdy drobne i migające, okolica ta sama co na początku, wieńcem wzgórzów otoczona, białych wiosek zasiana milczeniem.

Głos woła ciągle «Cezara, Cezara» ale zdalo mi się że wyszedł z dzwonnicy i ciągnie mnie nazad ku wschodom wieży. I szedłem za nim coraz niżej zstępując, szedłem wśród dużej ciemności, w tęsknocie ducha mojego — i nie wiedziałem kędy idę, czulem tylko po wzrastającym smutku że chyba do grobu.

I obrócił głos wdychając, ku przejściu pełnemu blasków odbitego światła. — Szum dziwny słyhać jakoby szelest wielu liści suchych wijących się pospołu w lekkim wietrze — jakoby mowę wielu głosów przyciszanych bolem — jakoby skargę przebudzonych w trumnie i zasypiających znowu.

A głos rzekł: «Cezara! teraz módl się za nich» — i ujrzałem przed sobą wewnątrz katedry bardzo długiej, nad którą stałem jak gdybym stał na podniosłości chóru, i z chóru zaglądał w tę głęb pełną kaplic, ołtarzy, filarów, ławek czarnych i lamp płonących przed obrazami, przed posągami, tu i ówdzie nad pomnikiem rycerza, tu i ówdzie nad chrzcielnicą, nad amboną,

wszędzie u stóp i na szczytach słupów gotyckich i na arkadach i wzdłuż ostrołuków — ale ich promienie przyćmione były i zwiędłe, jakoby od łez wiszących w powietrzu — od mgły ledwo widzialnej, co się przesuwiała w przestrzeni!

I ujrzałem pośrodku katedry wielki otwór rozwarły jakoby wstęp do podziemnych grobów czekających na kogoś i ogromny kamień leżał przy tym czarnym otworze, kamień ogromny, biały jak alabaster i długą taśmą krwi obrąbiony, krzyżem krwi pośrodku znaczony a pod krzyżem było to słowo, także krwią napisane: naród.

I pusto było w tym wielkim kościele. W tem zdało mi się, że słyszę jakby przecucie muzyki tajemniczej w sercu, i z serca mego na jaw powszodziły słabiuchne dźwięki i już teraz chwytam, słucham nuty, do kropel kapiącej rosy podobne — i z nich powiązała się plecionka szmerów melodyjnych — i ta wielka katedra rozpląkała się dźwiękami.

Każden jej ołtarz, każdy filar, każdy głaz jej posadzki zadrgnął jak struna — każdy jej posąg jęknął, ale pieśnią; i ta pieśń rosła spokojnie, poważnie, jakoby śpiew Duchów niewidomych, cierpiących serdecznie i serdecznie modlących się o ulgę, o sen zapomnienia, o miłości i litości trochę — do wielkiego Boga!

W tem grzmot z organów uderzył — raz tylko — i rozwarły się bramy katedry — i głos mój rzekł do mnie «Cezara, Cezara, patrz, bo to oni wchodzą.»

I szli polegli, szli umarli, szli jeden za drugim, sztandar swój niosąc jak za dni życia, trzymając w objęciach pozabijane anioły swoje — trzymając w ręku pęknięte oręża; szli jak mgły chodzą, bez szelestu, szli ze spuszczonec czołem pełnem wspomnień bólu. — Dzieciątek ich tylko nie było z niemi — ale jak tylko przestąpili próg katedry i zaczęli stąpać w stronę wielkiego ołtarza, tam, kędy zdało mi się że widzę biały posąg Chrystusa, tam kędy zdało mi się że marmurowych aniołków grono wychyla się ze sklepień, ot! muzyka stała się miękką i tkliwą jak szczęścia wspomnienie — ot! jakieś wieńce nagle błysnęły w powietrzu i róż białych tysiące spadły na posadzkę — ot! tych aniołków grono motyli skrzydeł opasało się tęczą i każdy rączki wyciągnął, oderwał się od sklepienia, zawisł

w powietrzu, i ważąc się w powietrzu, jasnymi oczętami zdał się szukać i poznawać, a poznawszy leciał ku nim, ku nadchodzącym, i skrzydełkami wieńczył głowy ojców poległych i matek uśpionych snem śmierci!

A męże podnieśli czoła i uśmiechnęli się poznając przemienione dzieci — a matki rozemknawszy oczy krzyknęły z radością i z objęć mężów zstąpiły na ziemię i podnosząc dłonie ku tym aniołkom, nazywały je po imieniu, wołały każda swojego i wspinając się na palcach stóp, ustami gonily te nadpowietrzne twarzyczki, przesuwające się jak kwiaty i gwiazdy nad niemi.

Aż drugi raz zagrzmiały organy — wtedy w pustych ławkach usiedli męże i odetchnęli jakby po męce życia całego — przed niemi koło stopni wielkiego ołtarza usiadły niewiasty i wnet zdały się na nowo bardzo blade i niewzruszone i głęboko spiące. — Męże broń poskładawszy na ziemię, zdjęli z głowy korony cierniowe i podnieśli je w stronę posągu Chrystusa; ale nie wyrzec, ale o nie prosić nie mogli, bo ich piersi przebite były i usta oniemiały z bólu i znużenia.

A lampy ciemniały coraz bardziej — mgły zstępujące z sklepień wily się naksztalt całunów — gromnice gasły jedna za drugą — tony owe miękkie i tkliwe cichły pod jękami organów. — A im ciemniej i huczniej się stawało, tem posąg Chrystusa ów biały, wysoki, daleki, białiał i rósł przedemną — aż cały kościół zanurzył się w urok szary — aż przestrzeń cała przemieniła się w grzmot nieustanny, podobny do huku trąb archanielskich. — I postać owa wysoka, daleka, nad wielkim ołtarzem, jasną, bliską, żywą, zstępującą się wydała. — Ona jak słońce — oni wszyscy czarni i cały kościół czarny i drżący jak drzewo w wietrze jesiennym. — A postać zstąpiła i stanęła nad samemi niewiasty i pojrzała ku mężom siedzącym — a wzrok jej, była to jasność biała jak djamentu!

Niewiasty się podniosły i zasłaniając oczy rękoma, westchnęły — O panie, oddaj nam dzieci nasze. — I męże padłszy na ziemię, zawołali — O panie, oddaj nam Ojczyznę naszą. —

A postać zstąpiła jeszcze niżej i oni wszyscy powstawszy szli za nią, a ona wiodła ich ku roztwartym grobom, nie tykając ziemi stopami ale płynąc i unosząc się.

I pierwsza w grób wstąpiła jak słońce co zachodzi, w grób ten czarny, mówiąc — Odpocznijcie — kamień nad wami jak nademną zasunięty będzie. — Alboż ja nie przy was? Czemu się wahacie? — I oni wszyscy zeszli i zniknęli, wszyscy aż do ostatniego idąc za postacią Chrystusa. — I widziałem jak się podniósł ten glaz ogromny z napisem naród i zapadł nad niemi. — I ostatni grzmot uderzył — i zgasła ostatnia gromnica.

A wśród ciemności usłyszałem jakoby chór duchów śpiewający ostatnie pożegnanie im:

— Złóżcie dłonie na zimnej pościeli — złóżcie czoła na trumny wezgłowiach — niech ostygną rany wasze — niech odpoczną serca. — Zapomnijcie! aż przyjdzie na was i na ziemię waszą powtórnej wiosny godzina! —

— Ten sen będzie siłą wam; bo pan czuwa nad waszemi trumny i czeka aż chwile przeznaczone miną, a teraz pokój wam — teraz zaśnijcie głęboko. —

— I stało się wielkie milczenie — a głos który mnie strzegł, powtórzył zcicha te same słowa co pierwiej: «Cezara, Cezara, patrz, co zostało się po nich.» — A ja nic nie widząc zapytałem — co? — A głos rzekł znowu: Patrz — oto ślad jeszcze po nich na ziemi.»

I nagle ujrzałem jakoby modrych wyziewów gromadę, a w samym środku ich jakoby obraz malowany powiewami wiatru — ujrzałem twarz niewieścią i całą postać niewieścią na pozór przemijającą — a doskonale piękną z smutku wiecznego wyrazem na czole! — Jej szaty lekkie jak myśli, na wzór myśli tęsknych na okolo niej płynęły, takie białe! — Jej wzrok wbity był w próżnię przestrzeni. — I dumny był ten wzrok choć łzawy — i harde to czoło choć obarczone cierpieniem — i uroczyta ta postać choć do snu nikłego podobna;

A głos zawołał na mnie: «Strzeż jej, Cezara, bo ona siostrą tych, którzy walcząc polegli.» Ona jedna ocalała by piękność rodu tego nie zaginęła całkiem na ziemi. —

A gdy drugi raz spojrzeł, uczułem że kocham ją — i zdalo mi się że idę za nią, w świat mi nieznajomy, gdzieś pośród mgieł jesiennych, gdzieś w puszcze stroskane, kędy słychać potoków przesłonionych szumy, kędy liści żółkłych kręcą się tu-

many i orzeł jakiś krwią zboczony, mgłę przecinając, prowadzi panię swoją.

A ona stąpa, zawsze równie blada i lekka i piękna: zawsze równie samotna i smętna i dumna — zawsze do snu podobna, a jednak widna ciągle — ciągle błędząca, ciągle w milczeniu — a ja strzegę jej wiecznie. I gdzie ona pójdzie tam i ja pójdę — i gdzie ona spocznie tam i ja usiędę — i gdzie ona zniknie tam i ja zniknę z nią razem!

I zdało mi się, że dni i nocy mijają jak fale białe i jak fale czarne jednego potoku — czasem widzę widmo słońca za chmurami, czasem księżyc przesuwany się na szczytach gór — niekiedy po za mgłą słyszę miast dalekich gwary — i w górze pieśń przelatujących Duchów — i gdzieś w dole, pod stopami, zdało mi się, że słyszę płacz kopiących w kopalniach — i niżej jeszcze, śmiech podziemny szatana!

Lecz nie słucham, lecz nie patrzę. — Ja tylko idę za nią. — Zmierzył nas wiecznie otacza — smutek nas wieczny pojednał — nadzieja ta sama nas wiedzie. Ona czasem odwróci oczy od przestrzeni w którą patrzy, od przyszłości, w którą zagląda i spojrzy na mnie — ona czasem rozemknie usta i zawoła: «Cezara» czasem z mgły śnieżną dłoń wychyli, a ja dłoń tę chwytam i opieram na sercu aż odpocznie anioł mój. — I tak idziem w nie-skończoność. — Jeśli żyć mamy, ożyjem. — Jeśli zaginać, zginiemy. — Gdzieś słońce to samo świeci, gdzieś grób ten sam czeka na nas — a idziem niepewni, czy w stronę słońca, czy w stronę mogiły. Tylko Bóg nam dał, że idziemy razem!

I nie zliczę czasu i nie powiem jak, lecz zdało mi się, że już część życia mego ubiegła, a sen mój trwał, w dalsze mnie coraz uwodząc pustynie — a miłość moja coraz większą była i smutek jej coraz większy także!

I nie pomnę gdzie, i nie pomnę kiedy, wydało mi się że mu ujrział cypel skały, po nad mgłę wytknięty. — I duch tam siedział podobny całkiem do czerstwego, starego człowieka, tylko że mu z ramion wisały bezpiórne skrzydła jak u nocnych ptaków.

A siedząc na urwisku, trzymał harfę o jednej stronie i zaśpiewał:

— Wstrzymaj się niedoświadczony — tu granica między kra-

jem życia a padolem śmierci. — Jeśli ją przekroczyysz, dusza twoja osłabnie na wieki. —

A jęk żelazny z owej struny się rozległ i strach mnie ogarnął.

— Opuść tę która nie ożyje nigdy — piękność jej tylko przeszłości wspomnieniem — nie wierz gdy spojrzy na ciebie lub rękę ci poda — bo iskry miłości nie ma w tej źrenicy — bo siłę uścisków los wybrał z tej dłoni. —

I znów uderzył w jednostrunną harfę!

A postać stanęła i obróciła twarz ku mnie. Wszystkie sny niedopelnione, wszystkie zabite nadzieje jej rodu, całe życie ich, cała duma ich i zgon ich i sen ich teraz w grobie, razem, w jednej chwili, odbiły się na niej!

A Duch znów zaśpiewał:

— Wracaj i żyj pośród ludzi żywych. — A ja tu z nią zostanę i śpiewać jej będę śpiew mój bez nadziei na tej strunie ostatniej — bo inne przebrzmiawszy, pękły — wszystkie razem niegdyś zwały się wiarą, odwagą, kochaniem. — Ta jedyna dzisiaj zowie się nicością. —

I zdalo mi się że powstał i harfą rozcina mgłę na prawo i w lewo — i odsłoniły się za skałą wielkie smętarze, stopy kości i stopy pruchen, koni szkielety i psów szkielety i sępów szkielety, na ostatkach zwłok ludzkich ubranych w płaszcze, w ornaty, w korony, wśród panczerzy i mieczów i siodeł — i rozwalone kaplice i ruiny bez końca na brzegach zamarzonego morza — i kłęby śniegu chodzące jak olbrzymy po szybach lodu — i chmury niewzruszone jakby drugi taki sam ocean ścięty mrozem na niebie!

A Duch wskazał w tę wielką przeszłość i rozśmiawszy się wskazał znów ku drugiej stronie skały — a tam rozwiódła się zieloność i błękit zaświecił — tam na tysiącach wież tysiące sztandarów, kaźden w barwach wiosny, tam białe kłęby pary i słupy żywe dymu.

Alo wnet oczym odciągnął i znów je wlepiłem w twarz postaci.

I zdalo mi się że zebrawszy ostatek sił, ona postąpiła naprzód, jakby dójść jeszcze chciała do tego brzegu ruin — by przynajmniej wśród umarłych ludu swego, rozemdleć się i zniknąć!

Duch szczytu skały, Duch złego, duch co mnie kusił, rzekł do mnie: «wybieraj.»

W tej samej chwili głos jej zawołał: «Cezara.»

A jam poszedł za nią, za tą, która nie powróci nigdy, na śmierci smętarze.

Śnieg krąży nad nami jak grób nadpowietrzny. — Orzeł co leciał przed nią, padł na umarłe sępy i skonał. — Ledwo już dostrzedz mogę płynących jej włosów — daremno szukam raz ostatni jej dłoni wśród cieniów. — Ta którąm ukochał, wśród zawiei znika!

I sen mój się nie przerwał — uczułem wszystkie męki rozdziału, wszystkie próżne nicości. — Zdało mi się że ich postać Chrystusa oszukała zstępując z niemi do grobu; bo oni już się nie przebudzą! — i że ta którą strzegłem, oszukała mnie także; bo zostawiła mnie wśród umarłych na wieki! I usiadłszy na brzegach morza tego, prosiłem się duszy mojej by wyszła ze mnie.

A głowem trzymał w ręku, a przez palców szpary widziałem na lodach cień owego Ducha z harfą, przechadzający się w oddali. — I przechadzając się urągał mi.

Potem usiadłszy na wzgórzu śnieżnem, naprzeciwko mnie, zaśpiewał:

— A co teraz? —

I z pod stóp jego, zerwało się stado kruków i każdy z nich ciągnąc mi nad głowę, powtórzył krakając: — A co teraz? —

I zdało mi się że ze stosów kości i z głębi ziemi zamarzłej wydobyło się to samo słowo — A co teraz. —

Duch wtedy bez żadnego brzęku zerwał ostatnią strunę i rzucił ją pod lody, mówiąc: — Wieczność się zaczęła. —

I zdało mi się że duszę własną przeklinam, konając.

W tem głos dawny, głos anielski, co mi śpiewał na tej cwieży, odezwał się gdzieś — czy w głębiach serca mego, czy za temi chmurami!

A jam się zerwał i wołał: — Ratuj mnie, bo konam; a konam, boś ty zawiódł mnie. —

Lecz słowik mój, lecz aniół mój, na to: «Cezara, Cezara, czemu żalujesz żeś życie poświęcił dla umarłej? Alboż nie wiesz że jest zmartwychstanie? — A jakżeż zmartwychwstaną serca

umarłe jeśli ich nie ukochają żywe i krwi im swojej nie udziela połowy? Ta co zabrała życie twoje odda je tobie, bo śmierć jej tylko była złudzeniem! Patrz!»

Jak nowonarodzoną gwiazdę ujrzałem postać wschodzącą z kończyn widnokręgu. — Uczułem że będę nieśmiertelny bom nieśmiertelną ukochał — i koło mnie z prochu dźwigali się mężowie i widmo Chrystusa bielalo nad nimi w powietrzu. — Zamknąłem oczy i padłem twarzą na ziemię wśród zmartwychwstających.

LEGENDA.

18. Zaprawdę, zaprawdę, powiadam Tobie: Gdyś był młodszym opasa-
wales się i chodziles kędyś chciał; lecz gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce
Twoje, a inny cię opasze i poprowadzi gdziebyś nie chciał.

.

20. A Piotr obróciwszy się ujrzał owego ucznia, którego miłował Jezus
poza idącego, który się też był położył 'przy wieczerzy na piersiach Jego
i rzekł był: Panie któryż jest ten co Cię wyda?

21. Tego ujrzawszy Piotr rzekł Jezusowi: Panie, a ten co?

22. Rzekł mu Jezus: Jeślibym chciał żeby on został aż przyjdę, co to-
bie do tego? Ty pójdź za mną.

EWANGELIA WEDŁUG Ś. JANA. Roz. XXI.

LEGNIDA

10. Towards evening, a small party of about 10 persons
arrived at the station, and were met by the station-master
and a few of the men of the station.

11. A short distance from the station, a small party of
about 10 persons arrived, and were met by the station-master
and a few of the men of the station.

12. Towards evening, a small party of about 10 persons
arrived at the station, and were met by the station-master
and a few of the men of the station.

BRITISH MUSEUM, LONDON, 1851.

Zdało mi się, że w samą wigilią Bożego Narodzenia wychodzę z bram Rzymu, i że idę przez kampanię. — Pogańskie tam grzały się groby w promieniach słońca — ranek był — niebo czyste jak zawsze i pustynia smutna jak od wieków.

Szedłem dzień cały, niesion ducha potęgą. — Stare wodociągi póki mogły szły za mną, lecz jam poszedł dalej. — Bluszcze jak zielone żłoby Chrystusa szumiały po świątyn ruinach. — Leciwały nademną białych ptaków stada — przedemną w dole pelzał gad błyszczący. — Huk morza zaczął wołać na mnie!

A kiedym stanął na ostatniem wzgórzu ziemi — kiedym ujrzał wody, słońce już zachodziło! — a daleko na wodach stała plama czarna, jakby żywa, coraz większa i lecąca ku mnie — wreszcie ogromna gdy słońce zgasło, a zmierzcheli padać zaczął.

Wielki to i posepny okręt, bez płócien i masztów — a wszystkie fale kołami rozbija na pianę — i z pośrodku jego bucha słup dymu, który leci nazad w nieskończoność.

Coraz to ciemniej — on jak widmo czarne toczy się w przestrzemi, grzmiąc — dwa ogniki nocne spadły przed nim w morze — głos wtedy z pokładu się odezwał: — Czy dziś ostatnia wigilija Bożego Narodzenia? —

Ja w duchu przerażony odparłem ze wzgórza: — Zaprawdę dziś Wigilija jest — i wnet stanął okręt przy samych brzegach, blada para rozwiódła się nad nim, żuźle i iskry sypnęły się z jego boków — w świetle czerwonym zajaśniał pokład na znikomą chwilę.

Stały tam postacie w karmazynowych czapkach i w płaszczach bielejących — usłyszałem niby zgrzyt łańcuchów — zdało mi się że pada ciężki most, długi most od okrętu rzucony do brzegów — po nim w ciemnościach wiją się te postacie i dążą ku mnie.

A gdy niedaleko już były, zapytały jednym głosem: — Kędy droga do Rzymu? —

Jam odparł: — nie ma tu drogi — tu pustynia. — A oni odrzekli: — prowadź nas zatem. — A kiedy się wahał, znów się odezwali cichym i tęsknym głosem: — Myśmy ostatki szlachty polskiej. — Anioł pokazał się nam, anioł niepodobny tym, których oglądały ojce nasze, bo miał skrzydła bez blasku, i welon żałoby na czole — lecz wiemy że on z nieba zesłan — a on nas tu posłał. — Długośmy płynęli — wielkie tam były wichry i słoty na morzu — lecz dopełni się wola Pańska, jeśli dziś o północy staniam w Bazylice Piotra. —

A ja im na to: — Idźcie za mną nieszczęśliwi ludzie. — I nazał ku miastu od brzegów morza stąpać zacząłem, drżąc i modląc się jakbym przechodził przez smętarz, a z tyłu za mną wstawali umarli.

Wiatr się zerwał, a żadnej chmury nie widać — gwiazdy wszędzie lśnią na ciemnym, na głębokim niebie — w dole taka czarna równina! szare tylko czasem mijamy mogiły — czasem białych gruzów zaspę — czasem wodociągów bramy — z daleka słyhać wielkich trzeicin szelesty — w górze niekiedy krzyk nocego ptaka — i bliżej gdzieś wśród rozwalonych grobów, tam, szmery podziemne!

Oni idą za mną z tyłu — czuję na moich barkach ich pierś oddechy — a chyżo stąpam bo oni się śpieszą — słyszę jak ich płaszców fałdy wiją się z wiatrami!

I zdało mi się że widzę ognik błędzący w oddali — wnet drugi i trzeci — a gdy jeszcze postąpił, ujrzałem wielką mnogość świateł na równinie — przesuwały się one, dążąc z stron różnych, a ku jednej stronie — i oto zaczął gwar głosów wielu szumieć w pustyni.

A gdy podszedł bliżej, obaczyłem jakoby mnóstwo pielgrzymów idących przez kampanię, z pochodniami w ręku. — Luna koło nich rozpostarta, szła razem z niemi, wśród dwóch wielkich ścian ciemności, a w niej wysokie krzyże i obrazy świętych i różnych narodów sztandary w powietrzu.

W sam środek tych tłumów wwiódłem hufiec mój — wtedy ujrzałem zaspę lica ich — tych, którzy szli za mną i jakieś natchnienie w ich oczach, ale nie życia natchnienie — i szable

na których się opierali jak tamte pielgrzymy na koszturach swoich.

A ledwom wszedł z niemi pod światło pochodni, zdało mi się, jakoby stanęły tłumy pytając ich: — Co wy za jedni, i zkąd idziecie? —

Oni się zatrzymali, i dziwny uśmiech rozbiegł się po ich ustach — a odrzekli zaraz: — Aż nikt nas nie poznał na świecie? —

Cichy szmer, szmer rosnący rozległ się na około, zdało mi się, że wszystkie hufce pielgrzymów zawołały razem: — Znamy was — wyście ostatnie bohaterzy ziemi. —

Wtedy oni ciągnęli dalej: — Widzieliśmy anioła z czarną zasłoną na czole — on nam kazał spieszyć do Rzymu — a wy, mówcie, czyście słyszeli głos jaki? —

Wzbił się wielki jęk tłumu odpowiadający im: — Amen. — Ten sam anioł kazał nam domy porzucić — głos jego rósł nocą, nad nami w powietrzu, i nie dawał nam zasnąć. — Dni onych, mówił, Chrystus raz ostatni narodzi się u grobu Piotra, a od-tąd rodzić się już, ani umierać nie będzie na ziemi.

I umilkło mnóstwo, i stało jakby własnymi przerażone słowy.

Pierwsi Polacy, ruszyli z miejsca, białe na ramiona zarzu- ciwszy płaszcze. — Z wszystkich stron kampanji coraz więcej tłoczy się pielgrzymów — już widne mury miasta — już słychać dźwięk dzwonów — a im bliżej tem jaśniej, bo na bramach, na wieżach palą się wieńce światła — i tem huczniej, bo tu i tam i jeszcze dalej jeden po drugim budzi się i brzmi, kaźden ko- ściół Rzymu.

Zdało mi się, że noc w dzień białą zmieniona — ulic, którem z rana opuścił, nie poznaję wcale. Tam gdzie gruzy tylko, tam gdzie puszczyk siada tylko, kołyszą się teraz snopy kwiatów i lamp płonące — i rzymski lud ciśnie się tłokiem, wołając: — Weselmy się, weselmy, bo Chrystus dzisiaj narodzi się nam. —

A gdy ujrzeli szlachtę polską wstępującą w bramy, i piel- grzymów potok płynący za nią, krzycząc, skakali z radości — pytają się tylko: — Czemuście tak ponurzy goście? Jeśli was długa droga znużyła, odwilżcie usta sokiem pomarańcz. —

Zrzućcie białe czapki i ciemne kapelusze — oto są myrtu gałązki — oto kamelie — skroniom je waszym rzucamy na wieńce.

Ale w milczeniu i brew zmarszczywszy idą pośród nich Polacy, a idąc mówią do mnie: — Gdzie Bazylika Piotra? nam spieszo — nam tęskno — wszak już bliska północy godzina? —

A ja ich prowadzę przez Forum. — Zdało mi się że Amfiteatr Flaviana, ten ciemny, ten stary, jak ogrom światła stoi teraz, od stóp po olbrzymie szczyty kagańcami rozwieszon — każdy listek bluszczu znać na nim — w jaskrawych szatach niewiasty i dzieci przechadzają się po piętach gmachu i klaszcząc w dłonie, witają nas przechodzących.

I wszystkie łuki na Forum i wszystkie kolumny palą się, jaśnieją — i na wzgórzu ścianą z złotych ogni, wznosi się Kapitol — od wielkiej luny gwiazdy pomdlały na niebie.

Lud ciągle krzyczy: — Hosanna, Hosanna! — A pielgrzymi śpiewają psalmy pokutne. — Lud ciągle bieży i zawraca, brzdąka na gitarach, roztrząsa iskry w powietrzu — a samym środkiem morza tego, my idziem czarno — powoli — w ducha żałobie.

Z wszystkich ganków, z wszystkich dachów, ulic, spadły na nas fijołki i róże.

Już dzwon Kapitolu brzmi daleko z tyłu — a przed nami dzwon świętego Piotra odezwał się w przestrzeniach — on jeden, sam bije teraz — głośniej po nad wszystkie inne!

W stronę wołania tego spieszym się — most na Tybrze przechodzimy — domy na brzegach, jak ciche pożary — rzeka jak wstęga z płomieni. — Zamek Anioła najeżon działami — co chwila jedno działo, to błysnie, to zagrzmie.

Zawracamy teraz — już wchodzimy na dziedziniec Piotra — kopuła w lamp szkarłatnych tysiące ubrana — krzyż na jej szczycie jak djament — z obu stron kolumny dziedzińca wydały mi się kręcone z ognia. — Fontanny pośrodku jak tęcz płynących dwoje — i lud wielki obaczyłem czekający tam — i bramy kościoła rozwarte — i wewnątrz kościoła jakoby nieskończoność płonącej jasności!

Póki mogli szli Polacy i pielgrzymi, lecz na wchodach, u stóp portyku, mnóstwo zewsząd zamknęło im drogę. — Stanąwszy,

o przejście wołają — lecz coraz bardziej, i z przodu i z tyłu i z boków, zgraje ciężą na nich.

I powstały głosy Rzymian: — Alboż my nie pierwsi — alboż ten kościół nie nasz od wieków i na wieki? — A wśród pielgrzymów inne słyhać głosy: — Dotąd szlachta polska torowała nam drogę — czyż i ona teraz przed nami, wejdzie do świątyni? —

I ujrzałem jako Polacy wznieśli palasze na znak, że się bronić będą — szczerym ogniem zaświatniały ich klingi w jaśni powietrza!

Lecz w tej samej chwili, na krużganku Bazyliki, wysoko po nad ludem, ukazała się postać w purpurze, która rzekła, a głos jej donośnem był bardzo: — Puszczaćcie tych, którzy dla wiary katolickiej niegdyś naród cudzy od śmierci zbawili, a później za tęż wiarę poginęli sami. — Umarłych puście naprzód. — I wzniosł rękę kardynał w prawo i na lewo, jakby tłumy rozdzielal — w dole rozdzieliły się tłumy — a on zobaczył i cofnął się nazad do gmachu.

A jam poszedł zaraz z Polakami prosto przez wschody, prosto przez portyk, w sam kościół, i przez kościół cały, aż przed lampy co się palą na grobie Piotra. — Tu stanęli, i zdjawszy karmazynowe czapki, i białe płaszcze rozklamrowali na piersiach — przyklękli i modlili się, naga broń trzymając w rękę,

Pogoda śnieżna marmurów jaśnieje w pustyni kościele — dymy kadzidel srebrno, przejrzysto, wstępują pod kopuły sklepienia wiszące nad nami — na mozaikach posadzki rozrzucone kwiecia i palmy. — Ze wszystkich kaplic odzywają się chóry miękkich głosów radujących się — tam, w dali, koło drzwi, zaczyna się przestrzeń napelniać. — Pielgrzymi idą przez ten świat śpiewu i światła, jako szli przez miasto całe czarni i niepocieszeni. — Potok też ludu rzymskiego wbucha do Bazyliki, hucząc.

A gdy kaźden orszak zajął miejsce pod sztandarem swoim, przy ołtarzu swoim, przestrzeń ta wielka, cała, znów umilkła jakby pustą była — śpiew ustał po kaplicach — a od strony Watykanu odezwą się trąby na znak, że papież zbliża się do nas.

Przechodzą środkiem kościoła wszyscy zakonnicy Rzymu, starce po starcach, i inni starce i znów starce jeszcze, w białych habitach, w szarych włosciennicach, z krucyfiksem w rękę —

przechodzą biskupi w infułach, srebrne pastorały wlokąc za sobą — idą kardynały w rażącej czerwieni — koło nich księża w dalmatykach i tłum śnieżnych dzieci niosących wino, kadzidło i wieńce.

A gdy przelał się ten potok w stronę wielkiego ołtarza — tam gdzie roztopiły się tłumy, tam na pustej ulicy między dwoma ścianami z żywych ludzi — które teraz ukłękły nagle — szedł bardzo powoli siwy starzec w potrójnej koronie, z białą komżą na złocistych szatach.

Daleko za nim zostali się żołnierze i służba i tron niesiony przez kapłanów — on sam jeden stał w środku ludu i kościoła — sam jeden stąpał ku wielkiemu ołtarzowi i zdało mi się że każdy krok jego trwa chwil wiele i że nigdy nie dojdzie do nas.

A gdy tak szedł wśród bijących czołem — niekiedy oczy przymykał jakby ulgi oczom szukał od światła tyłu — czasem nad ludem kryślił, nie dokryślał drżące znaki błogosławieństwa w powietrzu — aż stanąwszy westchnął i wznosił ręce ku niebu — lecz nie mógł ich utrzymać — opadły!

Na to westchnienie ludzie głowy podniosą. Od smutku ojca wszystkich pobledli wszyscy — wtedy zdało mi się że od wielkiego ołtarza zawrócił jeden z kardynałów, ten sam który wpuścić nas kazał i i wzniosłym chodem poszedł ku starcowi starców i podał mu rękę, oczyma jak błyskawicą wskazując mu grób Piotra. — Starzec znów postąpił kroków kilka i wzdrygnął się — kardynał długich włosów pierścienie wstrząsł ruchem głowy na bok i znak dał tym co zostali z tyłu — oni pośpieszą, tron złoty niosąc.

Wtedy ojciec który jest na ziemi, uchwycił bladą ręką za poręcze tronu i siadł na nim — a wzniesiono go zaraz w górę i trąby znowu grzmią w kościele — kardynał idzie przy tronie. — Lud zrywa się z ziemi — dzwon uderzać zaczyna — dwanaście razy zdało mi się że zadrżały sklepienia — koło wielkiego ołtarza chmura kadzidel się wznosi — w niej papież na wschody wstępuje — a kardynał rzekł: — Chrystus się narodził. —

Zaraz z tłumy pielgrzymów wzbil się jęk żałosny — wszak nie sprawdzą się słowa aniola, że po raz ostatni? —

A lud rzymski krzyknął wściekle: — kto śmie bluźnić w kościele Piotra? —

Jeden z szlachty polskiej wystąpił, wołając: — oni nie bluźnią, a my się nie lękamy was — oni prawdę mówią — ja sam i bracia moi widzieliśmy smutnego anioła. —

A kardynał znów jak książę potęgi ręką skinął i rzekł: — pókój ludziom dobrej woli, niech się modlą bo msza się zaczęła — a czas krótki — a modlitw dziś potrzeba na ziemi i niebie.

I my wszyscy zaczęli się modlić w wielkiem oczekiwaniu.

A ojciec nasz święty siedział przed nami na tronie.

Z kaplic znów wzniosły się głosy gdyby chmury anielskie, pełne niebieskiej rokoszy. Część nocy upłynęła — przyszli bieli kapłani i podali ręce ojcu naszemu — on z tronu zstąpił i poszedł ku ołtarzowi i wziął kielich w ręce, bo pora świętej ofiary nadchodzi — kardynał nalewa doń wina.

A w samą chwilę podniesienia, gdy wszyscy przypadli do marmurów, usłyszano jakoby głos w powietrzu który wymówił — Jestem — a gdyśmy drżąc podnieśli głowy, ujrzeli wszyscy wielką postać opartą czołem na środkowej bramie, znikającą zwołną, coraz bardziej inglaną, a ręce jej były krwawe i nogi krwawe, lecz sama cała śnieżna — i jak śnieg topniejąc, zniknęła.

Wtedy kardynał, gdy papież trzymając jeszcze kielich w ręku wzdrygał się, sam rzekł: — *It e missa est* — a potem zawołał głosem ogromnym: — Czasy dopełniły się — i rozdarłszy purpurę na piersiach, rękę wyciągnął w stronę grobu Piotra mówiąc: — Obudź się i mów. —

Z każdej lampy nad grobem rzucił się język ognisty i wieńiec płomieni rozkołysał się nad ciemnicą grobu — a z dna tej ciemnicy podniosło się ciało, z rękoma ku sklepieniom — i stojąc po piersi zanurzone w grobie, krzyknęło — Biada. —

A za tym krzykiem zdało się nam wszystkim, że sklepienia kopuły pierwszy raz się porysowały.

A kardynał rzekł — Piotrze, czy poznajesz mnie? —

A ciało odpowiedziało: — Głowa twoja ostatniej wieczery spoczęła na piersi Pańskiej i tyś nigdy nie umarł na ziemi. —

A kardynał odparł: — A teraz kazano mi, bym wśród ludzi zamieszkał i ogarnął świat i przytulił go do piersi, jako pan głowę moją ostatniego wieczora. —

A ciało odparło: — Czyń jako ci kazano jest. —

Wtedy kardynał skinął znowu jak książę potęgi — a ciało powtórzyło: — Biada mi — i zapadło z strasznym łoskotem. jakby w otchłań, nazad w grób swój — i rwać się lepiej jeszcze w górze zaczęły sklepienia.

Nam wszystkim tak straszno się stało. — Jedna szlachta polska patrzy śmiałem okiem, oparta na szablach.

A papież w potrójnej koronie przykląkł na stopniach ołtarza i jak posąg niewzruszony klęczy.

Kardynał rzekł: — Wychodźcie wszyscy, i wy i wy i wy i wy jeszcze, by żaden z was nie zginął pod gruzami tych murów. —

A ludy odrzekły zewsząd: — prowadź nas ty, któremuśiny się dzisiaj dostali w opiekę. —

I wzniósł się krzyk trwogi, bo coraz huczniej pękały sklepienia, bo wszędzie drżały kolumny i słupy, a lampy tłukły się w wietrze wielkim i gasły.

Wtedy kardynał: — Ojciec mój czy tu się zostać chcesz? —

A starzec rękę podnosząc i przytrzymując koronę, odparł głosem zbołałym: — Ja tu umrzeć chcę — zostaw mnie synu. —

I lud wszystkie usłyszał tę odpowiedź i krzyknął: — Uciekajmy. —

I pierwsi Rzymianie zaczęli się zrywać i uciekać.

I każdy hufiec ruszył się z pod ołtarza swego, z swoim sztandarem i jął uciekać.

Kardynał wtedy przyklęknawszy raz ostatni, złożył usta na czole starca i znak błogosławieństwa zostawił koło jego korony, gdyby wianek silnego światła w powietrzu, potem zstąpił i z przedziwną jasnością koło skroni, szedł ku bramie kościoła. — Cały kościół giął się w podrzutach jako ciało umierające ale on wzniesioną dłonią zatrzymał rozdarłe sklepienia nad ludem i patrzył aż wyjdzie ostatni z ludu.

A przechodząc rzekł do szlachty polskiej: — Ludzie idźcie za mną. —

Nic nie odpowiedzieli.

On jeszcze głowę odwrócił i rzekł: — Idźcie za mną. —

Oni się nie ruszyli.

A gdy dochodził bramy pędząc lud przed sobą jako pasterz, raz ostatni jeszcze ręką skinął ku nim.

Lecz oni podnieśli tylko szablę w górę jakby na ich ostrzach

wystrzymać chcieli spadające mury, i zawołali razem: Nie puścim starca tego. — Samemu gorzko jest umierać — a kto z nim umrze jeśli nie my? — Wy idźcie wszyscy — my nie umiemy uciekać. —

Kardynał zatrzymał się na samym progu i rzucił im z daleka znak błogosławieństwa, wianek siniego światła także — i lzę miał tej chwili w oku, mówiąc: — Chwila jeszcze a poginiecie. —

Lecz oni szli już wtedy ku wielkiemu ołtarzowi, podać ręce kłęczącemu i umierającemu — szli w białych płaszczach i w polysku szabel — a owe cztery kręcone filary ołtarza pękły jak ścięte drzewa i runęły — i baladakin spiżowy runął — i kopuła cała jak zstępujący świat, biała spadała na ziemię.

I wszystkie portyki i pałac Watykanu i kolumny dziedzińca łamały się, rwały, w proch się sypiąc — i obie fontanny jak dwa białe gołębie przypadły do ziemi konając, a lud uciekał coraz dalej jak morze wyparte z brzegów — i zdało mi się że już ranek jest — że słońce dotąd nie wschodzi — i że widzę tylko gwiazdę jutrzeńki nad stosem gruzów tak wysokim, tak ogromnym, jako była niegdyś bazylika Piotra.

Wstępował na ten olbrzymi kopiec kardynał, a mnie się zdało że poszedł za nim, niesion ducha potęgą.

A gdy on dōszedł szczytu, zasiadł gdyby na tronie i spojrzal na świat — a nawet szaty purpurowe opadły mu z ciała i przemienił się w postać białą, łagodnem światłem osrebrzoną — i księga była w ręku Jego — i schylił głowę ku jej kartkom i uważnie czytał.

A twarz Jego była jakby przepojona miłości wyrazem, a pełna pokoju.

Zbliżyłem się zatem do niego i rzekłem właśnie w chwili gdy wschodziło słońce: — Panie, czy prawda że ostatni raz wczoraj Chrystus narodził się w tym kościele, którego już dziś nie ma? —

A on z dziwnym uśmiechem, nie podnosząc ócz z nad księgi, odrzekł mi: — Odtąd Chrystus ani się rodzi ani umiera na ziemi, bo odtąd już na wieki wieków jest i będzie na ziemi. —

A ja to słysząc zbyłem trwogi wszelkiej i zapytałem się: — Panie, a ci których przywiódłem wczoraj, czy na zawsze leżą pod tymi gruzami, wszyscy umarli koło umarłego starca? —

A ów biały święty odrzekł mi: — Nie trwóż się o nich. Za to, że wyrządzili mu ostatnią przysługę, Pan odwdzięczy im — bo zachodzący tak jak wschodzący, umarli jak żywi są z Pana — owszem, im lepiej będzie i synom synów twoich. — A gdy zrozumiał, ucieszyłem się i duch mój się przebudził.



12-05-11

1993 -01- 0, 5

21. 05. 1999

2009 -09- 02

2011 -07- - 7'

2013 -09- 09

sp
SNK 10501